

WIKTOR MONDALSKI
Z 3. PUŁKIEM
LEGIONÓW
POLSKICH



NAKŁADEM
CENTRALNEGO · BIURA
WYDAWNICTW · N · K · N



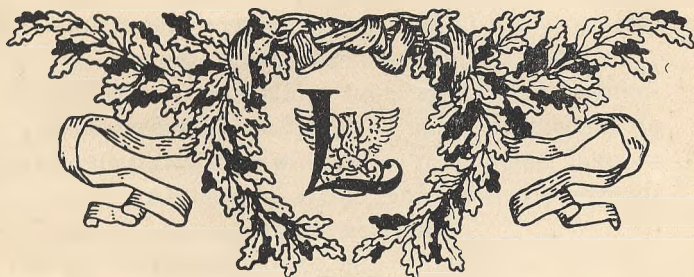
Z TRZECIM PUŁKIEM
LEGIONÓW

*ŻOŁNIERZOM 3. PUŁKU POŚWIĘCAM
AUTOR.*

WIKTOR MONDALSKI

ASPIRANT OFICERSKI LEGIONÓW POLSKICH

Z TRZECIM PUŁKIEM
LEGIONÓW



ZA ZEZWOLENIEM C. I K. WOJENNEJ KWATERY PRASOWEJ.

K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW N. K. N.

W1864b

382575

II

K-92/9545

15.8. 100,-



OKŁADKA I WINIETA RYSUNKU Z. LORECA.
FOTOGR. WEWNĄTRZ ST. JANOWSKIEGO.

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie.

P R Z E D M O W A.

Książka niniejsza nie jest ani historią pułku, ani nie wzięła sobie za cel przedstawienie całokształtu jego operacji wojennych w dłuższym a zamkniętym okresie.

Jest to raczej dorywczo spisywany pamiętnik faktów tak, jak się przesuwają przed oczyma widza w krótkim, mało co więcej jak trzymiesięcznym przeciągu czasu (od 23. maja do 31. sierpnia); szkicownik wrażeń niezapomnianych, zbiór sylwetek osobistości w czasach tych heroicznych, wyrastających wysoko ponad poziom i tak już, przez się samą, wzniosłej „przeciętności“.

Stąd związek rozdziałów zgoła luźny, tem luźniejszy, że poszczególne rozdziały, w miarę nasuwania się tematu, powstawały prawie zawsze przygodnie, jako — w pewnem znaczeniu — okolicznościowe, dla rozmaitych czasopism przeznaczone artykuły.

Niemal wszystko zatem, co czytelnik tu znajdzie, było już drukowane; w formie zapewne innej, w treści tejsamej. Z chwilą, gdy w pozycyjnych rozmowach wieczornych, powstała myśl zebrania części bodaj tych po dziennikach drukowanych rzeczy w książkę, wyłoniła się sama przez się konieczność przebrakowania materiału, wybrania pewnej liczby rzeczy charakterystyczniejszych, a co zatem szło i ponownego ich opracowania, poprawienia płynących z pośpiechu usterek, dodania szczegółów nowych, rozwinięcia zbioru notatek luźnych.

Samej treści nie zmieniło to oczywiście w niczem,

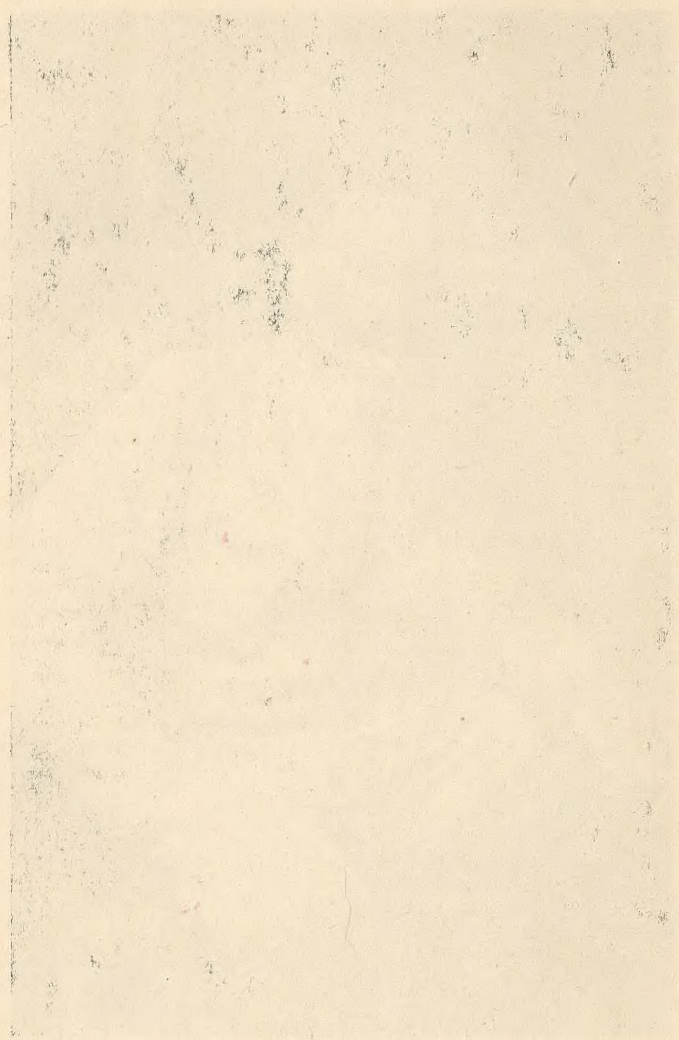
zwłaszcza, że w książce takiej jak niniejsza, najważniejszą jest — być, zdaje się — ta pierwsza bezpośredniość wrażeń, nakreślonych przez widza faktów, czy słuchacza opowiadań tak — jak je widział sam, czy słyszał jak je opowiadali inni.

Gdy tak pojęta książka niniejsza, zdoła choć w części unaocznic Wam — którzyście w kraju zostali i z wdzięcznie przez nas ocenianą życzliwością drogi nasze śledzicie — żywot, trudy i boje żołnierza Karpackiej Brygady Legionu, zadanie jej w zupełności będzie spełnionem.

Na pozycyi 3 pułku Leg. pol. 30 września 1915.



Pułkownik Henryk Minkiewicz.



CZĘŚĆ I.

PULK TRZECI.

PODPULKOWNIK MINKIEWICZ*)

Mówią o nim, że jest jak wódz, z powstańczych, do nas — w wir walki regularnej a zgoła nowoczesnej — przeniesiony obozów... I mówią słusznie... Bo nie tylko znój walki codziennej i życia obozowego z żołnierzem dzieli — ale ma też i wiarę, i twardość i hart tych wódzów powstańczych, i nawet to zewnętrzne z nimi podobieństwo nieuchwytne a wyraźne, które obcowanie z nim miłem czyni, życia obozowego urok przy nim zwiększa i umacnia...

Czasu przed wojną — artystą-malarzem był... Śniły mu się bojowe zwidy powstańcze, i te, w kształt przyoblekał — nim walki i bojów, nim trudów i życia w polu, przy ognisku w obozie, przy grzechocie karabinów i armat graniu rzeczywistość przyszła...

Teraz pułkownikiem, pułku komendantem jest — i żelazną go trzyma ręką; wódz urodzony, wódz taki, jakich tylko polska wydaje ziemia, gdy miast pług, miecz stałą o nią uderzy i na larum zadzwoni dziejowe...

Wysoki, krzepki w sobie, śniady i smagły, o czole wysokiem a mocnem... siwemi patrzy oczyma przed siebie. I jeno zieleń pól i lazur nieba w nich się odbija... gdy z żołnierzami rozmawia lub w oficerskiem gwarzy kole; a ognie błyszczą kiedy w boju idzie... Pali się

*) Dziś już pułkownik.

w nich wtedy płomieniem rycerska dusza piękna... Młody, trzydzieści pięć lat zaledwie liczy, a na skroni, włos czarny już mu szron przyprószył srebrzysty, przedwczesny, — pisząc dzieje życia chmurne a w trudzie a w borykaniu się codziennem i w walce z niewolą spędzonego... Bo nim na wojnę poszedł, już lata całe w bojowaniu z caratem przeżył; ścigany, tropiony na polskiej ziemi rewolucjonista polski... Wtedy rodziła się pod tem czołem — myśl; podczas gdy usta zaciśnięte pod wąsem zawieszistym milczeć się uczyły... I tak zwolna wyrodziło się w nim przekonanie o potrzebie walki innej, myśl o czynie dziejowym — którego świty, patrzeć umiejącym, stawały się coraz widoczniejsze...

Opuścił tedy dnia pewnego Królestwo Polskie i do Galicyi, do Zakopanego się przeniósł — gdzie rzucił się w odmęty pracy nowej, a wymarzonej pracy, która go wnet miała pochłonać całego, uczynić zadość jednej jedynej namiętności, jaką było pragnienie walki z Rosyą... U niego namiętność ta zaciętością była, czemś co gdy raz w duszę zaszczipione, już nieda się z niej wydrzeć więcej — czemś co rodowem chyba da się wytłumaczyć pochodzeniem.

A on z rodu Litwinem jest... W ukochaniu czy w nienawiści zawzięty, jeden z tych co namiętności na pół dzielić nie umieją, z tych potrzebnych i niezastąpionych, których nam Litwa dotychczas tylu dała. I przeto sercem, obyczajem, całem jestestwem swym Polak i żołnierz nie z przypadku a z urodzenia, z pasyi najgorętszej... Kiedyś za młodu już carat do reszty, wszystkimi fibrami duszy, każdym nerwem ciała, każdym zwojem mózgu znienawidził tak, że już zgody, po-

rozumienia, przekonania się jakiegoś do choćby i idącego z tamtej strony pojednania być nie mogło... I dlatego później w szeregi rewolucyjne poszedł — świtu dołi lepszej w onych walkach lat dziewięćset piątych się dopatrując...

Świt nie nadszedł niestety, a przyszło zato rozczarowanie — przyszedł czas reakcyi, który niejednego z obranej wyrzucił kolei. Tylko nie jego, tylko nie Minkiewicza, któremu walka rewolucyjna nie celem, a środkiem jeno była wiodącym do Polski...

Przeto, skompromitowany ostatecznie w oczach posiepaków carskich, do Galicyi się chroni i myśli o dalszej z caratem walce nie porzuca, tyle że w kształt ją przyobleka inny...

Były to przecież czasy, gdy nie z jednej głowy, a z serc kilku conajmniej wyrosła spontanicznie myśl o konieczności militarnego organizowania narodu. W liczbie tych kilku znalazł się i Minkiewicz, odrazu jeden z najczynniejszych, jeden z najruchliwszych. Trwała ta praca lat kilka, zrazu tajnie, później jawnie, pochłaniając sił dużo i czasu wiele — dając życiu cel i marzenia oblekając w formy...

Aż naraz — prędzej niż myślano — wybuchła wojna. Na pierwszy jej odgłos, na pierwsze w szeregi wołanie, zaraz z Brygadą pierwszą do Królestwa chciał iść jako szeregowiec choćby. I... nie poszedł, ale nie z winy swojej... Na bezczynność skazany pozostał, lecz zaledwie sierpniowy N. K. N. manifest się pojawił, do organizowania tatrzańskich górali się wziął i — jako Podhala Skalnego komendant — pół tysiąca wzwyż, górskiego, mocnego ludu do Mszany poprowadził...

Tu na czele pierwszej, góralskiej — w pierwszym

batalionie — kompanii stanął, i wnet z pułkiem trzecim jako porucznik na Węgry poszedł...

Poszedł — i bił się, z dnia na dzień, tygodnie, miesiące, rok cały — z dniem każdym w sławę wśród żołnierzy, u komend wyższych w poważanie rosnąc... I nie dziw, boć on, który żołnierkę jak mało kto teoretycznie znał, teraz rozważą, krwią zimną, spokojem nie opuszczającym go w najgorszych przeprawach, w artyzm ją zmieniał i mistrzowstwo.

Pasieczniański jego bój, gdzie w dwa plutoniki, w stokilkadziesiąt ludzi, przez cztery godziny dziesięćkroć razy blisko większej sile, tysiącowi kozaków i lekkiej półbaterii — dwom armatkom — opór skuteczny, aż do nadciągnięcia siły głównej z pułkownikiem Zielińskim stawiał, toć to jedna z najpiękniejszych kart nie tylko Brygady II-giej, ale i Legionu całego! A to był przecie epizod tylko i — wstęp, działalność bogatą wróżący i piękną...

Wnet po Pasiecznej i Pniowie mołotkowska, tragiczna, przychodzi walka... Tu Legion, tu żołnierz zapału pełen i ochoty bojowej mógł się być zniszczyć na zawsze... Tu mógł być grób Brygady. Że nie był — zasługa komendantów niewielu, a w liczbie ich i Minkiewicza. Powierzoną mając sobie prawej flanki osłonę z zadania wywiązuje się najlepiej — i nietylko, że cofa się ostatni, ale zbiera jeszcze i zgarnia resztę rozbitych oddziałów. Pułk niemal cały trzeci z grożącego ratuje rozgromu... To znów jedna z tych zasług, które w kraju nieznane może; tu, na froncie nie mogły przejść niepostrzeżenie...

Walk rafajłowskich, obrony tej twierdzy górskiej bez murów i umocnień, która jedynie piersiami trzech tysięcy niewyćwiczzonego żołnierza legionowego zasło-

niona była, a przecież — choć twierdze warowne w świecie całym padały, ona jedna — nie padła i koza-
czym najazdem nigdy zdeptaną nie była, (jedyne zaką-
tek taki w Galicyi wschodniej) on jednym z głównych
był działaczy i z wodzów... Kapitanem był już wtedy,
i batalionu pierwszego komendantem, niejednokrotnie
komendanta pułku zastępcą.

Sławny styczniowy atak moskiewski, w noc z 23-go
na 24-go stycznia, atak w którym straty Moskali do
pięciu setek doszły — samych jeńców stu pięćdziesię-
ciu — nie kto inny a kapitan Minkiewicz, z kwatery
w bieliźnie na trzaskający mróz wypadłszy, umiejętnem
kierownictwem odpiera...

Lutowa ofenzywa nasza, sześciodniowy bój pod Ma-
ksymcem w mrozie tak straszliwym, że nietylko stan
nasz bojowy zmniejszył się znacznie, ale i spora liczba
oficerów z walk wycofać się musiała, następny marsz
pod Sołotwinę i Bohorodczany, to tylko dalsze etapy
tego bogatego żołnierskiego żywota — którego dzie-
jów księga, to zarazem ogromna część historyi Bry-
gady, której karty z dniem każdym coraz częściej
zaczyna wypełniać nazwisko jego.

Z walk wraca Brygada na chwilowy do Kołomyi
spoczynek, na reorganizację, zakończoną kadrów na-
szych uszczupleniem... Część żołnierzy odjeżdża do Kró-
lestwa, odchodzi sporo oficerów, między nimi i pułku
komendant, pułkownik Haller... Kapitan Minkiewicz,
majorem mianowany, po nim pułku komendę i zadanie
reorganizacji odbiera, wywiązując się z tego corychlej,
poczem z pułkiem w kwietniu, przez Czerniawkę nad
besarabską Bukowiny granicę odchodzi... Granicę czę-

ściowo przekracza, patrolami aż do Raszkowa sięgając i Chocimia...

Czerwcową ofensywą i udział w niej jego — rozdziałem tej książki objęte — w zbyt świeżej są jeszcze pamięci czytelnika, mówić więc o nich nie trzeba.

Dorzucić należałoby chyba to jeszcze tylko, co charakterystyczne, co takie legionowe, takie nasze: że ten żołnierz sam taki twardy, to żołnierzom nietylko wódz surowy ale ojciec sprawiedliwy i dobry, oficerom kolega starszy, serdeczny a życzliwy.

Co trud, zdaje się nie wiedzieć, taki wytrwały i mocny w sobie, choć zgoła nie obdarzony żelaznem zdrowiem... Przed wojną w Zakopanem i we Włoszech poratowania zdrowia szuka; na wojnie... pod Maksymcem naprzykład, wszystkich niemal oficerów swoich w mrozie i trudzie przetrwał, za podkomendnych nieraz ataki prowadząc... Teraz od miesięcy z żołnierzami razem w ziemi mieszka — i czuje się dobrze. Prostu niesłychaną siłą woli i hartem niezwykłym trwa.

Toteż i nie dziw, że taki jaki jest, tylu wyprzedził; że — gdy takim, w skrócie pobieżnym jest zarys działalności podpułkownika, — Komenda Legionów w jej uznaniu (co już zgoła wyjątkową jest rzeczą i bez drugiego takiego przykładu) czterokrotnym w niespełna roku darzy go awansem.

We wrześniu 1914 roku porucznikiem zostaje; 11 listopada kapitanem, 24 marca majorem, a 23 sierpnia szlify mu przynosi podpułkownikowskie z definitywną na komendanta pułku nominacją w trzydziestym piątym roku życia, którego działalność cała do walki koncentrowała się z caratem, od prac w organizacyach rewolucyjnych poczynając, poprzez organizowanie nastę-

pnie militaryzmu polskiego aż do walk dzisiejszych, w których imię jego na jedno z naczelnych wybiło się stanowisk — a on sam sobie zawdzięczając wszystko stał się jednym z tych niewielu, których imię na karty swe, w tych walkach krwawych, już wzięła historia...

N A D P R U T E M.

Po walkach długich, po nadgranicznem na kordonie czuwaniu, po odwrocie dokonanym pod naporem straszliwym (cała majowa „kontrofenzywa“ rosyjska skierowana była przeciw na armię Pflanzera-Baltina do której należeliśmy) znaleźliśmy się 13. czerwca na drugiej stronie Prutu, między wsiami Białą a Strzeleckim Kątem, daleko nawet za Kątów ku Glinicy, gdzie był silny przyczółek mostowy, sięgając...

Pozycja nasza biegła wzdłuż wysokiego, prawego brzegu Prutu, podczas gdy lewy i to nie całkiem, był w posiadaniu Moskali...

Okopy, jak na lato, wybudowane były nieźle; za okopami drut kolczasty, przed okopami woda, rzeka, wstęga szeroka, gdzieś od zachodu w zakrętach płynąca widocznych, na najbliższym horyzoncie rozlewająca się wspaniale, szemrząca u stóp naszych zeich... Tam schodziły placówki; patrole i wedety na drugą stronę rzeki szły, strzelając z Moskalami do siebie nawzajem, aż po koniec maja, nieczęsto.

Kwaterna pułkowa była wtedy we wsi Białej... Treny w Czerniowcach częścią a częścią w Cecynie, parę kilometrów od Białej... Wozy karkołomną drożynę przez lasy miały, piechur do frontu idący przez łąk i pól miękkie trawy, albo i błota czasu deszczowego wędrował,

za drutem kierując się z Cecyny, z komendy brygady, do komendy pułkowej...

Komenda ta, chata nie kurna już, bo z piecem na trzecią część izby ale... obskurna. Tam komendant pułku major Minkiewicz z adjutantem i oficerem ordynansowym chorążym Chmielowskim mieszkał... Reszta kwater podobna, takasama — w typowo ruskiej a niezamożnej wsi. Lepszą kwaterę, a już u końca siola miał tylko kapitan Zając, batalionu III-go komendant... Poza domem jego już pozycya była właściwa, okopy w ziemię wkopane, krużganki, uliczek labirynt... w dzień pusty, bo słońce gorące poczynającego się upalnego lata na wierzch wszystkich wyciągało. Tu więc, w całym obszarze okopów życie wrzało bujne. Żołnierzy zabawy w pliszkę czy palestrę, oficerów nad brzegiem rozmowy i dyskusye, a przez szkła śledzenie Moskali niewidocznych, bo skryli się gdzieś daleko, Sadogórę, o której zniszczeniu bezecnem już do nas wieści doszły, w rękach swych mając, Żuczkę i Łękowce; z drugiej zaś Mama-jowce, Łużany itd. — cały pas kraju dopiero przez nas opuszczony. Armaty grzmiały wówczas rzadko. Trzydziestosiedmiomilimetrowa bateriajka nasza przy batalionie drugim była; ponadto nam austriackich dziewiątek baterię dodano... *Ta waliła czasem na drogi dalekie* gdy jakiś ruch podejrzany spostrzegła; czasem zaś na Mama-jowce, gdzie była jakaś wyższa komenda rosyjska... I to było wszystko; tyle tylko, że nocą zdarzały się alarmy, i ostre pogotowia wyczerpywały żołnierza — brak spoczynku w nocy wetującego sobie ile możności za dnia... Karabinowych strzałów w dzień nie słyszało się prawie... Zato w zmierzchu u wylotu drogi od kwatery pułkowej nad Prutem stanąwszy, fortepianu z dru-

giej strony rzeki dolatujące słyhać było dźwięki... W tem miejscu, na brzegu płaskim było domów kilka... Skrawek ziemi neutralny, ani nasz, ani rosyjski za dnia. Nocą patrole tam chodziły nasze i dalej jeszcze, oraz szopenowskich mazurków rozlegały się tony.

Prawdziwej sielanki dni, w którą jedynie hukiem wpadała przez dni kilka od strony Czerniowiec „gruba Berta“ — słyszana przez chłopców naszych wówczas poraz pierwszy... Huk jej, z powodu oddalenia nie był zbyt wielki — ale te znane już z tylu opisów vibracye powietrzne, ten jęk przestworu i jakby grzmot głuchy, gdy pocisk przelatywał znaczną przestrzeń nad wodami Prutu będącemi dlań czemś w rodzaju rezonatora, to wszystko stanowiło nowość, błdną jednak wobec takiej sensacyi jak te olbrzymie słupy ziemi wyrzucane siłą eksplozyi, a widne z bardzo daleka...

Piechoty trud bojowy, poza owemi pogotowiami i alarmami nocnymi był niewielki; pracowała natomiast nieco kawalerja, odbywając od czasu do czasu patrole na drugą stronę rzeki... Były to patrole małe zazwyczaj, ale rezolutnie prowadzone i nie pozbawione uroku... Trwały zaś przez kilka pierwszych dni pobytu naszego nad Prutem, później ustały; i aż dopiero przy samym końcu maja poszedł silniejszy wywiad za rzekę... Ale to już była historia inna i znacznie późniejsza, a zadanie przez piechotę wykonane.

Gdyśmy tak tedy przeleżeli nad rzeką dni kilkanaście, przyszło zwężenie frontu naszego... Kwaterna pułku trzeciego przeniosła się z Białej dalej na zachód w las, gdzie szalasy przy gruzach spalonej leśniczówki stały się jej siedzibą — bataliony na odcinku, przeważnie leśnym, ścieśniły się... Część oddziałów do rezerwy po-

szła... Zaroił się od żołnierzy las bukowy. Zaczęły nagle wyrastać pałace i wille ziemne, architektura piwniczna i zdobnictwo paprociowo-korowe święciły tryumfy i kwitły jak nigdy. Przed „willami“ całe klomby kunsztowne zarosły olbrzymiami jak palmy paprociami, oraz kwieciami zniesionem z polan i konsekwentnie... wędnącem. Strumyki małe dawały sposobność imitowania kąpieeli — a zmierzch rozbudzał śpiewaków naszych, których pieśnią, w noc późną rozbrzmiewał las i okopy.

Chyba, że dołem placówki w karabiny zagrały, a za laskiem małym na prawo od kwatery pułkowej umiejscowiona bateria porykiwać zaczęła... Bateriai trafiało się to po kilka razy dziennie, podczas gdy placówki nocą, a i to nie każdą, najczęściej nad świtem, takie alarmy czynić były zwykły...

Za dnia zdarzało się, że się aeroplan zjawił rano lub popołudniu — to ostrzeliwano go z okopów — nie zawsze napróżno, bo jak się później od jeńców dowiedzieliśmy, właśnie za pobytu nad Prutem zestrzeliliśmy obserwatora a lotnika ranili śmiertelnie... Dzielny zeń żołnierz był. Do swoich bez pospiechu zbytniego, nie dając niczego poznać, dojechał. Tam też później skończył...

Koniec maja przyniósł w monotonii pewne urozmaicenie, wyprawę na drugi brzeg Prutu. Po batalionie poszło z każdego pułku: z drugiego major Norwid, z naszego kapitan Zajac ze swymi batalionami... Deszcz był, brzydki dzień, gdy wymaszerowali; na noc do Glinicy doszli, a ledwo trochę żołnierz zdrzemnął, zaalarmowany, przez most, poszedł dalej ku Ługowi i Łużanom... Połowa w przyczółku Glinickim z kapitanem Zajacem jako rezerwa została a połowa na wywiad tyralierami poszła... Wówczas z pułku naszego podpor. Godzie-

jewski odznaczył się prowadzeniem wywiadu na stacyę kolei w Łużanach, a chorąży Tarkowski, wraz z porucznikiem Kossakowskim obroną jednej z redut.

Rezultatem wywiadu były straty poważne zadane Rosyanom: kilkudziesięciu zabitych, kilkunastu do niewoli wziętych — podczas gdy my mieliśmy wszystkiego kilkunastu rannych i kilku zaginionych, których część później się znalazła...

Czerwiec upałami się zaczął i pogodą przecudną... i coraz częstszymi salwami wiwatowemi z okopów, bo coraz lepsze szły o ofenzywie wieści... W Boże Ciało msza polowa, na pozycyi — może dwieście jakich kroków od najbliższego okopu odbyć się mogła...

W pogodzie, w słońca upale odwszawiał się żołnierz; kuchnie na same niemal zjechały pozycye... Bezpiecznie się czuliśmy i wygodnie jak nigdy, widząc równocześnie z nadchodzących telegramów, że z zbliżającą się ku nam ofenzywą i nam się ruszyć przyjdzie...

Jakoż, rzeczywiście 7 czerwca otrzymaliśmy rozkaz wymarszu...

Nazajutrz oba brzegi Prutu były przez nas obsadzone...

Dnia trzeciego ściągnięto z prawego brzegu rzeki pozostające tam jeszcze nasze bataliony... Poszliśmy na przód, na Besarabię.

Szesnaście dni miało jak na okopach pod Strzeleckim Kątem leżeliśmy, a właściwie to nie wszyscy nawet na okopach, a część spora po lesie — na istnej majówce.

Szesnaście dni! Dla chłopców naszych straszliwie to długo, zwłaszcza, że wśród zwyczajnej zdaleka pukaniny, na którą nawet porządnie odpowiedzieć nie można, a tylko strzela się tak na oślep prawie — jak się to mówi — Panu Bogu w okno. To też szczerze się ucieszyli, gdy nareszcie raz o godzinie dziesiątej zrana — a było to 31 maja — nakazano dwom batalionom pogotowie marszowe. Były to: batalion trzeci pułku drugiego pod majorem Norwidem, dopiero co przybyłym do nas z I Brygady, i batalion trzeci pułku trzeciego, zostający pod komendą kapitana Zająca.

Porwały się wnet z leż swych oba bataliony — stanowiące zresztą rezerwę naszą — i w godzinę może później, wśród deszczu, wśród ulewy szkaradnej, każdy z stanowiska swego, przez piękny bukowiński las, osobną drogą, pomaszerowały ku odległej o jakieś dwie mile wsi Glinicy, gdzie był bardzo silny przyczółek mostowy... Tam około siódmej wieczorem stanęły bataliony kwaterą...

Niedługim jednak był znużonych wypoczynek, bo już o dziesiątej, ledwo letnia noc zapadła, zaalarmowano oddziały, pobudzono, i trzeba iść dalej.

Komendę całości ma major Norwid. Zadanie batalionów: spatrołowanie wsi Ługu po drugiej stronie Prutu. By to wykonać, oddzielono cztery kompanie na których czele stanął sam komendant wyprawy, podczas gdy reszta z kapitanem Zającem została w rezerwie... W każdej grupie po dwie kompanie z obu pułków. My, z kompanii dziewiątej pułku trzeciego z porucznikiem Kossakowskim i naszym komendantem chorążym Tarkowskim, poszliśmy z majorem Norwidem.

Noc była głucha i ciemna, bo po deszczu... Ze wsi drogą szeroką na most — a nim przez Prut, gdzie na drugiej stronie nastąpiło rozdzielenie sił, przechodzi oddział wywiadowczy i rozłącza się w przyczółku. Ci z pułku drugiego z porucznikami poszli Mężyńskim i Dziekanowskim; kompanię pułku trzeciego poprowadził podporucznik Godziejewski; plutonowi zaś Tarkowskiego przypadło w udziale stanowić ubezpieczenie przyczółka mostowego, ustawić się w reducie nr 7. Na sąsiedniej takiej reducie była piechota austriacka. Padły ostatnie rozkazy i dyspozycje — rozłączyły się oddziały i poszli nasi, by wnet w zupełnej zniknąć ciemności. Jeszcze czasem jakieś stuknięcie, jakiś odgłos daleki posuwających się naprzód dochodził ku nam, ale wnet i to przycichło. Zrobiła się znowu noc i cisza — w której przysięgłbyś, że nie się nie dzieje, że nie się nie rusza... Oni zaś szli tymczasem, podczas gdy my umieściliśmy się na pozycji i czekamy...

Przed nami druty kolezaste, reduta mocna, trwać można, — tylko czas się dłuży, i nie wiedzieć co począć z sobą, jak długo takie oczekiwanie potrwać może.



Podpor. Godziejewski.

Wtem naraz — godzina była wpół do drugiej w nocy — z tyłu, z pozycyi za nami pada blask reflektora i oświetla jeden z naszych oddziałów, kompanię podporucznika Godziejewskiego, posuwającą się w tyralierze. Światło zabłyśło tylko i zgasło, ale wystarczyła ta jego chwila jedna. Pada strzał jeden, drugi, trzeci — i naraz zrywa się strzelanina gęsta.

Walać widać nasi, ale i Moskałe nie próżnują. Nad głowami naszymi wysoko świszczą i przenoszą kule, nie nam, ale tym tam na przodzie przeznaczone. Strzelają rzetelnie i gęsto, tyle tylko, że niedbale, że za wysoki celownik wzięli...

Po chwili takiesame strzały słyszymy z strony lewej, gdzie przy dwóch kompaniach pułku drugiego pozostał major Norwid. Widać i on także już jest w ogniu.

Trwa to minut — pięć, dziesięć, kwadrans cały, a chłopcy drzeć zaczynają z niecierpliwości i ochoty.

— „A my wnet zaczniemy, panie komendancie“? Niestety, nie wnet. Bo jakżeż, przed nami przecież nasi.

Uspokaja się więc z trudem żołnierz — a tylko w strzały się wsłuchuje i uchem je chwyta, jak oddalają się od niego, chwilami słabną, to znów wzmagają się w akord potężny.

A my czekamy. Świt się już robi, strzały, które się były oddaliły zbliżać się zaczynają znowu. Widocznie nasi, spełniwszy zadanie, cofać się zaczynają.

Świt coraz jaśniejszy, tak jasny, że wreszcie w niepewnym jego blasku widzimy wyraźnie na prawo i lewo od reduty ustępujące nasze oddziały. Za nimi zaś sunie ogromna tyraliera rosyjska: dwa bataliony przeciwnym trzem naszym kompaniom... Tyle tylko, że kom-

panie nasze już między reduty wchodzą, to i bezpieczne. Tyraliera zaś rosyjska i przeciw nam się także obraca i w okop wali z karabinów co siły. Nie robimy sobie z tego wiele, za osłoną bezpieczni. Dopiero jak podeszli na sto może kroków, jak nie gruchniemy w nich salwą raz, drugi, trzeci...

Przycupnęli Moskale i padli, a my „paczkami“ — zrobił się ogień rzetelny aż miło. A oni naraz wstają, ręce podnoszą do góry i poddać się chcą. Albo i nie chcą, bo u nich to tak: podnoszą ręce w górę, poddają się niby, a jak wyjdzie oddział jeńców brać, chwytają za porzucone karabiny i zaczynają palić w nieprzygotowanych, w tak dobrze jak bezbronnych.

Taksamo zrobili i teraz. My, gdy widzimy, że u nich „ruki w wierch“ przestajemy ognia. Ale na krótko, bo nie wytrzymał szelma któryś i strzelił zawczasu.

Tak to wy robicie! — myślimy sobie i zaczynamy strzelać na nowo, gęsto — jak to tylko my umiemy — a i celnie widać, bo tam od nich wciąż idą wrzaski i wycia niehumanitarne. Rannych musieli mieć moc całą — i nie bardzo się im chciało nosy wystawiać. Bo co raz „ura“! krzykną i wstaną, to nie biegną naprzód, ale skąd wstali tam i padają natychmiast, a tylko sobie dalej dołeczki grzebią, (znaleźliśmy nawet jednego z zabitych nad dołkiem trzymającego w ręce łopatę w ziemię wbity), podczas gdy komendanci zgoła „istin-norusskiem“ słowem zachęcali ich bez przerwy, by przecież poszli jakoś naprzód.

Trwało to dość długo. Trzy razy krzyczeli „ura“! i trzy razy padali, aż wreszcie zerwali się i poszli, usiłując oskrzydlić nas z lewej strony.

Zrobiło się gorąco. Ściągnęliśmy na siebie ogień

całej siły, ale zato wyratowaliśmy z niebezpieczeństwa cofające się nasze kompanie, już bezpieczne, bo już znajdujące się za Prutem.

Zostaliśmy sami... Porucznik Kossakowski przesuwając w tej chwili na najbardziej zagrożone lewe skrzydło jeszcze jeden pluton, a sam z karabinem kładzie się przy żołnierzach i wali z nami tak jak i my walimy bez przerwy, śmiejąc się i dowcipkując bezustannie... choć niebezpieczeństwo groźne, choć idą jak fala w każdej chwili zalać nas i pochłonąć mogącą.

Lecz w chwili, gdy Moskale są już blisko, zagnała z reduty szóstej zaczynają strzelać Austriacy! W porę samą...

Oddychamy swobodniej, choć niebezpieczeństwo nie minęło zupełnie. Jeszcze pięćset, jeszcze tysiąc strzałów, a tyraliera rosyjska się załamuje! Zrazu kilku, kilkunastu, wnet jednak dziesiątkami i setkami zaczynają „wyrywać“ Moskale. Zatrzeszczał raz jeszcze nasz karabin maszynowy, wzmagając ich popłoch skutecznie.

Z reduty zaś wybiegają w pościg za nimi nasi chłopcy, ścigając uciekających długo, daleko, zawzięcie. Podnoszą Moskale ręce do góry, poddają się, ale nasi, pomni jeszcze zdrady niedawnej, zrzadka pardon dają. Zwolna jednak nienawiść gaśnie; biorą jeńców i prowadzą ich z powrotem w redutę. Kapral Oświecimka przez tysiąc dwieście kroków ścigający uciekającego Moskalą, dopada go wreszcie, rozbija i w niewolę bierze. Inni przyprowadzają dwudziestu ośmiu jeszcze. Razem wzięliśmy zdrowych jeńców dwudziestu dzieściu; niewiele, ale więcej nie było nam trzeba.

Równocześnie przetrząsamy pobojowisko, szukając

rannych. Ciężko ranionych znaleźliśmy dziesięciu; ilu było lżej niewiadomo, bo uciekający zabrali ich z sobą. Trupów naliczyliśmy mnóstwo. Na samem głównem pobojuwisku było ich dwadzieścia pięć. W lasku opodał miało być kilkanaście, ale tych już nie liczyliśmy, zajęci rannymi, których trzeba było znieść na naszą pozycję. Jakoż znieśli ich chłopcy, a lekarz batalionowy dr Mateczyński opatrzył.

Trwało to od godziny trzeciej do siódmej rano, poczem nadeszła austriacka placówka luzując nas, a my — pluton Tarkowskiego z dziewiętej kompanii trzeciego pułku — z pewnym żalem opuściliśmy „naszą“ redutę nr 7, sami bez strat w ludziach, tak nam poszło szczęśliwie, choć chłopcy nie „dekowali“ się wcale, ale na okop wyłazili, i tak dopiero „prali“ w Moskali co siły i ładunków w ładownicach.

Tyle tylko, że parę karabinów rozłupały nam kule rosyjskie, a niektóre powbiły się nawet w pochwy bagnetów, a chorążemu Tarkowskiemu, który stojąc cały czas w najsilniejszym ogniu, naszą akcyą sam kierował, przedziurawiło płaszcz parę razy, to samo i porucznikowi Kossakowskiemu.

O godzinie siódmej zeszliśmy z reduty i złączyli się z resztą naszych, którzy również strat wielkich nie mieli. Trzech zabitych, dwóch, którzy utonęli w rzece, paru lekko rannych i kilkunastu zaginionych. Lecz tych paru wróciło później powoli; nie wszystkich bowiem udało się Moskałom zagarnąć. Ale naszej reduty siódmej z pewnością nie zapomnieli długo!

Z CZERWCOWYCH WALK I BOJÓW

I. W Y M A R S Z.

Pułk nasz, trzeci pułk Legionu dostał 7. czerwca rozkaz wymarszu. Nareszcie!

Przeleżeliśmy oto na pozycyi, nad Prutem, przy gruzach spalonej leśniczówki (nazywało się to w gwarze z terminologii map zaczerpniętej „I-Ha spalone“), między Białą a Strzeleckim Kątem, nieco na zachód od Czerniowiec, dni dwadzieścia cztery... Napatrzyliśmy się do syta Prutowi, narozkoszowali przepyszną zielenią lasów bukowych, użyli niby to wczasów a w rzeczywistości ciągłych alarmów nocnych, czas już naprawdę odejść, czas odejść naprzód...

Zrywają się szybko ze swych okopów, ziemianek i szalasów plutony, opróżniają się „wille“ i „pałace“, formują kompanie, by na dużym w blaskach zachodzącego słońca tonącym, ukwieconym placu zbiórki, jakim jest dla nas paruletni zaledwie sad leśny — coś jak łąka, coś jak polana, drzewinkami zrzadka porośla — zebrać się w bataliony.

Suną drożynkami wśród lasu i spływają w dolinkę jak strugi szare oddziały, jeden za drugim, aż wypełnią ją wreszcie, ciężkim bojowym rynsztunkiem obciążone rzesze — niby duże, ruchliwe, falujące a ciche jezioro.

Na prawem skrzydle naszej pozycyi, za wzgórkim, młodym laskiem zakryte, grzmiały jeszcze armaty, obsy-

pując nieustannym ogniem kawalerię, która się ukazała na drodze tam po drugiej stronie rzeki i spędzają oddział jezdny skutecznie.

A w szałasie komendy pułkowej telefon dziś aż języczy... Telefonista rady dać sobie nie może... Słuchawki nałożył obie i słuchając pisze, to znów dyktuje bez przerwy. W komendach zaś batalionowych ruch a gwar, pospiech i pakowanie. Za godzinę, za kwadrans, za minut kilka ruszamy!

Wychodzi przed szałas swój komendant pułku. Prostuje się, wypręża — jakby chciał z siebie zrzucić ciężar, w niskiej budzie, w oczekiwanej ofensywie, w pozornej nieczynności, przeżytych tygodni kilku. Rzuca okiem w dół na falujące głów morze, i jeszcze jakiś rozkaz adjutantowi wydaje — coś poprawić każe...

Za chwilę, ostatecznie gotowi — ruszamy. Na koń siada major Minkiewicz, ku batalionom podjeżdża, przegląd sprawia doraźny, z oficerami rozmawia. To tu, to tam kilka słów rzuconych, rozkaz uzupełnia, pochwała — jak przed wymarszem na bój, bo na bój przecież — nie będący niczem nowem tym żołnierzom — idziemy...

Właśnie słońce, duże krwawe słońce, jakie bywa tylko w dniach lata, za góry zachodzi, gdy pada rozkaz wymarszu. Pospieszenie odrywa się straż przednia, za nią łączniki, poczem powoli rusza też i siła główna. Rozwija się długi szary wąż, w niezliczone skręcając się sploty, karabinów jeno zrzadka połyskując łuską i sunie zwolna wśród lasów bukowych szemrzących zeicha pożegnanie tym zastępom mężnym, co krótką w nich znalazły gościnę... Szemrzą drzewa w wietrze,

a na las ostatnie płyną słońca blaski, w gąszczu już zmierzch rozłącza swe królowanie, gdy z wzgóрка przydrożnego, sam w półcieniu już tonąc, major Minkiewicz, po ostatni raz jeszcze oddziały przegląda idące, aż wreszcie i żołnierze i on sam zanurzyli się w przepaścistą czerń lasu, nad którą noc zasłonę nieba rozpostarła gwiaździsta.

Krok za krokiem maszerujemy zwolna. Godzina mija za godziną... Czasem pieśń się rwać żołnierska usiłuje, ale na rozkaz milknie niepowrotnie. Przebiegają konno wzdłuż kolumny adjutanei i oficerowie — a żołnierz gwarzy zcicha i idzie.

Na rozdrożu — w lesie — łączymy się z pułkiem drugim, który też od swej pozycyi przymaszerował i idziemy dalej, dalej ku przypuszczalnej kwaterze w Glinicy, gdzie czeka nas może spoczynek — nas, t. j. tych, którzy wyszli z pozycyi nie opuszczonej jeszcze zupełnie, ale ludno i zbrojno, od tygodni, czuwającej nad Prutem.

Bo nas do ofenzywy wyszły zrazu tylko cztery bataliony, po dwa z drugiego i trzeciego pułku, oraz oba szwadrony kawaleryi, wszystko pod majorem Minkiewiczem, podczas gdy pułkownik Zieliński został na dawnej pozycyi z dwoma batalionami piechoty, po jednym z pułku każdego i z dwoma bateriami artyleryi.

Idziemy więc... Jeszcze sześć, jeszcze cztery tylko kilometry dzielą nas od przypuszczalnej nocnej kwatery, gdy wtem: puk-puk — z prawej strony rozlegają się strzały karabinowe. Sekunda, a wali salwa, po niej zaś szybki nieprzerwany ogień, w którym trudno już strzał pojedynczy odszukać... Coś, co przypomina gwałtowne bulgotanie wody gotującej się w jakimś

kotle ogromnym, bulgotanie zaprawione charakterystycznym szeczękiem stali, trwające bez końca, idące gdzieś od góry, od dopiero co przez nas opuszczonej pozycji, na północ ku wrogowi.

Nie denerwuje się niem i nie gorączkuje stary, choć wiekiem tak młody, żołnierz; rezygnuje ze spoczynku, domyśla się, przypuszcza, że dziś jeszcze, tej nocy, może za godzinę, za dwie pójdzie w ogień. Trwa ta strzelanina dość długo, godzinę mniej więcej, a w czasie jej dochodzimy do Glinicy, układając się na spoczynek wzdłuż drogi, oczekując dalszych rozkazów, i spoczywając, by sił nabrać do mającej rozpocząć się już za parę godzin walki.

II. P O D Ł U Ż A N A M I.

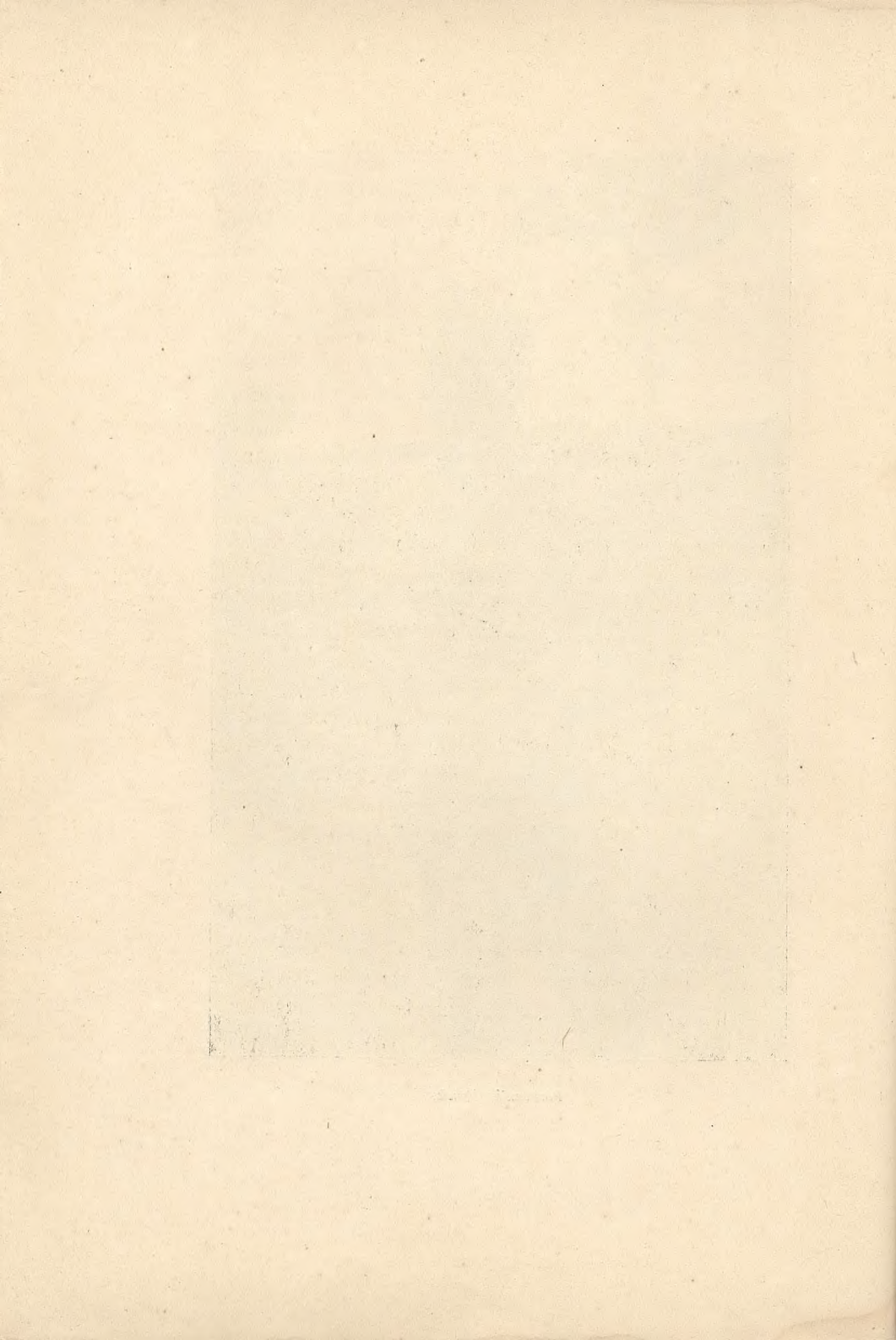
Świt dnia 8 czerwca zastał nas jeszcze w Glinicy. Pokrzepiony krótkim snem w chłodzie nocy pod gołym niebem spędzonej, zerwał się żołnierz rzeźko i szybko spożył śniadanie, rozwieszane przez kuchnie polowe.

Dyspozycya na ten dzień komendantom batalionów przez majora Minkiewicza wydana, brzmiała:

„Bataliony: pierwszy (pod komendą porucznika Łyska) i trzeci (kapitana Zajęca) współdziałając z lewo-skrzydłową dywizją austryacką, obsadziwszy wieś Łużany, zajmą pozycję od stacji wzdłuż toru kolejowego a dalej wzdłuż zachodniej części Mamajowiec aż do potoku Sowicy. Bataliony pułku drugiego pod majorami Norwidem i Lorscheim zostają w rezerwie dywi-



Porucznik Łysek.



zyi; kawaleria zaś w Glinicy, gdzie obsadzi reputy mostowego przyczółka“.

W myśl powyższych dyspozycji nie mostem u wylocu wsi leżącym a silnie umocnionym, lecz nieco dalej na wschód, posuwając się zrazu prawym brzegiem Prutu, potem najpierw przez kładkę „gęsiego“, a wreszcie przez odnogę rzeki wbród, posunęły się bataliony ku Łużanom.

Przejsie Prutu nastąpiło o godzinie wpół do szóstej rano, poczem wśród lekkich utarczek, zrazu z kawalerią nieprzyjacielską, a następnie i z patrolami pieszymi, osiągnięto wskazaną rozkazem linię, rozwijając się około dużej, granatami zniszczonej cukrowni łubańskiej w tyralierę,... przesuwającą się opłotkami wzdłuż wierzb, między stosami żarzącego się od pocisków zapalonego koksu, oraz wśród gruzów i dziwacznych stert nawpół przepalonego i fantastycznie pogiętego metalu z urządzeń fabrycznych.

Posuwając się zwolna ku wsi i w wieś samą, koło godziny wpół do 11-tej w południe, w straszliwym upale dosiegającym 35° C. i ścigającym nas potem przez całą ofensywę, zajęto pozycję. Porucznik Łysek z batalionem swym na „lisierze“ wsi, kapitan Zajac wśród chałup, wpośród sioła ku drodze i ku potokowi Sowicy.

Okopują się szybko i sprawnie żołnierze nasi za opłotkami, zwłaszcza, że jest chwila ciszy nieprzerwanej żadnym znakiem życia ze strony nieprzyjaciela. Moskale bowiem, którzy obsadzili byli tor kolejowy i razili nas stamtąd dość zresztą nieskutecznym ogniem karabinowym, cofnęli się w popłochu, nie wdając się narazie w poważniejszą walkę, zostawiając nas panami

pozycyi, znaczną obejmującej przestrzeń: od stacyjki kolejowej gruntownie zdemolowanej przez nich i mającej teraz nadto ślady kul naszych, aż po lewy brzeg Prutu.

O tyle ruchem naszym porannym rozszerzyliśmy przyczółek mostowy.

Okopywanie się jednak nasze i względny spoczynek nie trwały zbyt długo, albowiem już koło godziny pierwszej popołudniu Rosyanie, którzy przez pierwszą kompanię podporucznika Szula zostali rano wyparci ku wsi Witelówce — jakby ochłonawszy — wrócili w większej sile, usiłując wyprzeć nas, sforsować i ponownie zająć utracone Łużany.

Ale pułk trzeci nie oddaje tak łatwo tego co już raz zajął... Starły się więc placówki nasze z patrolami sił rosyjskich i zaczęła się żywa strzałów wymiana, w którą wnet wmieszał się bas mruczący rosyjskiej artylerji. Posypały się ku ledwie jako tako urządzonej pozycyi naszej z chichotem przeraźliwym, szrapnele. Jeden, drugi i trzeci bez skutku, tyle że wrzasku narobiły i dymkami wykwitły, aż naraz jeden za drzewa, za chałupę trzasnął. Krzyk, zamięszanie, boć tam w tem miejscu ludzie stali. Na miejsce wybuchu przybiegają żołnierze, jawią się sanitaryusze z noszami.

W kałuży krwi leży żołnierz ordynansowy, kapral Bajowski. Ten już bez życia, ran kilkanaście śmiertelnych otrzymał i skonał (z głową oderwaną, z karabinem na ramieniu o strzaskanej zupełnie kolbie i lufie). Obok wije się w bólu plutonowy ordynansów Bartosiewicz. Ciężko ranny, opatrzony przez lekarza, do szpitala pojechał. Z ran swoich się wylizal i medal później dostał. Przy nich zaś cztery konie służbowe ma-

jora i adjutanta zabite. Tyle złego jeden szrapnel narobił, ale to tylko jeden, bo późniejsze nie były już takie celne, podczas gdy nasz ogień karabinowy wsparty skutecznie karabinem maszynowym chorążego Lewickiego, utrzymuje atakujących w przyzwoitej odległości, próbę sforsowania krwawo — bez godniejszych u nas wspomnienia strat — odpierając.

Zrozumieli tedy Moskale bezskuteczność swego ataku i przycichła ostatecznie artylerya; poczem my na swojej pozycji od biedy umocnionej, a oni na swojej — poprzednio już dobrze przygotowanej — przetrwaliśmy dzień cały spokojnie, tyle tylko, że placówki i wedety z hojniejszym amunicji niżli krwi szafunkiem ostrzeliwały się bez przerwy prawie...

Pod wieczór przycichło i to nieco, ale już koło godziny jedenastej w nocy, próbują znów siłą wiać nasze pozycje i odeprzeć nas do przyczółka.

Silne patrole od strony Mamajowców podsuwają się prawie aż pod nas, korzystając z osłony nocy i z każdego wzniesienia terenu. Miedza — za okop służy; jedna z wedet batalionu trzeciego, zaskoczona, przycupnęła w bruździe... Nie badając wiele, na człowieku — myśląc w ciemności, że to jakowaś nawozu kupka, Moskal karabin opiera, chowa się za niego i strzela nad nim, podczas gdy przed leżącego sypią się gradem kule nasze.

Ostatecznie, w nieustannym blasku rakiet, gwałtownym ogniem i ten atak odparto — poczem porządnie nastraszona wedeta wróciła do swoich.

Odtąd mieliśmy spokój — ten zgiekliwy „spokój“ stanowiska w ogniu, gdzie co chwila padają strzały,

gdzie wciąż niepokoją się oczy i uszy pozycyi: patrole, placówki, wełady — aż do rana.

A rankiem 9 czerwca zaczęło się to wszystko znów na nowo działową uwerturą piekielną, w której częściowo pozycyi trzeba bronić, a częściowo starać się iść naprzód, pochodem zbrojnym i znojnym wywalczać zwycięstwo.

To ostatnie zadanie przypada porucznikowi Łyskowi. Z śląską flegmą i determinacją spokojną czapę jeno na uszy nacisnął, gdy o godzinie czwartej popołudniu otrzymał rozkaz odłączający go czasowo od grupy Legionów i wysyłający jako osłonę flanki dywizji, działającej z naszego lewego skrzydła.

Jak gospodarz czasu żniwa żenców swoich, tak on bierze „se“ swój „baon w garść“, i odłączając się od nas, idzie w kierunku północnym, idzie przez łąn dziwnie nieurodzajny, przez bagna i moczary, na których trawy wyrosły po pas a dziury są takie, że co chwila zapada w nie legionista jakiś i wydźwigiwać go trzeba.

Ale mimo to idą i jeno pot im z twarzy spływa, a armaty rosyjskie — sześć dział niezwykle upartych — walą w nich i walą... Pękają granaty to tu, to tam... trzy przed nimi, trzy za nimi. Zaśmieje się zgoła głupio i pięknie szrapnel szóstka, hałasu czyniąc więcej, niżli — zdawałoby się — uszy ludzkie i nerwy wytrzymać mogą.

A oni idą i idą... Czasem tylko ktoś szrapnelowi jękiem zawtóruje i usiądzie, lub się zatrzyma, albo padnie nawet; wtedy sanitaryusz do niego podbiegnie i za front, za to piekło odprowadzi...

Luzuj! luzuj! zawoła czasem głośno, ale w tym gwarze i huku wściekłym niemal za cicho, plutonowy

lub oficer — i znów w szeregach milczenie, i znów idą i idą... aż doszli...

Po dwugodzinnym takim marszu, z stratami od ognia stosunkowo dość nieznaczniemi, przyszedł nareszcie batalion pod Witelówkę — gdzie zastał już gotowe, przez Moskali opuszczone, prawie ciepłe jeszcze po nich okopy i schronienia tymczasowe, spokojne.

Tu chłopcy spoczęli.

Ale gdy tak naprzód posuwa się batalion pierwszy, reszta oddziałów grupy pod Łużanami w ciągłym znajduje się ogniu.

Także i pułkownik Zieliński na prawym brzegu Prutu dwoma batalionami i artylerją całą naszą dawną pozycję trzymający, wyrusza dnia tego stamtąd tą samą kładką, jaką i my dzień wcześniej Prut przeszliśmy, śląc o godzinie siódmej rano batalion drugi pułku trzeciego z porucznikiem Szczepanem na Mamajowce Nowe, oraz sam idąc tam inną stroną przy batalionie pierwszym (por. Stożek) pułku drugiego.

Kawalerja nasza dotychczas w Glinicy w redutach stojąca, przyłącza się do pułk. Zielińskiego jako rezerwa jego grupy — od Prutu ku północy naciskającej na Mamajowce, podczas gdy od zachodu flankując atakował kapitan Zajac z batalionem trzecim pułku trzeciego.

Pod tym naporem nie długo utrzymały się próbujące oporu bataliony rosyjskie, ale wyparte rozpoczęły odwrót — ucieczkę ku wsi Szubrańcowi, tracąc — ci tylko oczywiście liczeni, którzy w nasze wpadli ręce — dwudziestu jeńców, zabitych i rannych.

Nieprzyjacieli cofa się na całej linii, pościg zaczęty trwa dalej, w grupie głównej majora Minkiewicza przy-

pada zadanie to kapitanowi Zajacowi, który otrzymuje rozkaz z batalionem swym trzecim, pułku trzeciego dojść nocą pod Witelówkę, gdzie — jak patrole nasze doniosły — usadowili się Moskale nad wsią w nader umocnionych, poprzednio już urządzonych okopach. Jakoż o godzinie kwadrans na jedenastą, w noc ciemną, założywszy bagnety na broń, kompanie i plutony na równej wysokości, z jedną kompanią w rezerwie rusza batalion naprzód takąsamą błotnistą drogą, jaką za dnia odbył batalion porucznika Łyska.

Teren po pas bagnisty, trawy, moczary, jakieś rowy po drodze i jarki z strumykami na dnie, utrudniają szalenie ten marsz w ciemnościach, nadludzkich wprost wysiłków wymagając od żołnierza, któremu jedynie cel wyprawy dosłownie przyświeca, albowiem niebo rozgorzało aż do połowy luną palonej przez Moskali za górką Waławy...

Zwolna, krok za krokiem, przystając co chwila, posuwa się naprzód batalion — aż wreszcie idące przed nim patrole stwierdzają, że przed linią bagna, iść dalej nie sposób, zatrzymać się trzeba. Staje więc oddział cały na drodze i zajmuje pozycję, odzyskując równocześnie łączność na lewo z batalionem pierwszym, wchodzącym po całym dniu znów w związek z grupą majora Minkiewicza, przyczem na lewe swe skrzydło otrzymał batalion trzeci majora Norwida z pułku drugiego, który tu nadeciągnął po ciężkiej a pięknym sukcesem uwieńczonej walce z kozakami pod Nową Łaskówką. Nad ranem zaś nadeciągnęła na prawe skrzydło z pod Mamajowiec grupa pułk. Zielińskiego, t. j. bataliony poruczników Szczepana z trzeciego i Stożka z drugiego pułku.

Tak więc w ciągu nocy i nad ranem skupiły się i zebrały znów wszystkie bataliony brygady prócz batalionu drugiego pułku drugiego i baterii Gosiewskiego, stanowiących prawoskrzydłowe ubezpieczenie między Mamajowcami, a Szubrańcem.

Ten całodzienny ruch bojowy sprawił znaczne rozszerzenie przyczółka mostowego, powodując równocześnie zmianę frontu naszego, który z linii prawie że równoległej z Prutem, rozwinął się ku północy idąc mniej więcej od Nowej Laszkówki ku Łekowcom. Na skrzydle lewym był major Norwid, na prawem grupa pułkownika Zielińskiego, w centrum major Minkiewicz — w stałym kontakcie z cofającym się nieprzyjacielem.

Komendę całości objął pułkownik Zieliński.

III. B I T W A P O D W I T E L Ó W K ą.

Zebrane, złączone, na długim froncie stojące bataliony, te przynajmniej, które wcześniej nadeszły, noc — resztę jej — przepędziły względnie spokojnie, i aż dopiero rano (był 10. czerwca) koło godziny 4-tej, zaczął się bój na nowo, szalonym, w gwałtowności swej wprost potwornym ogniem artylerii rosyjskiej z armat salwami bijącej na gościniec przy używaniu jedynie granatów. Rezultat: kilka koni z oddziałów karabinów maszynowych ranionych i zabity artylerzysta austriacki, śpiący za ukryciem sterty słomy...

Podczas gdy tak artyleria rozpoczyna zwykle preludyumienne, major Minkiewicz zebrawszy koło siebie komendantów batalionów, wydaje dyspozycje do walki na dzień dzisiejszy:

„Batalion I pułku 3-go zaatakuj wroga od strony południowo-zachodniej od Łużan; batalion III pułku 3-go na prawo od I-go, podczas gdy na lewo major Norwid (baon III pułku 2-go) utrzymując łączność między grupą Legionów a sąsiednią dywizją, pójdzie z kierunkiem na północny wschód, na Witelówkę i Walawę. Reszta batalionów w rezerwie.

Zadanie było trudne, bo Moskale usadowili się w silnych okopach, z których należało ich dopiero ruszyć, a ogień artylerji i karabinowy nie ustawał ani na chwilę, tak, że w prawdziwym deszczu ognistym ruszyły bataliony naprzód, tyralierą, zwolna, luzując starannie, byle tylko z ognia artylerzyckiego jaknajmniej sze ponosić straty.

Sama komenda pułku trzeciego — na wzgórzu otwartem — wraz z pułkownikiem Zielińskim, znalazła się pod silnym ogniem armatnim w sam czas... śniadania, nieprzerwanego oczywiście tak „drobnem“ zdarzeniem.

A tymczasem bataliony por. Łyska, kap. Zająca i majora Norwida, szły stale przed siebie. Przypadał żołnierz do ziemi, to zrywał się i podbiegał, w żelaznej szkole dyscypliny ogniowej przez tyle miesięcy chowany, sam już wiedzący doskonale, jak mu iść w najtrudniejszych warunkach, jak chronić się trzeba...

Posuwa się naprzód od frontu porucznik Łysek z swym batalionem pierwszym pułku trzeciego, w ogniu do opisania niepodobnym. Skoncentrowany na nich ogień z dział dziewięciu, ruch wszelki prawie niemożliwym — zdawałoby się czyni — a przecież posuwają się naprzód i zyskują na terenie, choć artylerja rosyjska z podziwu godną ruchliwością, w poszukiwaniu celów



Adjutant Por. Bolesław Fiałkowski.

po pięćdziesiąt salw na jedną jedyną oddaje kompanię! W takim ogniu znalazł się podpor. Miś z kompanią dziesiątą. Zdawać się mogło, że nie wyjdzie ani jeden, a przecież przeszli, tem skupieniem ognia na nich okupując łatwiejsze posuwanie się reszty... Kilku zginęło, kilkunastu rannych, sam nadporucznik ciężko ranny w nogę z walki wycofać się musiał. Komendę kompanii objął podchorąży de Mehlem.

Równocześnie batalion trzeci pod kapitanem Zającem ruch wykonuje flankujący, połową w linii ogniowej idąc, połową w rezerwie. Zadanie pierwsze, kompaniom 4-tej i 9-tej przypada. Chorąży Romaniszyn czwartą, porucznik Kossakowski — dla bohaterskiego męstwa podziwem otaczany żołnierzy — dziewiątą prowadził, posuwając się konsekwentnie, w ciągłych utarczkach, przy czemraz gwałtowniejszych detonacjach granatów i szrapneli, ku rosyjskim okopom...

Batalion zaś trzeci pułku drugiego pod majorem Norwidem posuwa się naprzód między Nową Laszkówkę a Witelówkę, utrzymując łączność między por. Łyskiem, a dywizyą austriacką na skrzydle lewym. Pod tym stałym naporem, gdy ogień armatni acz tak straszny, że przerwy między strzałem, a strzałem na części sekundy, wyjątkowo na trzy, cztery sekundy liczyćby się mogły, pierzchli ostatecznie z okopów Moskale...

Batalion pierwszy pułku 3-go przechodzi przez wieś, podczas gdy trzeci tegoż samego — po zajęciu przez por. Kossakowskiego o 7-mej rano okopów rosyjskich — rozwija się, mijając wieś, na lewym jego skrzydle frontem ku Szubrańcowi...

Wykonany ruch batalionów, pierwszego i trzeciego, przesunięcie się przez wieś, stwarza między nimi lukę znaczną... W to miejsce, z rezerwy, rzuca major Minkiewicz batalion II-gi trzeciego... Przestrzeń do przebieżania wynosi około siedmset kroków. Przebyć ją na zupełnie odkrytem wzgórzu sztuka, tem większa, że le-dwo artylerya rosyjska ruch rezerwy spostrzegła, w je-dnej chwili cały swój ogień na nią skierowała, wzgórze żelazem zasypując i ołowiem. Mimoto, nie zatrzymując się ani na chwilę, porucznik Szczepan batalion swój w takich warunkach, bez żadnych strat doprowadził, zamykając chwilową przerwę linii. Zagrożeni bezpośrednio pierzchli Rosyanie, front zaś nasz przybrał obecnie kierunek wschodni.

Kłęska rosyjska nie ograniczyła się do utraty Witelówki, ale wskutek skierowania całego ognia ich artyleryi na nas wyłącznie, przybrała rozmiary szersze. Sasiadująca z nami dywizya austr. zajęła przez ten czas niemal bez wystrzału miasteczko Kocmań i od wschodu podeszła pod Walawę, skąd też uciekli Moskale.

Zajęcie Witelówki, gdzie znaleźliśmy 400 bochenków chleba i kilkadziesiąt worków zboża zostawionego przez uciekających Moskali, pozwoliło na parugodzinny, krótki, przez upalne południe spoczynek, poczem zerwał się żołnierz do dalszego pościgu.

Rozkaz komendy brygady nakazywał zająć jeszcze przed wieczorem linię Mohyla aż nad wieś Szubraniec, front o czterech i pół kilometrach szerokości. Patrole, które poszły naprzód, stwierdziły nieobecność nieprzyjaciela cofającego się pospiesznie. Ruszyliśmy więc i zachodząc ciągle lewem skrzydłem, stanęliśmy na noc, zajmując pozycję nad Szubrańcem...

Zapadał właśnie zmierzch — gdy wzdłuż drożyny polnej zaczęły się układać do snu bataliony, w noc letnią, rozjaśnioną jeno blaskiem łun na całym niemal horyzoncie i zdaleka widzianymi płomieniami gorejących wsi, dworów i karczem... Jak różaniec krwawy płonęły te ognie, dając widok piękny lecz grozy pełen — widok jaki w tych walkach mieliśmy prawie codziennie: w noc łuny, w dzień niebotyczne kolumny dymu czarnego zasnuwającego rozszerzonymi wierzchołkami horyzont — znacząc drogę pierzchających przed nami najeźdźców — po których gdzie przyszliśmy, zgłiszczą zastawaliśmy, ludność wyzwoleniem uszczęśliwioną, a często i trupy niewinne... W ucieczce choć pozogą mścili się jeszcze.

IV. BITWA POD ZADOBROWKĄ.

Świt 11. czerwca zastał nas pod Szubranicem, wypoczętych nieco, wyspanych trochę i przeważnie... głodnych. Świt dziwny, bo po raz pierwszy bez mówiącej „dzień dobry“ kanonady rosyjskiej. Ale i bez niej — raz już rozmach mający — szybko porwał się żołnierz i przez Szubraniec poszedł dalej za Moskalami, których ostatki przez silną mgłę poranną widzieliśmy jak ze wsi uciekały, przez nasze straże przednie ostrzeliwane.

Rozkaz na ten dzień polecał: „W dniu tym i w temsamym co wczoraj ugrupowaniu osiągnąć linię wzdłuż drogi prowadzącej z Sadogóry do Czerniawki, od koty 182 pod Moszkową Górą do karczmy nad jarem Wagu-ri“, odcinek nieco krótszy, bo tylko o trzech i pół kilometrach rozciągłości, a leżący na południowy wschód od dotychczas zajmowanej pozycji.

Na prawo od Mamajowiec Nowych miał wyjść i przyłączyć się do nas, dotychczas nie z nami operujący batalion drugi pułku drugiego pod majorem Lorschelem.

Ruszyliśmy tyralierą przez Szubraniec, a równocześnie kawaleria nasza, na patrol wyjechawszy za Szubraniec na wzgórze, miała utarczkę z rosyjskim patrolem dragoniskim, a wnet i z patrolem pieszym: znaki niechybne, że gdzieś w pobliżu nieprzyjaciół czeka i opór stawieć zamierza.

Przed nami wzgórzem oddzielona i doliną dość szeroką, wieś Zadobrówka; a nad nią na wzgórzach widne zdała okopy rosyjskie, silne, umocnione... Szturmem je brać trzeba...

Spuszczają się ze wzgórza, koło godziny wpół do szóstej rano, w linii tyralierskiej bataliony, całą niemal siłą rzuciwszy w linię ogniową, a część tylko mając jako rezerwy.

Droga do zrobienia daleka i trudna. Nie dość bo, że trzeba zejść z góry nad Szubraniec widnej jak na dłoni — i dlatego pod pewnym ogniem artylerii i piechoty, której strzelnice szklom ukazują się złowrogo — ale jeszcze przejść dolinkę błotną i bagnistą i wspinać się znów pod górę, pod okopy i zdobywać je tak, jak są: silne, kryte i z nadzwyczajnym wprost w dół wystrzałem.

Ale to wszystko niczem dla legionowego żołnierza. Brać każą to weźmie i te okopy, jak już niejedne w życiu brał i nie mu się nie stało. Strach? Dobre to dla innych, nie dla niego... Zażartuje raczej, czapinę z naderwanym daszkiem silniej naciśnie, by jej gdzie nie stracić — chyba z głową, bo juścić na to nie już nie poradzi — i jak mu każą idzie, a za komendantem jeno po-

ziera, za tym skromnym, małym komendantem plutonu: sierżantem, podechorążym, czy chorążym najwyżej — który mu teraz w boju wszystkim, z którym zna się i z którym rozumieją się nawzajem.

Iść kazali — to idą... aż tu naraz: Jezus, Marya! jak nie łupną w nich nagle i odrazu z gardzieli za górą gdzieś przyczajone, baterie rosyjskie... Zaszumiało, zahuczało, zawyło i w trzech liniach, po cztery obok siebie wyrznęły granaty, aż ziemia zajęczała.

Luzuj! luzuj! — krzyczą komendanci, i w lot rozluźnia się linia jak tylko najbardziej można...

Padnij!... Znika pluton w trawie, a nad nim jakby ptactwo zaświegotało złośliwe, dwanaście puszystych chmurek tkwi nad ziemią i grad się sypie po łanie. Jeno zegary-zapały szrapneli gdzieś warczą po polu, padając aż do nóg rezerwie...

I znów się suną i znów upadają, a szrapnele i granaty tak huczą i ryczą i wyją — że słowa nie są już zdolne oddać w należytej formie tej symfonii piekielnej w cudny ranek letni wygrywanej nad idącymi w bój kompaniami Brygady...

Byle tylko nasze armaty zagrać chciały, byle tylko spędziły tych tam przeklętych z ich stanowisk!... Ale armaty nasze mileczą i czekają — słuszne po temu widzieć mając powody; — lecz tyraliera czekać nie może i posuwa się naprzód, skokami, w pojedynkę, po kroków kilkanaście, byle dalej, byle prędzej wyjść przed siebie z tego zaczarowanego pola śmierci, nad którem ptactwo dymków unosi się puszyste, obsypując ziemię bez przerwy okruszynami ołowiu, waląc w nią czerepami stali...

Czasem kompanie całe dostają się w taki ogień, że już zdaje się, dalej iść niepodobna — tak biją gra-

naty i szrapnele, jakby miały lada moment zdziesiątkować wszystko co żyje... Ale wtedy męstwo osobiste, pogarda śmierci, nie tylko przez oficera, ale i przez żołnierza okazane, rozbudzają iskry zapалу i poświęcenia się już bez granic.

I idą wtedy, jak poszła kompania dwunasta w ogniu takim, że ludzie głuchli zupełnie. Naraz granat przyleciał. Huk, eksplozja, ziemi i dymu słup, a człowiek jak pocisk rzucony, odlatuje kroków kilka, pada na sekundę lecz w tejże chwili zrywa się ogłuszony, tem zacieklejszy.

I z okrzykiem: „Naprzód! zamknijmy im gęby“! — rusza na nie już, na żadne kule nie zważając, sekcyjny Ochoła Kazimierz. Za nim zaś cała linia tyralierska.

A on nie jeden.

Sekcyjny Pola Władysław z kompanii piątej również w chwili niebezpiecznej, gdy ogień rosyjski do zenitu doszedł, rzuca się naprzód i tym przykładem resztę porówna.

Takich były dziesiątki, i dzięki im wciąż w ogniu posuwają się nasi — podczas gdy nareszcie odzywa się i nasza artylerja, syjąc pociskami w okopy rosyjskie, szukając pozycyi nieprzyjacielskich dział...

I odtąd, choć grają jeszcze armaty rosyjskie, choć padają pociski, rażniej sunie tyraliera nasza. Artylerja rosyjska już nie tylko nią zajęta, po chwili nawet zupełnie zamilknąć musi, straciwszy dwie armaty uszkodzone.

Odjeżdżają przeto baterie rosyjskie na tylne pozycje, lecz i stamtąd — gdy strzelać zaczynają — spędzają je corychlej baterie austriackie. A podczas tych przerw i w czasie słabnącego ognia wrogiej artylerji od

dolinki ku górze posuwać się zaczynają nasze oddziały. Idą szybko... od frontu batalion trzeci, z flanki porucznik Szczepan wiezie swój batalion drugi. Patrole bojowe pracują. Plutonowy Tomalik na ubezpieczenie flankowe wysłany, napotyka oddziałek kozacki i znosi go najprzykładniej. Tosamo na drugim skrzydle plutonowy Bosakowski, patrol bojową prowadząc, zaskakuje i turbuje niezgorzej Moskali. W ślad zaś za nimi, za patrolami idą nasze bataliony. Już są bliżej, coraz bliżej — i mimo ognia karabinów rosyjskich coraz ściślej zacieśniają pętlę mającą udusić broniących się jeszcze... Trwa to godziny jak wieczność długie — aż zbliżą się ku nim zupełnie oba skrzydła nasze w ogniu karabinów rosyjskich nie ustających ani na chwilę, ziejących ku nam przeraźliwie z swych strzelnic bezpiecznych.

Wtedy podsuwają się ku nim nasze karabiny maszynowe. Chorąży Papeć, podchorąży Komoniecki podchodzą aż na trzysta kroków ku samym okopom rosyjskim. Komoniecki karabinem swym zmusza „pulemiot“ rosyjski — do zamknięcia; Papeć ostrzeliwa otwory strzelnicowe; a tejżesamej niemal chwili nastaje przerwa w ogniu rosyjskim.

To chorąży Parafiński i podchorąży Barys z batalionu drugiego, porwawszy z sobą kilkunastu ludzi z 6-tej i 7-mej kompanii z okrzykiem „hurra“! przedostają się na tyły okopów rosyjskich. Struchleli Moskale i poddają się, ale widząc garstkę zaledwie chwytają ponownie za broń. Napróżno jednak, bo tymczasem już z dołu rozlega się ponowne „hurra“! i podchorąży Bartak z sierżantem Kułakowskim wpadają w okopy od frontu, a za nimi inni. — Rosyanie, przerażeni, tam gdzie mogli uciekają częścią — i na tych podchorąży Ko-

moniecki kieruje ogień ich własnego karabinu maszynowego — reszta zaś poddaje się. Czterystu dwudziestu pięciu jeńców, w czym pięciu oficerów, wszystka broń, jeden karabin maszynowy i mnóstwo amunicji przypa-
dło nam w zdobyczy.

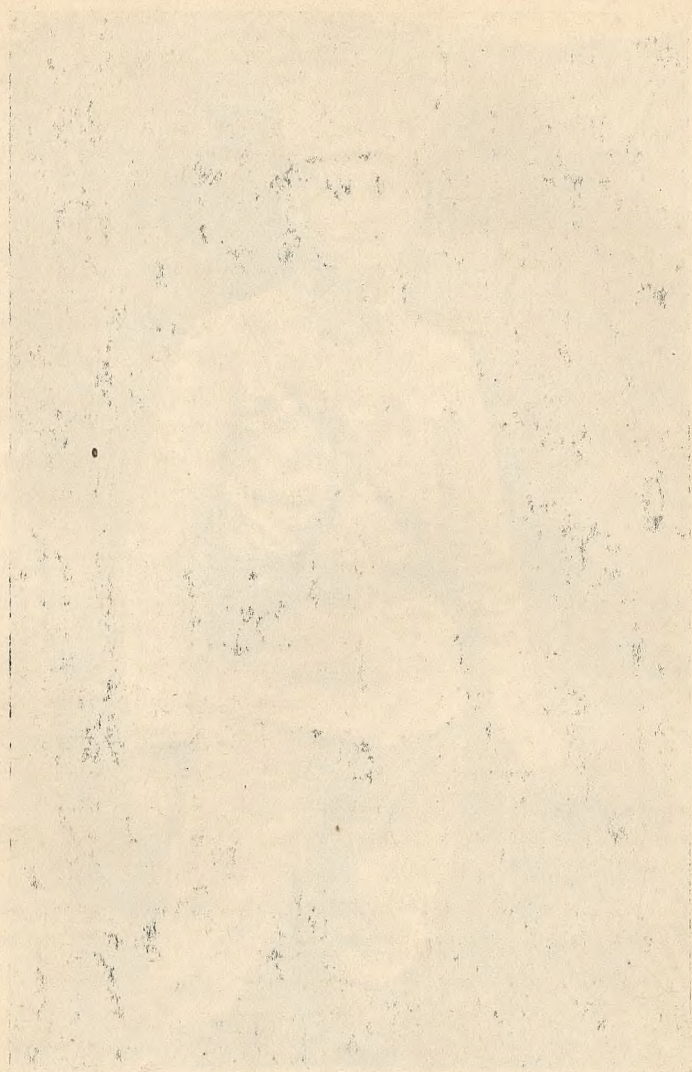
Tak około godziny dwunastej w południe skończył się bój nasz pod Zadobrówką — jedna z najgorszych przepraw II Brygady, bitwa wygrana niesłychaną zaciętością i odwagą legionisty polskiego; bitwa, której z niedalekiego wzgórza przyglądał się z niepokojem i szczerym podziwem komendant korpusu J. E. Korda. Jego rozkaz dzienny przyniósł nam potem pochwałę, a słowo życziwe i przychylne nazwało dzień ten: dniem polskim — „der Polentag“.

Ale bo też i był to prawdziwy nasz dzień... Bitwa pod Zadobrówką oznaczała coś więcej niż zwykły sukces lokalny. Tu był klucz pozycyi rosyjskiej i przełamanie w tem miejscu frontu, zmusiło Rosyan od jednego tego ciosu do opuszczenia całej reszty posiadanej przez nich Bukowiny, do ucieczki z Sadogóry z pod samych bram Czerniowiec i do cofnięcia się aż za własne granice. Dnia 11 czerwca opuścili Moskale Bukowinę, ostatni a stanowczy na niej cios otrzymując z ręki — Legionu.

Taki był nasz bukowiński „Polentag“, w którym straciliśmy kilkunastu zabitych i sześćdziesięciu kilku rannych...



Podpor. Bolesław Szul.



V. BITWA POD ROKITNĄ.

Niema w ofensywie długich odpoczynków; to też i po zdobowieckiej przeprawie ni chwili nie spoczawszy, w kolumnie marszem szybkim, za prędkiej jeszcze uciekającym nieprzyjacielem. pospieszyła Brygada do Szerowiec Dolnych, a stąd do Starych Szańców, gdzie biwak rozłożono i miał być spoczynek...

Niedługo się nim jednak żołnierz nacieszył, bo ledwo ułożył się, a już w godzinę był alarm i marsz na pozycye na prawo i lewo od spalonej karczmy Studnianką zwanej rozłożone. Stąd, zaledwo świt nastał, rozkaz nadeszły ruszył nas w pochód dalszy: frontem około ośm kilometrów szerokim mimo nadgranicznych wsi: Rarańcza i Toporowce...

Rozwinęła się tyraliera długa — i zwolna, noga za nogą, polami ruszyła...

Drogą zaś przez Rarańcze — na godzinę przed naszym przyjściem przez Moskali opróżnione — szwadron drugi pocwałował aż za wieś nadgraniczną i wróciwszy — z stratą jednego — meldunek przyniósł, że wróg pod Rokitną, już na swojej stronie, okopał się silnie.

Godzina była dwunasta w południe, gdy przeszliśmy Rarańcze i znów polami na wzgórze, a stąd przez laski dębowe, przez pola, około folwarczku Bucz do fundamentów spalonego, dalej ku Rokitnej, ku pozycyom rosyjskim.

W środku olbrzymich pól, prawie stepu, powitały naszych krzyżowym ogniem pierwsze strzały armatnie, szrapnele z trzech rosyjskich bateryi, podczas gdy piechota nasza posuwając się naprzód wypierała przed sobą rosyjskie placówki...

Około godziny piątej popołudniu — od rana bez spoczynku prawie — stanęła pierwsza linia, cztery bataliony przed Rokitną, u stoków wąwozu, którego dnem płynie strumyk graniczny. Natomiast dwa bataliony pułku drugiego, stały dalej w rezerwie i w nie to były przeważnie szrapnele przenoszące pierwszą linię bez szkody dla niej...

Zaraz też weszły do wsi pierwsze patrole nasze i... nikogo nie zastały: ludność bowiem uciekła, wojsko zaś znajdowało się w okopach nad wsią.

Batalion drugi pułku trzeciego posuwa się tedy w wieś samą, ażeby ją obsadzić. Bez trudu mu to przychodzi; tyle tylko, że z wieczora ostrzeliwa się z patrolami rosyjskimi, a w nocy mając nieosłoniętą flankę lewą z powodu, że oddział utrzymujący z nami łączność nie nadażył z przybyciem, cofa się ostatecznie na nasze pozycje.

Reszta nocy w ostrzeliwaniu się wzajemnem patroli zeszła mocno niespokojnie, a ledwo świt (13. czerwca) nastał, ruszyła nasza tyraliera. Jak długo leżała spokojnie, milczeli Moskale; ledwo jednak posuwać się zaczęła, posypał się grad szrapneli, w którym jednak atak nasz prowadzony zachodzeniem z lewej flanki ani na chwilę się nie zatrzymał, wspomagany skutecznie ogniem artylerji, bijącej to pod lasek w prawoskrzydłową baterję, to w okopy rosyjskie nad wsią.

W tym koncercie dział godzących wzajemnie w swoje własne stanowiska, to w okopy rosyjskie, to w naszą tyralierę, upłynął zwolna ranek cały, urozmaicony od czasu do czasu żywszym ogniem karabinowym, który jednak nie przeszkodził w niczem przekroczeniu

wsi przez naszą linię, a to od lewego skrzydła poczynając...

Godzina około pierwszej była w południe, gdy cała tyraliera znalazła się za wsią, zawsze jeszcze o jakie ośmset kroków od okopów rosyjskich oddalona. Bliskie były, ale tak silne i tak trudno dostępne, że o ataku na nie wręcz niepodobna było pomyśleć bez dokonania oskrzydlenia, gdy wtem stało się właśnie to do pomyślenia trudne...

Ułani Wąsowicza, szarżą od lewego skrzydła uderzyli na okopy rosyjskie.

O godzinie 1-szej minut 15 było po szarży i tylko armaty grzmiały przeszukując niestrudzenie pole całe — ale piechota nie posunęła się już ani o krok naprzód, lecz owszem koło godziny dziewiątej wieczór, cofnęła się z rozkazu wyższego na stare pozycye, zmuszona do tego częściową, niekorzystną zmianą sytuacji. Prawoskrzydłowy, sąsiadujący z nami oddział wojsk został mianowicie przez Rosyan odparty, a lewy pozostał znacznie w tyle.

Cofanie odbyło się całkiem spokojnie i na rękę Moskalom, którzy nie o następowaniu myśleli, a natomiast o szybkim odwróceniu. Bez łun, bez palenia wsi, cicho a spokojnie wycofali się ze swoich okopów. Artylerya ich zwolna, nieznacznie, zamilkła tak, że rankiem zbudziliśmy się w niezwyklej ciszy, zupełnie... naturalnej, bo Rosyan już przed nami nie było. Starając się czucie zupełnie zatracić, zemknęli w głąb kraju własnego. Donieśli nam o tem pierwsi ranni ułani, pozostawieni na pobojuwisku szarży. Wobec ucieczki Moskali trzeba było dalej iść za nimi...

VI. N A B E S A R A B I Ę.

Poszły więc rankiem 14 czerwca patrole nasze dalej w Besarabię, a my, cała Brygada, za nimi kolumnami trzema. Droga przez Rokitną i Ryngacz na Dynawce (prowadzącą w przedłużeniu aż pod Chocim) straż przednia: batalion pierwszy pułku trzeciego z majorem Minkiewiczem na czele; batalion drugi pułku trzeciego z por. Sokołowskim jako straż lewoboczna, a wreszcie na prawo jako łącznik z grupą sąsiednią, pięćdziesięciu ludzi z pułku drugiego z por. Mężyńskim. Za nimi siła główna...

Marsz sam, acz w spokoju zupełnym odbyty, nastroił pewne trudności. Patrole stwierdziły wprawdzie zupełną nieobecność Moskali, mimo to jednak należało się liczyć z niebezpieczeństwem napadu, zasadzki jakiejś, ułatwianej zresztą naturalnym kształtem terenu w jakim się nam obracać przyszło.

Najbliższa, do której szliśmy, wieś Ryngacz, ujęta jest jakby w kleszcze wodne, od zachodu i południa stawami oblana, między którymi tylko jedna wązka grobla i tą groblą całą brygadę przeprowadzić należało, co — rzecz jasna — w razie nagłego nastąpienia wroga, mogłoby się obrócić w pogrom, w zupełne rozbicie Brygady. Straż przednia musiała w tych warunkach nie tylko patrolować przed sobą i dookoła siebie — ale ponadto obsadzić okoliczne wzgórza, zabezpieczyć kolumnę główną, idącą pod pułkownikiem Zielińskim od wszelkich niespodzianek, z których tylko jedną: lichą minę dynamitową pod mostek na początku grobli położoną przygotowali nam Moskale. Tę jednak już pierw-

sza nasza do wsi wkraczająca patrol spostrzegła i usunęła.

We wsi nastąpił znów spoczynek siły głównej i dalsze trudy straży przedniej, bo między Ryngaczem a dalszą wsią Dynawcami jest wąwóz długi, dwa kilometry szerokie przejście, przestrzeń ciasna, w której w razie jakiegoś ataku, rozwinięcie się niemożliwe. Więc straż przednia obsadza wąwóz, wchodzi weń siła główna, lecz gdy wieś obsadzić trzeba, dają znać majorowi Minkiewiczowi patrole nasze kawalerzyckie, że we wsi są kozacy. Samotrzeci, z adjutantem Fijałkowskim i jednym ordynansem konnym wjeżdża major w wieś, gdzie ostrzeliwują go kozacy i — pierchają.

Po obsadzeniu wzgórz za Dynawcami wchodzimy w wieś, zajmujemy pozycje — rezerwa kwatery w siole zupełnie przez ludność opuszczonem — okopujemy się od biedy i spędzamy pierwszą od miesiąca z górą, od czasu, gdy byliśmy na kordonie, noc na rosyjskiej ziemi.

Nazajutrz, 15. czerwca, umacnianie pozycji i czucie z nieprzyjacielem odzyskane. Patrole stwierdzają obecność znacznych sił rosyjskich nad Dołżokiem i w Forostnej. Spodziewamy się ataku nocnego i — zwycięskiego marszu naprzód, gdy tymczasem noc przynosi nam rozkaz... odwrotu.

Jedną kolumną — w straży tylnej znów batalion pierwszy i na czele jego znów major Minkiewicz — cofamy się tąsamą, którą przyszlismy drogą, przygotowani na napad, bo w chwili wymarszu, jako zwykły chłopski sygnał dawany wojskom rosyjskim, gorzeć zaczęła stodoła...

Straż tylna ubezpiecza szeroko, niszczy wszystkie

mostki i mosty przy drodze, by utrudnić przeprawę artyleryi — i aż pod Rokitną dopiero dostajemy uczucie z nieprzyjacielem, którego kilka sotni kozackich popędziło za nami.

Siła główna była już w tej chwili na pozycji pod Rarańczem, a straż tylna przekroczyła potok graniczny, o dwa kilometry od siły głównej oddalona... Pokręcili się kozacy nieco i bez niepokojenja, choć robili wrażenie jakby szarżować chcieli (bo rozwinęli się ku frontowi) cofnęli się ostatecznie — ku żalowi chłopców naszych, którzy już gotowali się na ich przyjęcie.

...Był dzień jasny, słoneczny, godzina wpół do 8-mej rano, gdy z wzgórz nad Rokitną spływać zaczęła w dolinę, jak mrowie, pięciorzędowa, nader liczna — wróżąca siły od naszych o wiele większe, tyraliera rosyjska...

VII. BITWA POD RARAŃCZEM.

Liche mieliśmy tu okopy i słabą pozycję. Okop to właściwie nawet nie był wcale, ale rowek płytki, tu i ówdzie wykopany, który też zaraz po przybyciu na miejsce — tak jak linia obronna ciągnąć się miała — pogłębiać, względnie całkiem świeżo kopać trzeba było... Do południa mieliśmy czas na to, bo dobra robota naszej straży tylnej, psującej mosty sprawiła, że artylerya rosyjska musiała się spóźnić o godzin parę.

Grzebał więc żołnierz dolki dające jakie-takie schronienie, podczas gdy przed nim pukały placówki do siebie, a z poza niego artylerya nasza utrudniała nieprzyjacielowi, ile możności, urządzenie się na nowej pozycji.

Takie sobie preludya bitewne...

...Lecz już koło południa zagrały armaty rosyjskie, nie bardzo celnie i nie bardzo skutecznie, bijąc zwłaszcza w dwa gaiki dębowe, gdzie w jednym był sztab nasz i konie karabinów maszynowych. Ale nie robiły te szrapnele szkody. Liście jeno z drzew cięży i sypały kulki bezsilne, po płaszczech padające jakby ten deszcz co się właśnie rozplakał nad pozycją...

I nie było też w strzelaniu tem zrazu wielkiej zawziętości, aż dopiero pod wieczór, gdy rozgwar armatni osiągnął kres swego napięcia, wróżący pewny atak nocny — nie mogący przecież nigdy nas zaskoczyć, bo u nas w okopach, jak zwykle, czujność wzorowa.

Ale i noc mijała nadspodziewanie spokojnie. Patrole nasze, które tu i ówdzie z rosyjskimi się zwarły, nie miały do doniesienia nic ciekawego o jakichś podejrzanych ruchach rosyjskich.

...Już się pod świt miało, godzina była wpół do drugiej w nocy, gdy nagle ku nam w kilku liniach ruszyli się Moskale... posuwając się na prawe skrzydło pułku trzeciego, ku batalionowi porucznika Łyska, na kompanię 4-tą pod komendą chorążego Sieranta. Spostrzegają ich patrole. Sierant mający na swym odcinku co 10 kroków 1 karabin, o wzmocnienie prosi i otrzymuje je z pułku drugiego w sile 96 ludzi, przyprowadzonych przez samego podpułkownika Januszajtisa — który z urlopu powróciwszy — komendę pułku swego był objął.

Cicho, spokojnie, podpełzli Moskale ku nam, — po niedługiej strzelaninie rzucili się na bagnety znagła, krzyk, zgiełk czyniąc... Za słabym był jednak ich impet, a także ogień naszych dwóch karabinów maszyno-

wych za silny — i złamali się. Oflankowani przez pół kompanii — chorąży Sierant i porucznik Dziekanowski w czterdziestu ludzi każdy poszli na nich — paręset jeńców stracili koło godziny wpół do trzeciej nad ranem.

Lecz nie koniec na tem, bo w tejże chwili dalsza linia atakująca posuwa się na nas; tym razem na prawo więcej, w centrum, w batalion pierwszy. na kompanię trzecią podporucznika Godziejewskiego i drugą podporucznika Chełmickiego... Atak silny, a punkt słabszy, więc między obie kompanie rzuca major Minkiewicz ostatnią rezerwę jaką do dyspozycji miał: 24 ludzi z oddziału technicznego: telefonistów i saperów...

Podchodzą Moskale prawie do naszych okopów — i chustkami powiewają, krzyczą, że poddawać się chcą. Ściskają się z naszymi za ręce — a w tejże chwili z dalszej linii, która w ciemności podpełzła, podnosi się podpułkownik rosyjski Kosikow z rewolwerem w ręce i rzuca się do ataku nie tylko linia z którą przyszedł, ale i ta, która się już poddawać chciała...

Zdradzieckiego tego ataku impet tak potężny był i niespodziany, że oba skrzydła atakowanych kompanii zachwiały się narazie i cofnęły o jakieś 15 do 20 kroków... Lecz cofających się zatrzymuje major Minkiewicz. Skrzydło lewe, kompania podpor. Godziejewskiego rzuca się do walki na bagnety; prawe zaś z flanki karabinowym ogniem praży. Moskale, w naszych będący już okopach dostają się jakby w kleszcze śmiertelne. Rozlegają się krzyki, słychać szamotanie potworne. Coś jęczy, coś rzezi — życie jakieś rwie się i ulatuje... Chrapanie setek piersi wzdętych trudem, ramiona wyprężone, karabiny wzniesione w górę i splątane.



Dr. Edward Loth.

Gdzieś stal o stal uderzyła aż iskry się sypią, a tam kolba w górę wzniesiona wali w czaszkę odsłoniętą i sunie się żołdat na ziemię... bez jęku, na nim zaś stopa już oparcia szuka i karabin obraca się znów w potwornym rozmachu... Krzyk rośnie i potężnieje; czasem karabin wypali — grzmiały te ich strzały nie tylko tu gdzie bitwa najgorętsza, ale i na całym długim froncie, — a gdy zbliżą się ku sobie twarze nabrzmiałe, spocone, to wyciągają się ku sobie ręce kurczowo, szukające gardła przeciwnika...

Trwa to zmaganie się czas jakiś, ale już żołnierz nasz coraz pewniejszy, zwycięstwo jego czem raz bliższe. Nie wytrzymują wzmożonego impetu naszych Moskali i cofają się ostatecznie, trupów zostawiając moc i zwyz 300 jeńców, a rannych zabierając z sobą.

...Z naszych między innymi, sierżant Farny Tadeusz, syn nauczyciela śląskiego, zginął od kuli trafiającej go w czoło w chwili, gdy pluton swój do obrony porywał i tam gdzie padł, w lasku dębowym, u stóp drzewa pochowany został...

Rankiem koło godziny siódmej odprowadzono jeńców w liczbie ich i podpułkownika — do wsi, do komendy Brygady, a koło godziny 9-tej poprzedzony znów ogniem artylerii przyszedł atak moskiewski nowy, słabszy nieco i znowu z skutkiem pomyślnym odparty został.

A armaty rosyjskie, które były zamilkły na chwilę, ponownie się odezwały... Zamało, rozwrzeszczały w jakiejs wrzawie strasznej, w czemś takim potwornem i obłędnem, że na to już w języku ludzkim niemasz nazwania.

Jak ptaki krwi i łupu szukające rozleciały się ich

sżrapnele po polu, w zakątek wdzierając się każdy, w każdą ziemną szczelinę; granaty dół grzebały przy dole, zorując ziemię aż do dna — w huku, skowycie i warczeniu jakimś głuchem a wnikliwem, bez chwili spokoju, bez momentu przerwy...

I po takim to polu jeno sanitaryusze uwijają się nasi, jeno komendanci tu i ówdzie pilnują porządku, lub adjutanci z rozkazami biegną przez trzy godziny ognia takiego...

Naraz placówki znać dają: do ataku idą...

Podchodzą blisko, coraz bliżej... Czekamy... Poddać się znów niby to chcą... Ręce podnoszą, chustkami powiewają, za ręce z żołnierzami naszymi się ściskają, niby że w niewolę idą.

Zrywa się druga tyraliera rosyjska; pierwsza, poddająca się pozornie — za broń chwyta. Zdradą widoczną a nikczemną zdradą chcą brać nasze okopy. Ale tej chwili jakby tylko czekał nasz żołnierz. Rozgrzmiaty się naraz wszystkie karabiny, huk się uczynił w okopie i zgiełk — jaki tylko legionista uczynić może, gdy strzelać zacznie na okop wyszedłszy, odsłonięty, śmierci śmiejący się w oczy, z myślą jedną tylko: za ból, za krzywdy nasze, za lata niewoli, za dziadów i ojców mękę: najwięcej, jak najwięcej daj mi ich wystrzelać Boże!

I w tym ogniu potężnym chwieje się nareszcie przeważna siła rosyjska. Poddają się, naprawdę teraz, ale im już żołnierz nasz nie wierzy... Za drogo nas pierwsza chwila wiary kosztowała... Wałą więc karabiny dalej, aż rzucają się do ucieczki... Znów czterystu jeńców bierze pułk trzeci. Reszta: trupem przed okopami naszymi została, a z nią karabin maszynowy jeden, który

aż tutaj dowlekli, tak jak i półbaterię armat o jakieś może ośmset kroków od pozycyi naszej na walne gotując się zwycięstwo, w pogrom teraz zamienione zupełnie... Ta im teraz czasu klęski, gdy uciekać z nią chcieli, w rowie i błocie ugrzęzła... Część koni i obsługi, karabiny maszynowe wybiły; resztę chłopcy nasi dopadłszy wytlukli, o ile się bronili; niedobitków w niewolę wzięli, między nimi bateryi komendanta, porucznika, Polaka Więckowskiego. Bronił się wściekle, ostatecznie w niewolę poszedł...

A armaty: z jedną uciekli, drugą nasi zdobyć chcieli i bez koni na pozycję zawlec. Jeńców do tej roboty zaprzęgnęli — ale się nie dało. Rów przekłęty jak chwycił działo w swe objęcia bagniste tak i nie puścił... Skończyło się na zdemontowaniu armaty, bo tymczasem artylerya rosyjska znów grać zaczęła zmuszając do powrotu i gotując nowy atak na godzinę czwartą popołudniu... Ten jakby już z rozpaczy tylko i jakby dla zemsty podjęty, na ogniu karabinowym zakończył się silnym.

Przedostatni był, bo w godzin parę raz jeszcze szczęścia spróbowałszy, ku pozycyi naszej pod wieczór podeszli i... wnet się cofnęli, w stratach swoich złamani, rozbici...

Na tem skończył się dzień walki. Tysiąc dwudziestu jeńców, w liczbie tej podpułkownik, kapitan i kilku niższych stopni oficerów; setki żołdatów przed naszymi okopami zabitych, jedna armata zniszczona, karabin maszynowy, tysiąc kilkaset karabinów piechoty zdobytych — to plon tych bojów całodniowych, a nagroda: pochwały otrzymane z komend wyższych i paręset medali dla żołnierzy.

Od dnia tego okopaliśmy się i umocnili; okopali się także i Moskale i tak naprzeciw siebie, czuwając bez przerwy, piąty już miesiąc leżymy...

VIII. D O K U M E N T Y.

Po bitwie pod Zadobrówką komenda korpusu ogłosiła następujący rozkaz dzienny:

„Korpus przez waleczny i bohaterski atak Legionu polskiego pod Zadobrówką odrzucił dziś przeciwnika, a przez to zmusił cały nieprzyjacielski front do odwrotu. W imieniu Najwyższej Służby wyrażam Legionistom moje pełne uznanie i gratulacje z powodu pięknego sukcesu.

*Korda, marszałek polny porucznik,
komendant korpusu“.*

Po szarży ułanów pod Rokitną, wydany rozkaz c. i k. Komendy II. Brygady Legionów polskich z dnia 14 czerwca opiewa:

„Stosunki bojowe dnia 13 b. m. domagały się współdziałania kawaleryi przy ataku na oszańcowane pozycye nieprzyjacielskie. Zadanie, które przypadło kawaleryi nie było łatwe; zostało jednak przez drugi szwadron pod dowództwem rotmistrza Dunina Wąsowicza, który przytem poniósł śmierć bohaterską, w tak świetny sposób przeprowadzone, iż chyba w historii podobnego przykładu niema. Szwadron przejechał przez trzy służące do celów flankowych i częściowo obsadzone rowy strzeleckie i zaatakował potem z bezprzykładną odwagą i po-

gardą śmierci około 2-kilometrowe pozycje główne nieprzyjaciela, przejeżdżając je z flanki, pośród najsilniejszego ognia piechoty, karabinów maszynowych i artylerii. Jeśli rezultatu spodziewanego nie było, należy to sprowadzić do innych nieszczęśliwych okoliczności; szwadron uczynił więcej niż swą powinność.

Ten atak będzie w historii Legionów uwieczniony, jako najwspanialszy czyn kawalerii, a każdy kto ten atak przeżył, z uzasadnioną dumą może udzielić się w piersi i zawołać: „Niech kto tego dokaże“! Pod bolesnem wrażeniem poniesionych tam strat dziękuję imieniem Najwyższej Służby bohater-skim jeźdźcom II. szwadronu. — Wszyscy uczestnicy ataku zostaną podani przezemnie do najwyższego odznaczenia.

Küttner, m. p. pułkownik.

A Naczelną Komenda Legionów ogłosiła rozkaz następujący:

„Żołnierze legioniści! W dniu 13. czerwca roku 1915, pod Rokitną na polach Bukowiny nieśmiertelną chwałą okrył się 2-gi szwadron naszej kawalerii. Garstka bohaterów w sile 60-ciu jeźdźców, otrzymawszy rozkaz, bez chwili wahania, rzuca się na pewną śmierć i jak huragan, wśród morderczego ognia moskiewskiej piechoty i karabinów maszynowych przebywa poczwórne moskiewskie okopy, bohaterstwem swoim wywołując podziw wśród wrogów. Czwarty i ostatni już szereg wrażeń okopów przeżyło tylko sześciu bohaterów. Żołnierze! Patrz-

cie na bohaterską śmierć rotmistrza Dunin-Wąsowicza, poruczników Topora i Włodka i wachmistrzów Nowakowskiego i Adamskiego; patrzcie na ten zastęp walecznych żołnierzy, którzy ojczyźnie w ofierze młode swe życie złożyli i nowym blaskiem opromienili honor polskiego oręża. Nieśmiertelna ta szarża 2-go szwadronu staje odąd godnie obok Samosierry, a imiona dzielnych oficerów i żołnierzy tego szwadronu, tak sławnie za Polskę poległych, złotemi zgłoskami zapisują się do księgi polskich bohaterów. Cześć im i sława!

Durski, m. p. M. p. por.“.

Rozkaz ten odczytać przed frontem we wszystkich brygadach (w baonach, szwadronach, bateriach i zakładach).

Walki z 17. czerwca pod Rarańczem, zyskują Brygadzie nowe słowa uznania za jej męstwo i wytrwałość w boju.

Komendant korpusu telegrafuje do komendanta Brygady:

„Serdeczne podziękowanie i pełne uznanie Legionom za dzielne zachowanie się w ostatnich dniach.

Korda“.

Komendant armii VII. telegrafuje również pułkownikowi Küttnerowi:

„Wyrażam Komendzie Legionów polskich za dzielne zachowanie się w walkach 16. i 17. czerwca moje szczególne uznanie.

Pflanzer-Baltin“.

A odprawa Komendy korpusu z dnia 17 czerwca zawiąza ustęp:

„Dzielne wojska Brygady Legionów... odparły dziś przy rozumnem współdziałaniu artylerji 3 do 4 razy powtarzające się bardzo gwałtowne ataki rosyjskie, przyczem dzięki silnym kontratakom Brygady Legionów, wzięto przeszło 1000 jeńców i dwa karabiny maszynowe. Komendant armii (gen. Pflanzner — przyp. aut.) wyraża Brygadzie Legionów podziękowanie i uznanie, i ja (gen. Korda — przyp. aut.) — również z mej strony dziękuję za odwagę i wytrzymłość...

Podp. Korda m. p. por.“.

Tych dokumentów garść, ten dorobek dni 10-ciu, stratami nieraz okupionych bolesnemi — zamykając niemi opis bukowińskich walk naszej Brygady..., walk nieskończonych jeszcze a w pozycyjnem trwających zmaganiu nie komu, a Tobie żołnierzu Brygady drugiej poświęcam, byś gdy w dom powrócisz, mógł tych kartek kilka w głos przeczytać i niechętnym zawołać:

„Pokażcież mi takich, którzy to zrobili“!

Nasze ci są one — a nie czyje to okopy pułku trzeciego z trudu żołnierza wyrosłe, potem i krwią jego użyźnione, dom jemu gościnny i jakby gniazdo rodzicielskie; przystań po burzach dni minionych i w bohater-skiej obronie puklerz twardy.

To wszystko i dużo więcej jeszcze są okopy nasze.

Nad niemi zaś niebo się śmieje przejasne i słońce błyszczy złociste, albo chmury się kłębią i w wichrze deszcz siecze, wróg żołnierzowi złośliwy — warkocze wód szemrzących przytulając do gliny topniejącej i rozlewającej się zwolna w tej chłodnej pieszczocie żywiołu... A okopy, które się przedtem cudnie w słońcu śmiały, płakać się zdają i użalać losu żołnierza, aż znów słońce miłościwe, słońce ostatków lata, szafarzące blaskiem, wszędzie i resztkę wód z rowów wypije...

Daleko za wsią rozległy się okopy nasze. Za wsią, w polu, a na wzgórzu, za którym gdzie okiem sięgnąć, już granica wroga. Tu leżeliśmy i tu czuwamy — polska na Bukowinie straż — nie wiedząc dnia ani godziny, kiedy naszym orłom białym do lotu naprzód zerwać się, kiedy nam wyruszyć na stepy i wzgórza besarabskie po raz trzeci przyjdzie.

A przyszliśmy w cudne czerwcowe rano.

Był miejscami rów płytki wykopany — i był rozkaz: bronić i trwać! Przed nami zaś wróg się ustawił i plu-



Budowa okopów na Besarabii.



Wyplatanie okopów.

nał naraz z armat kilkunastu. Stał tam naprzeciw, na wzgórzu drugim w wzajemnym naszych armat ogniu.

W tym zaś rytmie dział kilkudziesięciu, żołnierza pracą, aż do wieczora, rów — gdzie był — pogłębił się nieco, tam zaś gdzie go nie było, łopatą towarzyszką żołnierza, dołki wykopały się małe. Ot, byle głowę osłonić, byle lufę karabinu na czem oprzeć można.

Gdy zaś przyszła pochmurna i bezgwiezdna noc czerwcową — podpełzł wróg pod ten nasz rów-okop ni-ziutki i pod te wnęki strzeleckie i... poszliśmy do ataku. Na bagnety!

Trwało tak potem dzień cały; szturm po szturmie; za tym okopem nieokopem, w narodzinach dopiero będącym, więcej niewolnika wzięliśmy, więcej wrogiego trupa padło i rannych Moskali odczołgało się do siebie więcej, niż nas samych było. A gdy po dniu krwawym noc druga przyszła, oni odparci i złamani nie pomyśleli już nawet o zemście.

I tylko od czasu do czasu armaty grzmiały, a płacówki strzelały ku sobie — okop zaś zaczął powoli brać na się kształt nowy i porządnny.

Ale to nie odrazu tak się stało. Najpierw te dołki małe jakby pary bliźniacze a nierozdzielne łączyły się z sobą; płytkie jeszcze, ciasne i niewygodne, niby zwierz-za legowisko doraźne. Potem słomy garść rzucona i płótno namiotu rozpięte, ubezpieczyły od deszczu, wilgoci i słońca nadmiaru — a gdy to już było, przyszedł ostateczny rzut jeszcze: rów łączący — i ogólny zarys przyszłego okopu był gotowy...

Rów, z chwilą gdy raz powstał, pogłębiany i umacniany rósł i rozwijał się — rozrastając się w ulice i uliczki, przy których labirynt „mieszkań“ wyrastał i „pa-

łaców“... Bo tu na okopach, nie mieszka się — jak tam w kraju mówią — w norach i ziemiankach... Legionista pan jest i „burzuj“ — i gdy w ziemi grzebie, to pałac i willę sobie buduje, pałac przepychu pełen i wygody... połowej, którym potem fantazya jego lub tęsknota różne ponadaje nazwy... w jakich zwłaszcza „Ona“ — ta mała a serdeczna, o kosach i oczach jasnych dziewczyna polska, symboliczną jakąś a dziwnie czułą nad okopami roztoczyła opiekę... Jej to imieniem szczyć się i pyszną te niezliczone wille „Janiny“, „Wandy“, „Marysie“ i „Zosie“...

„Hotel Niepodległość“ rywalizuje szczytnością miana z willą „Polonią“ — podczas gdy willa „Apollo“ przypominać się zdaje kino z małego miasteczka. A i groteska święci swe tryumfy, śmiech budząc i dziwnie unaoczniając „wrzawą“ a trudną czasem egzystencyę.

Tak zamieszkałemi, wedle wszelkich reguł „własności i posiadania“ stały się powoli okopy; nad głowami zaś dach powstawał nie z niczego a z ziemi i z desek, których to ostatnich w nocie ciemne fury długim korowodem nazwoziły moce całe.

Szły skrzypiąc, trzeszcząc, leniwe i ospałe, niby cienie niewidzialne, od wsi ku nam transporty bez końca. Szły najpierw drogą starą, słowiańską, wytartą kopytami koni i mizernych dróżką, wyżłobioną niby jarek mały w zboczach góry, — a potem znagła — ostrzeżone pęknięciem szrapnela lub żółtą szczyrbą — granatu rzutem — w zielonej korze ziemnej wydartą — skręcały w bok ku laskowi.

I tak za śladami kół powstała do nas droga nowa, nieznana żadnej mapie wojskowej czy katastralnej, droga, której nie było nigdy przed nami i może nie bę-

dzie po nas; droga wydeptana powolnym, dziwnie statecznym i z trudów ciężkim krokiem legionisty, idącego po strawę, amunicję lub materiały budulcowy — i wytarta kołami wózków wiozących nam tutaj deski i belki, a uwożących nieraz w wieś z powrotem ciężar drogi i nieoceniony: legionistę, który legł był oto ranny w chwili, gdy bronił tej ziemi obcej mu — broniąc w ten sposób Polski i walcząc z caratem... Tak zwolna, przez miesiące utarła się do nas okopowa droga pusta, po której jeno żołnierz tam i z powrotem chodzi, a po której w dzień i w noc poświstują kule jak ptaki zbłąkane a wystraszone, śmiertelnym wyrajem lecące gdzieś hen, przed siebie,... przed siebie...

Równocześnie zaś okop ciągle rósł i rósł — aż stanął dnia pewnego w całej swej pysze i okazałości: okop-duma nasza, okop-troska i okop-trud straszny, w drobiazgach zaś cacko takie, że rozkaz komendy postawił go za wzór innym...

Bo też i nie bylejakie są okopy nasze. Zielen pastwiska i złotość pól niesprzątniętych otoczyła je wstęgą szeroką dokoła, jakby przyroda cały przepych swój i urok na ich obramienie wydać chciała. Lecz to zwodny pozór tylko. Bo tam gdzie łopata, gdzie rydel wbił się w ziemię, tam wszędzie żółta otwierała się rana, w deszczach płynna niemal, roztopliwa, czepiająca się ciała i odzieży, glina u butów ciężarem wążąca, brudem i wilgocią aż do nory ziemnej, aż do legowiska ścigająca żołnierza...

Lecz wziął się młodziutki legionista za bary z ziemią mu nieprzyjazną i jak wroga w polu po głazach karpackich, po stepach besarabskich bijał, tak i tu nie poddał się, a ostatecznie zwyciężył.

W okopach doły wybił głębokie, deskami nakrył i jak rynienki cienkie a mocne rowki do nich doprowadził. Zwyciężając wodę najazdy urządzającą, przeprowadził kanalizację.

Ale to niedość, bo z naprzeciwwka wróg armatą wałąc nie często — przecież czasem szrapnelem w otwarty rów okopu utrafił. Bywali ranni czasem... Nakrył go więc nasz robotnik-budowniczy — czasem student, nieraz jeszcze dziecko z matczynej opieki wyrwane, a dziś już dziwnie samodzielne i mocne — deskami, w ogniu nieprzyjacielskim ziemią je przysypał, udeptując w takt dziwnych melodyj kulami rosyjskimi wygrywanych. I tak powstała kazamata: jedna, dziesiąta, — dziesiątki ich już do dziś dnia, z tymi odstępami wolnymi, z taką częścią nienakrytą, jaka potrzebną jest do obrony, gdyby im, tym tam z naprzeciwwka, znów się ku nam przyjąć zechciało...

Nie przyjdą jednak chyba... Bo tam oto na froncie przed okopami dniem i nocą placówki czuwają, a tuż przy nas rozpostarła się niby sieć pajęcza, lśniąca rankiem od rosy, zapora koleczasta.

Żaden pajak nie ubezpieczy tak swego gniazda, żadnej pajęczyny sieci nie rozpościerają się tak pewnie i zdradliwie zarazem jak te, o nieskończonej i nieobliczalnej długości nici śmiertelne, jakimi otoczyliśmy nasz okop, czyniąc z nich prawie niewidzialny, krwi i drgającego ciała spragniony, mur po którym wiatry osuwają się bez dźwięku, a jeno kulki często pobrękują z cicha, bijąc potem w nasyp okopu wściekle a bezsilnie...

Okopy nasze są jak ulice i bastiony starego jakie-

goś w drzeworyt zaklętego miasta... Wysokie ściany biją ku górze tak, że jeno skrawek nieba widoczny, a co chwila zakręt się wylania, lub placyk maleńki, albo rozchodzą się dwie uliczki-rowy, przy których tabliczka, kawałek tarcicy piłą oderżnięty, fioletem ołówka, lub czernią atramentu zabazgrany wskazuje dokąd droga. Po bokach zaś — niby w starych murach fortecznych, strzelnice od strony wroga, a naprzeciw mieszkania. Nie rowy ziemne — jako się rzekło — a mieszkania! Ściany czasem deskami wyłożone, a czasem — jak całe zresztą okopy! — wikliną oplecione, by mocne były, by nie osuwała się ziemia. Drewniane łóżka-pryce i stolik drewniany, to całe ich umeblowanie — ale czegoż żądać więcej?

Czasem okno szklane — prawdziwe szklane w ramę oprawione się zdarzy, zawsze w drzwiach zasłona jakaś, płótno namiotu lub mata się znajdzie, a zresztą, co naturalne pragnienie komfortu czy zbytku, lub potrzeba podyktuje. Przytrafi się maleńki ołtarzyk polowy lub „polowa“ pracownia jubilerska, z której tuzinami, setkami wychodzą pierścionki z aluminium rosyjskich szrapneli kowane. Jest i prawdziwa redakcja prawdziwego okopowego tygodnika i są — rzecz naturalna „kancelarye“ kompanii, batalionów, pułku — takie ziemne, niziutkie bez wszelkich wymagań kancelaryjki, jakim podobnych szukaćby trzeba chyba po niektórych „gmachach“ sądowych czy podatkowych naszej kochanej Galicji... Naprzeciw zaś, tu i ówdzie we wnętrzu to stanowisko miotacza min, to karabinu maszynowego, z gardłem wiecznie pełnem wysuniętego w otwór okopu, na druty nasze, na pozycję wroga...

Górą zaś, bokiem, wszędzie, znów pajęczyna drutu.

Cieniuchne, złotawe, to ziemią prawie biegną, to na gałązkach się wsparły i nieznacznie w wietrze się kołyszą lekkie i zwiewne, niepozorne, nikłe, a przecież jakby otoczone, nanizywane troskliwie dłonią każdego przechodnia na gałązkę, z której się osunęły, omijane starannie stopą, witane schyleniem głowy, gdy zawadzają w drodze za wysokiemu wzrostem żołnierzowi. Bez potrzeby ręka ich nie dotknie — i jedne tylko jaskółki obsiadują je tak bezceremonialnie, jakby to zwykle jakieś telegraficzne druty przy drodze w polu były.

A to jest telefon polowy — „tabu“, świętość nietykalna, — którego sieci pajęczce snując się z całego okopowego pola zbiegają się ku kwaterze komendanta pułku, gdzie telefonista z słuchawką na uszach wiecznie czuwa i słucha... Gdzie tylko strzał armatni padnie, gdzie tylko zagrzechocą karabiny lub suche a monotonne tak-tak-tak-tak karabinu maszynowego się odezwie, zaraz meldunek leci i albo rozkaz wraca, albo... zostaje wszystko jak było...

Bo bywa strzelanina nieprzyjacielska różna: taka co odruchowego czynu wymaga, albo i taka po której nie się nie ruszy, bo odpowiedzi nie warta...

Ale w kwaterze komendanta pułku, jak na całej pozycji zresztą, czuwanie bez przerwy. A ta kwatera także w okopach leży. Także i dla niej rozwarta ściana rowu się rozszerzyła oraz dach nad nią ziemisty wyrósł — i niczego w niej innego, jak u innych żołnierzy, prócz aparatu telefonicznego, niema. Komendant wygod nie szuka, z adjutantem na pryczach drewnianych śpią, zawsze w mundurze i zawsze gotowy. Nocą pisk go telefonu budzi i na okopy wygania. Śpi jak się

zdarzy i jak można, nieznudzony i bez spoczynku — surowy dla innych, ale i dla siebie...

Tu, u niego, zbiegają się druty telefonu i rowy całych okopów, tu zbiega się życie pułku a był czas, że zbiegały się i wszystkie prawie kule nieprzyjacielskie. Wyło wtedy i świszczalo nad kwaterą pułkową — hej!

Rozpryskiwały się z trzaskiem kulki ekrazytowe, pękały szrapnele, a granaty biły w ziemię, aż radować się musiała dusza moskiewskiego obserwatora.

Tuż za tą kwaterą jest las, dębowy zaciszny laszek, w którym teraz od pocisków połamane drzewa leżą i trupy gałęzi z oschłymi liśćmi płaczą się po trawie, podzwaniając zlekka metalicznym dźwiękiem... Bywało, oberwie granat konar cały i w ziemię nim i sobą wyróżnie, że jeno słup pyłu popod niebo leci, bywało że kule ciężłe liście jak kosa siano po łacie...

Dziś tam już cicho względnie i jeno między drzewami grób został, grób legionisty pochowanego, gdzie padł — kwiatami zarosły i murawą, pielęgnowany w ogniu rękami kolegów i podlewany wodą — błogosławioną wodą i przedziwnie czystą — z źródła wytrysłego niedawno w samym środku okopu.

Kiedyś, gdy pójdziemy stąd, źródółko zasypią, zorają pole — okopy znikną, ale grób zostanie. Zostanie może wspomnienie o żołnierzach, którzy dziwnie młodzi byli i rozgwarem napełniali okopy, z pieśnią na ustach szli naprzód i naprzód, nie znając innej myśli nad tę o zwycięstwie i innego uczucia nad tęsknotę za krajem i marzeń nie mając innych, jak o Polsce tylko... A koło grobu jak bluszcz może się legenda owinie — i w noc zaduszną orszak rycerzy wal-

czących z bliskiego pobojuwiska na tę mogilkę samotną
w polach bukowińskich powiedzie...

Ale to będzie kiedyś, w przyszłości dalekiej, kiedy
już może nas ani świadków naszych walk nie stanie...
Tymczasem zaś okopy nasze stoją jak twierdza dumne
i silne, w ogniu niespożyte, twierdza, której budowni-
czym i obrońcą żołnierz najmłodszy — legionista polski!



Czerpanie wody ze studzienki w okopach na Besarabii.

BANKIET W OGNIU.

Nie żyje żołnierz w polu jak pustelnik i odludek... Z natury rzeczy rojno, gwarno — czy w miejscu siedzi, czy naprzód idzie — czas spędza... Dziś nasze — co jutro przyniesie, niewiadomo, zasłonę czasów przyszłych niekażdy radby uchylić... W marszu, czy w spoczynku w błocie nieraz utyłany — gdy spocznie, gdy chwila sposobna się zdarzy, żołnierz czy oficer zabawić się rad... Stąd na kwaterach i w okopowych „willach“ wieczorami ruch i gwar — beztroskie zabawy polowe w nieustannej czujności — by nie zaskoczyła chwila najbliższa...

Jeden z takich wieczorów szczególnie zapisał się w pamięci. Było to w połowie lipca. Miesiąc właśnie upływał jak na tej legliśmy pozycji, okopami umocnieni — bezpieczni i używający czarów lata pod niebem bukowińskim w dzień jasnym i gorącym i w nocie nie chłodnym.

W taki to czas, od trzech dni mieliśmy na pozycji najmilszego z gości. Szef sztabu Legionów, kapitan Zagórski zawitał do nas, do drugiej Brygady i szereg dni spędził na pozycji tak jak ongiś niedawno jeszcze temu, całe miesiące żył z nami w walkach i w trudzie.

Przeszły dwa dni pierwsze cicho i spokojnie, bo ostatecznie trudno nazwać niepokojem fakt, że tam granat trzaśnie, tu szrapnel zawyje i wybuchnie, a zrzadka ozwie się monotonne, urywane z nieodłącznymi poświ-

stami karabinów granie. To się codzień, co godzinę niemal zdarza i nie w tem niezwykłego niema. Od tego przecież jest wojna.

Ale właśnie w trzecim dniu kapitana Zagórskiego gościny, dziwnie gwałtownie rozstrzelali się Moskale. Zaczęło się to rankiem wczesnym i trwało przez dzień cały... Grad stali i ołowiu zasiał wokół pola. Raz wraz granaty i szrapnele były to tu to tam, to w okop, to w pole za nim złocące się właśnie zbożami i aż rwące oczy krasą stepowej bujnej roślinności, to w drogę wreszcie kołami naszych wózków od miesiąca ucieraną a wiodącą ku pozycyi... A karabiny maszynowe „pulemioty“ rosyjskie grzechotały bez przerwy swoje swarliwe i przekorne tak-tak-tak-tak — poświstem kul oszczekując pole całe... Grzmiało, huczało — ryk, świst i trzask był taki jakby zastraszyć nas, zmęczyć i sobie nocny atak przygotować chcieli. Lecz i my nie dłużni w niczem, odpowiadaliśmy im bez przerwy... Gosiewski z „piesków“ swoich — taka to już piękna utarła się nazwa dla jego 37-milimetrowych działek — popukiwał stale a skutecznie, wciąż granatami waląc w okopy rosyjskie, placówki istny sądny dzień gęstą strzelaniną czyniły; a Lewicki podporucznik i Papeć chorąży — w ciągłej z sobą emulacyi — jakby się uparli zdobycznymi „pulemiotami“ przekrzyzczeć rosyjskie wolne jeszcze, a tym co się „w plen“ wzięść dały urągające, siostrzyce. Zgiełk się z tego i hałas zrobił aż miło, zwłaszcza, że i baterye przydzielonych nam większych dział znajdowały od czasu chwilę sposobną do wrzucenia w ten rozgwar swego słówka - granatu, lub ironicznego chichotu - szrapnela.

I w takim to dniu, gdy żołnierz najbardziej się czuje

żołnierzem, odjechać miał kapitan Zagórski. Naturalnie pożegnać go trzeba było, a że jeszcze gościem u nas, w pułku trzecim nie był — więc pożegnanie nam przypadło w udziale.

Pożegnanie żołnierza oczywiście gdzieś indziej jak nie na pozycyi, przy jakiejż innej muzyce, jak nie w ryku granatów, poświście kul i dźwięcznym szumie szrapneli, tworzących zgodnie akordy, o jakich się chyba nawet najzagorzalszym wagneryanistom dotychczas nie śniło...

Wybrano więc okop największy, osłonę tuż obok pozycyi batalionu pierwszego — coś jakby dużą salę podziemną na sądy przeznaczoną tajemne — i w niej o szóstej wieczorem bankiet urządzono.

Honory domu czynił major Minkiewicz, jako pułku od wielu miesięcy komendant... Wysoki, smagły, z zawiesistym wąsem czarnym i takąż czarną czupryną — jakby się pomieścić nie mógł w tej niziutkiej „sali“... podobnej tym chyba, w jakich ongiś rozpałały się jego oczy siwe, gdy stary pragnieniami i chęcią rewolucjonista polski marzył głośno sen o walce z caratem — o tej walce, która teraz właśnie przyszła i jednym go z swych wodzów uczyniła.

Gospodarz i goście jawią w zgoła nieprzepisanym, nie w „cywilnym“ porządku... „Savoir vivre“ miewa na wojnie swoje przepisy i ustępstwa swoje, w skórę wężową się ubrał — i skrętnie wymija przeszkody, przystosowuje się do chwili.

Że więc gospodarz nasz, biesiady amfitryon, ma dzisiaj dzień pracowity — nikt mu za złe nie weźmie, że zaprosił gości w dom pusty. Zarządzić przecież trzeba i doglądnąć wszystkiego, tak by oto ten bankiet poże-

gnałny nie zaszkodził w niczem innemu: skromnej a „mocnej“ wedle sił naszych uczcie przywitalnej dla Moskali, gdyby nieproszonym lecz oczekiwanym zachciało się przyjść do nas nocą czy wieczorem. Pewnie, że zaraz teraz, ani o siódmej ani o ósmej nie przyjdą — ale zawsze przyjść mogą... I dla nich więc godne przyjęcie przygotować trzeba — a to czas zabiera.

Schodzili się tymczasem goście... Pierwszy przyszedł więc, wiodąc z sobą kapitana Zagórskiego, pułkownik Zieliński, wówczas grupy naszej komendant, mieszkający dziś — po trudach ostatniej naszej ofensywy, którą całą niby szeregowiec prosty pieszo przeszedł — w takiejsamej jak nasze, ziemiance na pozycyi. Czyściutki zawsze i wytworny, wzór oficera, pierwszy u nas legionista, równą czcią i miłością otoczony przez oba pułki, tak przez drugi, któremu był czas długi komendantem, jak i przez trzeci z którym żył się w walkach i trudzie.

A z nim kapitan Zagórski, młody, uśmiechnięty — jakby w okopie dopiero — on oficer sztabowy — odnajdywał swoje „ja“, mający w sobie coś z salamandry odżywającej w ogniu, i coś z wilczka młodego rażącego kasać tak... jak już pokąsał Moskali pod Mołotkowem, gdy zapomniawszy o swem szefowstwie sztabu, kompanię z sobą porwał i w bój poprowadził...

Za nimi adjutańci, a więc por. Jakubowski, zasuszony żołnierz dopiero z kapitanem z Piotrkowa przybyły oraz chorąży dr. Pawłowski, historyk młody, który porzuciwszy szperanie w żółtych pergaminach, mistrzyni życia teraz w najciekawsze karty, w warsztat wojenny, ukradkiem zaziera.

A potem gdy zjawił się sam gospodarz, zaczęli się

schodzić i inni... Przyszedł więc młodzieńki podpułkownik Januszajtis z odległej swej pozycyi, opromieniony sławą onych dawnych, wiekiem młodych a męstwem starych i wielkich wodzów, wiodąc z sobą swój sztab pułkowy i — najmłodszą Januszajtisów odrośl, piętnastoletniego Antosia, chadzającego sobie w blaskach wielkiego srebrnego medalu na patrole i ryzykowne ekskursye... Przyszedł z nim por. Dziekanowski, o którym fama przedziwne wieści prawi ubierając go w sławę czynów mężnych, i adjutant pułku drugiego podpor. Krzyski, i inni — mniej głośni, ale znani i wypróbowani w niezliczonych walkach i przeprawach. Przyszli dalej, z naszych trzeciopułkowych: kapitanowie Zaleski, Szczepan i Kossakowski, kapitan Łuczyński do dzisiaj jeszcze pułkownika Zielińskiego adjutant, a teraz z rozkazu za front na nowe stanowisko wyjeżdżający, i porucznik Wimmer oddziału technicznego komendant a całych okopów w ogniu wzniesionych twórca — i inni, innych wielu, każdy prawie mający za sobą bojów w tej brygadzie przeżytych i przebytych zwyż setkę, wszyscy wielomiesięczni towarzysze broni ulubionego szefa sztabu...

I stała się nasza okopowa chata aż za ciasna od przybywających a serdecznie witanych gości, lecz ściany jej zdawały się jakby rozszerzać gościnnie i witać tych wszystkich, którzy oto od trudu dziennego — gdy strzały nad okopami powoli zamilkły — przyszli tu na chwilę serdecznej rozmowy, na wytchnienie, na pożegnanie żołnierskie.

A gdy trzy świece, nie w lichtarzach wymyślnych jakichś, ale w tych prostych szrapnelowych łuskach, co to tu do nas od Moskali przyleciały zapalono i gdy

usiedliśmy wzdłuż długiego, z tarcie a z bierwion zrobionego stołu, buchnął zwolna gwar lekki ku niskiemu sklepieniu, tłumiąc się w ścianach ziemnych a mówiąc... o tęsknocie do Ojczyzny i o trudach dnia dzisiejszego, o radości życia i o nadziejach walki wręcz na okopie i na polu bezkresnem dziś już może przyjść mającej... Polowe oficerów rozmowy, w których wszystkim nadzieje, tęgość dziwnie mocna a krzepka i trud piękny „pro patria“ niesiony...

Tak zaczął się bankiet nasz w ciszy od pola, od stojących w zadumie kłosów, od mogilek i dębów idącej, podczas gdy nad okopami zapadał zwolna mrok i sen nocy letniej, sen obozowy... czujny lecz spokojny.

Bankiet w polu! Życia fragment — chwilka krótka... Coś, co Wam może wyda się niezwykłym, a to taka żołnierska rzecz prosta — o jakiej nie mówi się już jutro, i nie myśli dzisiaj w nocy — bo niezwykłości chodzą u nas jedna za drugą i ścigają się nawzajem.

Nie będę więc tu mówił o tem, jak „mistrz“ tej ceremonii stary nasz sierżant sztabowy Kraus, co to „jest sem Czech z Plzna, ale obywatel polski“ sam z kucharzem menaży oficerskiej pierwszego batalionu przeszedł siebie i nasze oczekiwania i nie będę mówił o mimowolnych brakach bankietu, boć łatwiej przecie o napój w polu i o lody prawdziwe niż o garnitur szklanek czy łyżeczek. Ale będę chyba mówił o tym duchu serdecznym, o tem dziwnem a wielkiem zbrataniu serc wszystkich, które tak miłą czyniło tę biesiadę dziwną, niemal w obliczu śmierci, gdy w moment każdy, gdy lada chwila od stołu i szklanki zerwać się trzeba do boju, którego zwiastuny już już ku nam iść się zdały...

Bo oto... gdy po pierwszych daniach podniósł się,

by toast wzniesić pułkownik Zieliński, zagrzmiało i ryknęło, a nad salą naszą podziemną szrapnel przeleciał i granat, padając gdzieś dalej, o kroków jakichś kilkadziesiąt na ziemi skraw pusty...

A gdy już pułkownik swój toast krótki a serdeczny w ręce kapitana Zagórskiego, a na cześć wodza Legionów J. E. Durskiego — z pozdrowieniem mu od drugiej Brygady — kończył i gdy trąciliśmy się w pełnym entuzjazmu wiwacie perlącemi od napoju szklankami, zgodnie z nami a donośnie huknął znów szrapnel z graniem pospołu...

I trwało to już tak do końca... Kapitan Zagórski odpowiedział na cześć pułkownika Zielińskiego, podnosząc jak po komendancie Legionów opiekę ojcowską nad Brygadą wziął i sprawuje... Major Minkiewicz na cześć gościa, na cześć kapitana Zagórskiego toastował; a wreszcie ostatni na cześć komendantów obu pułków: Minkiewicza i Januszajtisa przemówił pułkownik Zieliński — wszyscy w nieustannem armat graniu i w gwałtownej karabinów muzyce — zaczętej już przez placówki — w którą od czasu do czasu wpadał szkła brzek i ordynansów spokojne, służbiste, meldunki.

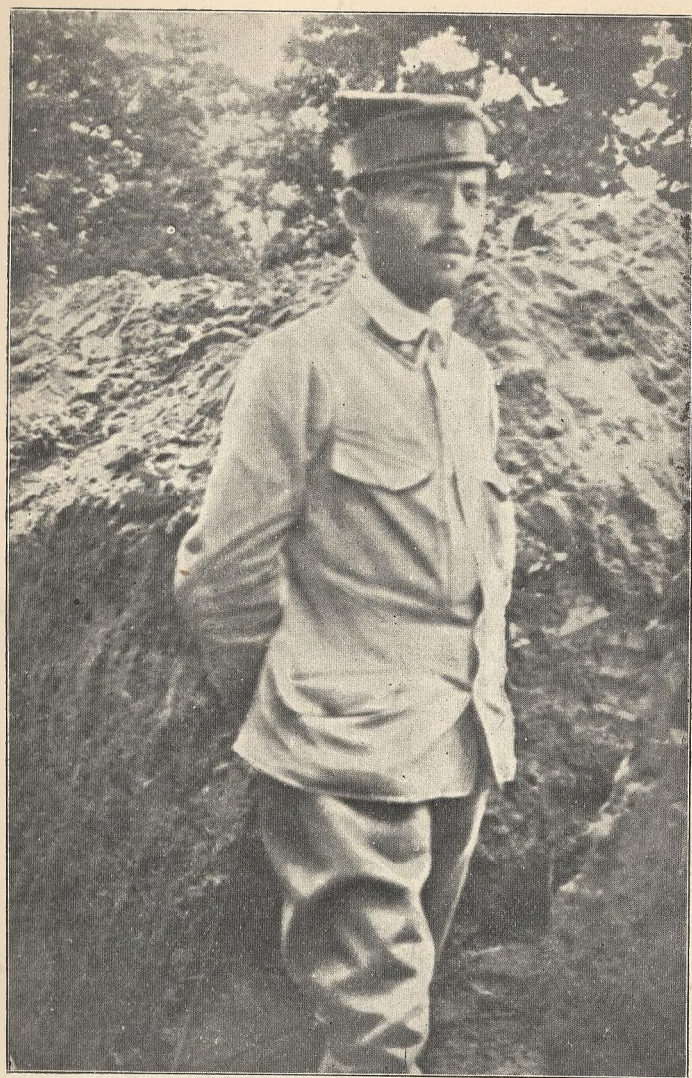
Wszystkim zaś na wiwat odpowiadały armaty rosyjskie, których pociski coraz bliższe, coraz dokładniejsze, kierowane widocznie blaskiem reflektora pękać zaczęły tuż nad naszą jadalnią podziemną..

A my zegnamy się tymczasem powoli u wyjścia i po dwóch, po trzech opuszczamy okopy, dążąc na pozycye, do swoich stanowisk...

W godzinę później rozegrała się ponownie cała artylerya i piechota rosyjska — a nasze działa i karabiny

odpowiedziały im również głośno i gwałtownie, tak iż huk nieustanny wypełnił powietrze, a od błysków ognia niebo co chwila się rozświeślało.

W taką to noc, po takim bankiecie, odjeżdżał od nas do ojczyzny kapitan Zagórski, wioząc wodzowi Legionów wieść: iż Brygada nasza, druga „karpacka“ Legionów Brygada — gdzie stanie, wytrwa, wrogowi zdzierży i ducha nie straci...



Kapitan J. Szczepan.

POLE GRANATÓW I SZRAPNELI.

Było to w lipcu, gdy na pozycyi po walkach czerwcowych leżała Brygada, saperską pracą i trudem żołnierza kończąc umacnianie okopów, wyrastających zwolna w twierdzę nie do wzięcia prawie. Połowa — cudnego w pogodzie — miesiąca dobiegła już kresu przy zupełnej niemal ciszy i spokoju; gdy znagła rankiem słonecznym dnia wstającego rozgrała się artylerya rosyjska.

Jak nagle a potężnie się zaczął, tak i rósł ten koncert polowy z chwilą każdą potężniejszy, to salwami, to w pojedynkę, to ogniem pospiesznym, gdzie jedno działo nadąża drugiemu w głośnym rozhowerze wypływając w dal na pozycye nasze, stalowej swej i ołowianej zawartości nadmiar.

A działa nasze odpowiadały im pospiesznie, jakby się z tamtymi z naprzeciwka, którym wymowę dał „Uncle Sam“ klócić chciały, to znów zwolna, rozważnie, jakby po namyśle rzucały im pociski, padające ciężko a statecznie niby argumenty... na które niema odpowiedzi rozsądnej, a zostaje tylko szrapneli chichot i ryk granatów taki, że zdawać by się mogło, iż te działa tam za wzgórkami zmieniały się w jakieś demoniczne postacie żywe i równocześnie z wściekłości bezradnej przytomność, zmysły i rozsądek wszelaki straciły.

I trwały tak: ryk ten, te huki, świsty i szумы dzień cały, a nad pozycją naszą słońca otuloną blaskiem, to

dymki rozkwitały, niby kłęby wełny białej pod jasno-błękitnem niebem, to fontanny ziemi z murawą zmieszanej tryskały ku niebu.

Co dymek wykwitnął, to trzask głuchy szedł za nim zlekka jakby się orzeszki sypały po ziemi małe, poczem i dym rzędąc w słońcu, w wiatru powiewie lekkim zwolna się w lazur rozpływał; a co ziemia wytrysnęła i jęła, to jeno pył kładł się lekką i króciuchną smugą.

Pole zaś nasze, przed nami i poza nas daleko, uściślało się zwolna odłamkami stali, kruszynom i ołowiu i ziemią wyrwaną aż do wnętrza swego, wzburzoną, na miał roztartą i pył wiatrem podwiewany.

Górą zaś, od czasu do czasu, w klekotaniu suchem, bijącym uparcie i tępo w uszy szły zdala kul poświsty i jeno czasem ścięty zachwiał się trawy liść to wtedy kula żywiej zabrzęczała, jakby rozżarta tą przeszkodą drobną i tem złośliwsza teraz w swych „koziółków“ obrocie warczącym... Albo odbita, rykoszetem brzęcząc o ziemię uderzała, pyłek niecąc nikły i wrzynając się pod sam wierzch kory ziemnej — bezsilna.

Tak wyglądało pole, chwilami zgoła niewinne, pyszniące się krasą łąków dojrzewających w słońcu, to znów zmieszane, wzburzone, kośbą kul cięte przedwczesną. A tam dalej, tam frontu bliżej, przy okopie pierwszym i przed nim samym działo się wszystko to samo, tylko w rytmie gwałtowniejszym o wiele, tylko zacięciem, żarciem i wścieklej. Tu granat bił przy granacie, nie dołki rwąc z ziemi ale już rowy dziwacznie niechlujne, a dymy szrapnelowe aż plątały się z sobą i co jeden błednąć począł, to już drugi w miejsce jego wykwitnął; ów zaś sypał się bezprzestannie w pokrycie okopu,

mieszając się ze stałą kul karabinowych, niby deszcz gwałtowny, siekący śmiertelną a przecież nieszkodliwą nawałnicą po froncie tych mieszkań niezdobnych, a jednak względnie zacisznych i bezpiecznych.

Chyba, że taka „kropelka deszczowa“, taki drobiazg brzęczący, kula karabinowa wpadła w otwór strzelnicowy... Wtedy to bywał i ranny czasem. Czasem też granat trafił wprost w nakrycie i łamiąc zwał ziemi, deski, słupy, uderzył do wnętrza śmierć niosąc. Trzech ludzi zginęło naraz od ciosu takiego, a siedmiu lekko rannych poszło do szpitala Brygady...

To była strata całego dnia naszego, a zysk wzwyż tysiąca pocisków armatnich, których łuski z niezliczoną ilością kul karabinowych zasłały nam pole.

Tak przeszedł cały dzień pierwszy — w niezmiennem zgoła okopowem życiu — i przyszła po nim noc, lipcowa noc krótka poprzedzona chwilą ciszy zupełnej w nadchodzącym zmierzchu, kiedy to nawet ptaki na pozycyi gnieźdzące się milkną, tej ciszy, kiedy to na pozycye zwolna noc się kładzie ludzą spokojem — w który zda się, że każdej chwili głos sygnaturki wpadnie, ligawki tony i dziewcząt śpiew wioskowy... w chwilę taką, gdy światło z ciemnością się zмага i armaty milkną nawet, jakby już nie miały nic sobie nawzajem do powiedzenia.

Ale trwa ta chwila krótko, bo oto kule zaczynają latać i brzęczeć odnowa, niby jakiś rój ós nocnych w ciemności po łup, po ran ukłucia wypadłych. To patrole gdzieś tam przed pozycją — na tym szerokim pasie ziemi między nami, który nieczyj nie jest, bo Bóg go chyba opuścił, a ludzie odebrać jedni drugim nie mogą — spotkały się w mroku i ostrzeliwały... Krótko,

a gwałtownie — i znów cisza, w czasie której zapada letnia noc...

Aż z okopów błysnęło — niepotrzebne i nie w porę — jakieś nieostrożne światło, zamigotało, zatrzepotało w ciemności i pospieszenie jakby z wstydem zgasło zbyteczne. Ale już, z wzgórką naprzeciw odpowiedziało mu światło inne... Błysk jeden, od centrum na krawędzie się rozplywający, błysk drugi takisam a krótki, nagły, jak myśl co nieświadomiona zgasła, moment ciszy... coś jakby szum w powietrzu głuchy, jak użalanie się i łkanie w świst przechodzące, a potem trzask i huk głuchy... Skończyło się. Padł szrapnel i granat, gdzieś za okopem, bez szkody. A potem znów huk i trzask i znów szrapnel przeleciał z granatem — parami. A że gdzieś karabin wystrzelił jeden i drugi, to rozgrało się zaraz ołowiane karabinów bulgotanie z którego już nie poświsty, ale w trzasku „ekrazytek“ monotonne „rrr, pak, pak,... rrr... rrr, pak, rrr...“ się miesza.

Bo noc, cienie jej, zaciętość ognia niesłychanie wzmacniają.

I grają tak karabiny z armatami bez końca niby, a przecież krótko. Kwadrans, pół godziny i znów chwila ciszy, w której tylko patrole podchodząc strzelają do siebie... A za chwilę powtarza się to samo na nowo i tylko w kwaterze pułkowej, t. j. w ziemnej jamie — mieszczącej się z innymi na tejsamej linii ognia — telefon piszczy i w uszy adjutantowi powtarza:

„Na froncie batalionu spokój, trwa tylko lekki ogień artyleryi“... Patrol nasza tam a tam to a to zrobiła, to spostrzegła...

Pułk zaś zbiera te meldunki w całość jedną, dro-

biazgi wypuszcza i prawie to samo „grupie“ powtarza... „Grupa“ zaś już Brygadzie, Brygada korpusowi, i tak dalej... idą meldunki przez korpusy i armie aż do naczelnej komendy, skąd nazajutrz komunikat głosi, że na froncie naszym od wczoraj nic się nie zdarzyło, nie, prócz lekkiego ognia artylerii...

I to jest prawdą, gdyż na ten lekki ogień artylerii złożyły się właśnie takie pola, szczątkami kul usłane, bez trupów prawie i z niewielu rannymi — choć szczękiem stali, hukiem i rozgwarem całodniowym owiane...

Idą więc meldunki a ogień to trwa rosnący, niepohamowany, wściekły, to urywa się i milknie i znów wybucha, z przerwami, przez noc całą aż do świtu, do rana. Gdy zaś świt nadchodzi, idzie wraz z nim jakby potworny, nieokiełznany nieczem szалу wybuch. Wzmacnia się huk i stukot, powietrze jakby rzezi, a ziemia od uderzeń jęczy — aż wreszcie wystrzela wysoko w górę pierwszy promienny błysk słońca. I wówczas dopiero cichnie wszystko statecznie i zwolna, poczem żołnierz z karabinem w dłoni po nocy znoonej zasypia, by zbudzić się znów na strzał pierwszy...

W gałęziach drzew zaś ptaki, nieopuszczające nas nawet i teraz, nic sobie wogóle z toczącej się w koło nich wojny nie robiące, świegotem go swoim do snu dziennego kołyszają.

Tak przeszły głośnie i znojne dwa dni całe, aż wreszcie w trzecim na wieczór, na noc, gdzieś na godzinę jedenastą nasz atak naznaczono. Niewielki, skromny, — w półkompanię coś zaledwie — bez dużych jakichś zamiarów, ot. byle tylko zaniepokoić wroga, a gdy się uda to i uszczknąć nieco.

I gdy po zmudnej pracy dnia żołnierskiego zamilkły wieczorem armaty, gdy po trzech dniach i dwóch nocach gwałtownego ognia nastąpiła na pozycyi cisza. wyszły z okopów czarne tajemnicze cienie i zwolna za druty, ku rosyjskiej podeszły pozycyi. Natknęły na płacówkę. Krzyk strachu i trwogi. Strzał w noc ciemną. Okrzyk jeden a donośny:

„Stroj sia“!

A po nim strzelanina karabinowa, taka bez upamiętania, bez wytechnienia — jakby świat się walił...

Potem zaś, pospiesznie, bez namysłu zarzuciły armaty wroga, po polu celu szukając, a nasze w ich okopy prosto... Lecz nim jeszcze ich armaty zagrały, nasi już na pozycyę wrócili wiodąc z sobą jeńców na przesłuchy komendantowi pułku, tamtym zaś noc całą popsuwszy gruntownie.

Grają jeszcze obie artylerye czas jakiś i milkną wreszcie, nad świtaniem zaś Moskale na odwet próbują ataku bez skutku jednak i napróżno, bo nawet do nas należycie się nie zbliżyli, a karabinów ogniem przetrzepani uciekli tak chyżo, że karabinami, nożycami i... butami (zagadką zostało na zawsze jak się ich wyzbyli w ucieczce) zasłali pole.

Tak na huk i strzelaninie zeszła znów noc cała i znów świeże szrapnele a granatów złomki zasłaly pole, na którem już i piędzi ziemi niemasz jeśli nie zoranej, to żeby nie była usianą stałą i ołowiem...



Podpor. Marcin Turkowski.

O ŻOŁNIERZU I ŻOŁNIERZACH

W opisach walk oficer — komendant pułku, batalionu, kompanii, czy plutonu czasem, na plan pierwszy się wysuwa. W rękę jego żołnierz, bataliony, stają się tą szarą, bezimienną jakąś masą, która idzie, walczy, rozsuwa się w tyralierów linie, okopy bierze, lub ich broni, otacza się w całości swej chwałą, z której częśćka równa po sprawiedliwości każdemu przypada — ale żołnierz sam blaskiem indywidualnej sławy przyobleka się rzadko. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ nigdzie może tak silną, jak dla naszego bractwa legionowego nie stało się zasadą... Z czynów własnych, jak i z czynów wszystkich porówni bierze i brać będzie na zawsze legionista polski swą chwałę.

Lecz któż to on jest, co to zacz ten żołnierz Legionu — o którym kiedyś z dumą będą mówiły wnukom dziady i którego na swe karty weźmie historia? Skąd on idzie? Gdzie kołyska jego stała? Jaki kształt duszy jego dała wojna? I czego dokazał? Może na to wszystko kiedyś, ktoś dokładniejszą i bardziej wyczerpującą da odpowiedź — dziś żołnierza z pola o żołnierzu w polu myśli i przykładów garść bohaterskiej odwagi próbą będą odpowiedzi na niektóre z pytań powyższych...

Nie mam zamiaru traktatu pisać, a tylko myśli naznaczyć jak się nasunęły i częśćkę opowiedzieć z tego,

co o bohaterstwie żołnierzy naszych — przeważnie z pułku trzeciego słyszałem.

Legionista polski, przez dziwne pokojarzenie się pojęć, przez pierwiastkowy pęd pewnych sfer do Legionu — a później i przez początkowe, nastrojowe impresye i korespondencye nietyle z pola walk ile z miast przygodnie posyłane, urósł w pewien kształt, w pewną formę schematyczną, w której kamienieć zaczyna i wchodzić tak nawet w inwentarz tworzącej się już dziś poezyi legionowej.

Utworzyła się i utrwała w umysłach fikcyja pewna, ubiera się w zasłużoną zresztą zupełnie aureolę bohaterstwa prawie wyłącznie były „mamin synek“, studentik z domowych wygódek wyrwany, który karabin w rękę wziął i Moskala bije, przez kraj świata pędzi, zbiera w siebie tęgość wszelką, z którą kiedyś w dom powróci...

I jest w tej złudzie prawdy nieco, a nawet dużo, bo są tacy w Legionie, i jest ich wielu nawet — ale nieprawdą jest twierdzenie, jakoby Legion inteligencką z powłoki, a w treści zgoła robotniczą, z miast wyszłą był formacją...

Tak nie jest, a raczej z początku może i było, gdy z Związków a Drużyn pierwsze tworzyły się kadrówki.

Potem zmieniło się wszystko.

Już w okresie formowania się drugiej Brygady, w czasie po sierpniowym N. K. N. manifeście, wszedł w legionowe formacje ciężkim a potężnym krokiem chłop polski...

Skąd szedł? Zewsząd, z kraju całego. Wszystkimi porami w Legion wsiąkał. Od Podhala może i w ty-

siąc, może i w więcej ludu przyszedł, z Krakowskiego, z Mazurów ścigał nieznacznie a stale. I rósł tak Legion na pół chłopski, rosła druga Brygada... Ilu ich tam tych chłopskich synów zrazu było, któż to dziś policzy!

Nieszczególna — jak wszystko prawie prócz wojennej ochoty szwankujące — była zrazu u nas ewidencya, nie wszystko zapisane, nie wszystko zliczone zostało...

Wszedł raz chłop-legionista w drużyniacką kompanię, to za drużniaka się miał, to samo w strzeleckiej czy sokolej. O pochodzenie: z miastaś ty czy ze wsi bracie — nikt się go nie pytał, bo i co komu z tego czy do tego? Bij się tylko żołnierzyku polski, a reszta już się sama znajdzie...

Jedni tylko Podhalanie, w dwóch góralskich kompaniach przez podpułk. Minkiewicza przyprowadzeni i Ślązacy z organizatorem swym por. Przepilińskim w jednej śląskiej kompanii, fizyognomię zachowali wyraźną. Reszta się jakoś zrazu zatarała — i dopiero w boju, w ogniu walki zaczęło się dosadniej odcinać to co chłopskie od tła ogólnego... A może i przeciwnie było, może na tem krępkiem tle chłopskiem reszta zarysowała się jakoś... inaczej. Może... faktem, bo niezaprzeczonym pozostanie, że to wszystko co zrobiły Legiony, to wszystko co w działaniu ich jest szarym i ciężkim trudem codziennym, co wymagało sił fizycznych aż do ostatnich krańców możliwości napięcia, że to wszystko robił ten szary nasz ludek żołnierski, robili w sporej przewadze chłopscy synowie w pięknej emulacyi z resztą tych, co z innych sfer — nieraz tylko trud fizyczny z opowiadania znających — wyszli.

Biją się pod Szigetem, Pasieczną, Mołotkowem, Rafajłową, Zieloną, Maksymcem, Nadwórną, Maniową, Bo-

horodczanami i — w dziesiątkach walk innych... Biją się jak lwy — i drogę Legionów oni trudem swym i potem w górach, po urwiskach, w najgorszych budują warunkach... Cała kampania II-giej Brygady tą chłopską zawziętością i tem męstwem i tem szafowaniem krwi chłodnem a spokojnem naznaczona — a przykładów... przykładów, gdy chcecie, tysiące...

Ot, starczy choćby może ten moment piękny, jak pod Pasieczną dwa wszystkiego podhalańskie skalne plutoniki chłopskie — w stokilkadziesiąt ludzi — nie zawały się ani na chwilę i pod komendą wówczas porucznika Minkiewicza stawily czoło przez cztery godziny tysiącowi kozaków, dwom armatom rosyjskim... Tam żołnierz legionowy, tam chłop polski w drugiej Brygadzie chrzest ognia brał, tam się kul nasłyszał — ale i wroga wyparł — hej!

A przeglądnicie listy strat naszych, ile nazwisk chłopskich, tyle śmierci pięknych, z karabinem w ręku...

A listy odznaczeń...

Kto zaś powie, że jest w Brygadzie drugiej rodzaj broni ekskluzywny, zgoła nie chłopski — kawalerya, ułani nasi — nie wiercież temu...

Niech wam opowie potem szarżę rokitniańską przesławną i niech powie jak zginął na okopie Majda Michał, jak padł od kuli Szysz Mikołaj ode Stryja i jak śmiercią rycerską legł syn chłopski Janiszyn Józef.

Bo oni, ci synowie chłopsey są wszędzie, są jako siła muszkułów prężących się pięknie na placówkach, czuwają po nocach bezsennie, sztuką wojowania tak przejęci, że chłopska wedeta przez patrol zaskoczona wali się na ziemię i przycajona, nad siebie placówce

do Moskali strzelać każe, tym sprytem i chytrą siłą siebie ratując i placówkę...

Są w linii bojowej — a jako patrole suną naprzód odważnie w ogień, i aż w okopy wroga podążają...

Są wszędzie... Gdy przy rzecznej przeprawie komendantowi koń tonąć zaczyna, syn chłopski Długosz w nurt wezbrany skacze i komendanta z opresji wybawia. Inny zaś, Masłowiec, gdy pod Pasieczną, w grudniu, w nurt rzeczny mała nasza armatka górską wpada, skacze za nią i z lodowatej wydobywa wody.

Tacy są chłopci nasi w Legionie — a męstwa, ofiarności, bohaterskich zgonów przykłady liczyć by można w nieskończoność... Powiedzą kiedyś o tem wszystkim kroniki pułkowe, powie Legionów historia.

Dziś stwierdzić wypada tylko jedno, to właśnie, że po raz pierwszy w wszystkich walkach naszych zbrojnych wystawiliśmy armię ludową... To, o czem marzyli Kościuszko i Dąbrowski, o czem śnił rok trzydziestypierwszy, a czego nie osiągnął sześćdziesiąty trzeci, to zdziałał manifest 16-go sierpnia tysiąc dziewięćset czter nastego roku — ostateczny wyraz pracy poprzednich lat kilkudziesięciu...

Politycznie uświadomiony pospieszył lud, chłop polski w legionowe szeregi, tak jak pospieszyły wszystkie warstwy inne... I dlatego to trudno dziś na ogół czyny jednego żołnierza od drugiego oddzielać, by mówić: to chłop a to nie chłop zrobił. Prostu co Legion zrobił, co męstwem, wytrwałością, niezachwianiem się w mrozach, marszach i głodzie zrobili żołnierze Legionu — to wszystko zrobili także i chłopci!

Chłopi są dziś większością Legionu — ale początek jemu dały miasta... Z miast wyszły te kadry pierwotne, wyszła ta rama, dziwnie podatna a silna, w którą wrosła cała militarna nasza organizacja.

Z miast, ze Związków strzeleckich najpierw jako że najliczniejszych, potem z Drużyn, ze Sokoła wreszcie...

Dały nam miasta, co dać mogły najlepszego, kwiat swej młodzieży, uczniów z ławy szkolnej i młodzież robotniczą. Stare to i znane dzieje — powtarzać ich chyba nie trzeba... Podkreślić można chyba, że ta dziatwa prawie szkolna, ci chłopczy od lat piętnastu do siedemnastu — dziś już w bojowaniu o rok starsi — chlubą są naszą i dumą...

Niepróżno ich przez rok smagały wiatry a świst kul im bywał dzienną i nocną muzyką, niepróżno śmierć im tysiąc razy zaglądała w oczy, a marsz nużący dech ostatni im z piersi wypijał...

Twardzi się zrobili w tem życiu i mężcy; dzieciństwo precz poszło, a młodość przyszła i górna i chmurna, młodość o jaką generacye się modliły i wymodlić nie mogły...

Co słabsze odejść musiało... Takie już prawo wojny i konieczność taka bolesna... Do domów, z żalem żegnając boje minione i przeżyte część powróciła, część zaś niestety, na cmentarzach Legionów została... I to byli bohaterzy także — najwięksi może, z tych co siłę na zamiary mierzyli...

Została reszta i ta w boju i trudzie naprzód idzie, ta kwiatem jest Legionu... Z nich, gdy kiedyś w dom powrócą, gdy kiedyś na nich kolej kształtowania życia przyjdzie, ludzie cali, ludzie czynu, działania i mocy się staną... To robi z nich szkoła wojny twarda a codzien-

na, szkoła posłuchu i trudu i myśli ofiarnej — w której nauczyli się wszystkiego...

Ci to są, którzy Legionowi królewski isticie dar myśli i ideologii górnej codzien niosą w dani — którzy codzien wśród burz i przeciwieństw, wśród zapomnienia w kraju kuszącego dusze nasze rozpaczą i zwątpieniem śmiało w górę niosą sztandar nadziei i wiary...

Z tęsknot ich młodzieńczych, z ich porywów serdecznych płynie ta wstęga poezji, którą się Brygada opłótła i dzięki której trwa i trwać będzie, gdziekolwiek ją losy rzucą. Bo choć:

„Tęsknimy ku wam, strzechy wy prostacze,

W czerwonym słońca ognistym roztopie...

My umęczeni żołnierze-tulacze

O was tu myślím i marzym w okopie“.

To przecież z tęsknot tych nie słabość płynie żołnierza, ale siła jego większa jeszcze, licząca każdy trud, każdą mękę, każdy zgon jako jeden jeszcze a konieczny dar dla Ojczyzny....

Bez nich, bez tych chłopców serdecznych, ongiś rumianych i białych, Legion byłby może wojskiem, ale nie byłby Legionem... W nich zaklął się czar i urok naszej armii małej — oni są duszą jego i uzupełnieniem muskularnej siły...

W boju narówni idą z innymi, w tylu miesiącach trudu i znojów hartu już nabrali — ale tam gdzie w drobniactwach myśl twórcza pracować zaczyna, tam już są oni — jedyni... Ileż patroli śmiałych, ileż wyprawek drobnych i sprytem i pomysłem szczęśliwie do końca doprowadzonych...

Tych dały nam miasta najpierwszych. Z nich korpusu oficerskiego część spora i prawie cały podoficer-

ski wyrósł — oni Legionowi życie dali i całą jego fizyognomię, oni są tymi, których się widzi na zewnątrz, oni z obrazów mówią i z fotografii i z tej poezyi, która Legiony od początku otacza... oni „synkowie mamini“...

I naprawdę — możesz być matko dumną z twego syna!

A po nich przyszli w Legiony inni jeszcze. Przyszli ten bezimienny, nieznany, lud miejski, te prawdziwe dzieci miasta i ulicy... Przyszli i przychodzą w dzień każdy — bladzi, wyrośnięci nad miarę, lub pracą do ziemi przygięci, a wojna bierze ich w swe tryby nieublagane — i żołnierzy z nich robi, rycerzy Polski wstającą...

I snują się po okopach naszych te „lwowskie“ i „krakowskie“ dzieci, z śmiercią koło nich się uwijającą za pan brat sobie chodząc... Alboż im to straszna ona!

Warsztaty sobie jubilerskie po swoich „willach“ poczynili i z aluminium pierścionki robią, a piłują... Metal potrzebny „pospieszną pocztą“ przysyłają im na szrapnelach Moskale. Niech tylko szrapnel pęknie, to już niczego innego taki nie nadśluchuje, tylko gdzie „zegar“ warcząc poleci — i gna za nim i bierze, choćby z ognia najgorszego, bo potem „fabryka“ znowu dalej idzie... A za granatem, gdy gdzie w miękką glinę wpadnie i nie eksploduje z łopatkami na wyścigi gonia i ziemie za nim choć i na pół metra grzebią, mimo że granat niepotem, bo aluminium na nim zgoła niewiele...

Gdy zaś za grzebiącymi szrapnel czy granat przyleci, to przycupną gdzieś i za chwilę dalejże, za oboma szukają.

Ale zdarzy się czasem, że Moskale nie chcą dobro-

wolnie „aluminium dawać“. Wtedy poprosić ich można, a nie odmówią. Robi się zaś rzecz tę tak prosto:

Doleczek się w ziemi kopie i ogień rozpala z drzewa ile możliwości mokrego — wyszukawszy sobie ile możliwości najlepszy „dekunek“. W powietrze wzbija się wysoki słup czarnego dymu, stanowiąc cel dla artylerii wymierzony i alarmując oczywiście przedewszystkiem... komendę własną.

„Z pułku“ przybiega oficer:

— A wy tu co robicie?!

— My... czekamy panie poruczniku, aż wpuści...

— Co „wpuści“?

— Szrapnela — panie poruczniku — bo nam już na pierścionki wyszło...

Nie rozśmiać się trudno, ale ostatecznie na rozkaz ogień gaśnie i „szrapnela nie wpuściło“... Został jednak jeszcze jeden przyczynek do charakterystyki owej niesłychanej pogardy śmierci żołnierza legionowego, kwestę życia traktującego wprost z dzieciną jakąś a zarazem jakże piękną, dumną nonszalancyą...

W tem tkwi siła i moc Legionu — tkwi ta potęga bojowa, tak wielka i imponująca, że Legion zdolny jest przez nią wchłaniać w siebie i przyswajać sobie nie tylko te coraz to nowe własne, z kraju przychodzące, pod względem wojskowym surowe jeszcze żywioły — ale i przydzielonych nam — obcych bądź co bądź oficerów — przez podziw niemal nierozzerwalnie z sobą spaja i z ust ich słowa podziwu dla siebie wydobywa.

Wystarczy może wspomnieć na słowa kapitana Towareka szefa sztabu naszej Brygady, który zapytany co sądzi o Legionie — odparł prosto:

„Legion — to nie wojsko — to gwardya“!

Legionista nasz ma, by tak powiedzieć, dwie fizyognomie zgoła odrębne: bojową i tę drugą „z za frontu“... Ktoby z tej drugiej sądzić chciał, krzywdę by mu ogromną wyrządził — ona jest tylko wynikiem pewnych braków i wad wychowania wojskowego, braków wynikłych z pośpiechu, z jakim żołnierz ten w ogień poszedł... A w ogniu to żołnierz nad żołnierze. To co się nazywa dyscypliną ognia w lot pojął i zrozumiał... drobny, niepozorny nieraz, tak się zahartował i do boju przysposobił — że w marszu do najwytrwalszych należy... Brak wszelkiego lęku przed śmiercią, w tyralierze czyni go niezrównanym. Spokój go cechuje i krew zimna... W bitwie pod Witelówką z dziewięciu dział pięćdziesiąt salw biło w jedną jedyną kompanię dziesiątą, a mimo strat, bez wahania się choćby chwilowego naprzód szła...

Komendy prawie nie potrzebuje, co robić sam wie i orientuje się doskonale, w patrolowaniu mistrz, w ogniu karabinowym wręcz straszny... Strzelec nie każdy doskonały — ale co do ilości strzałów, a w tej masie i skuteczności, dziesięciu karabin maszynowy zakasować potrafią. Wytrwały, bo kiedy go karpackie mrozy nie zjadły, tesame mrozy, które Rosyan tyle strat kosztowały — to widać zasób energii i wytrwałości nie mały w nim być musi.

Takim w boju jest i na pozycyi, ale kiedy się w nim nerwy zmęczą, kiedy już z sił opada, wtedy z linii na czas krótki, dla wytechnienia do trenu idzie... Tu z natury rzeczy następuje reakcja — i robi się żołnierz nasz czasem do żołnierza niepodobny. Stąd bolesnych niepo-



Groby poległych pod Rokitną.

rozumień setki i przykrości tysiące. Brak tresury, brak dyscypliny zewnętrznej staje się powodem niezliczonych rekryminacji władz... Papiery się zapisują, foliały rosną — a rzecz cała w tem, że czasu nie było legioniście naszemu zewnętrznej żołnierza dać powłoki... bo kiedyż?

Czy przez ten czas krótki podróży na Węgry, podróży po której z wagonu prosto w ogień poszedł — i siedzi w nim aż po dzień dzisiejszy? Czy „na spoczynku“ wypełnionym umacnianiem i strzeżeniem Kołomyi?

Stąd „zafrontowa“ istota żołnierza naszego braki pewne ma, braki, które dziś widzi już sam i usuwać się stara i z którymi mu za frontem tak źle, że sam na front jak tylko może, powrócić się stara...

Bo tam na froncie żywot jego cały... tam skupiło się wszystko, co mu drogie i co ukochał ten bojownik Polski Niepodległej, którego — wy tam — w kraju — nie żałujcie, a zazdroście mu raczej tej pogody myśli, z jaką bije się i bił, choć... były czasy, że bywał zapomniany. Zazdroście mu tej wiary, której nie stracił nigdy, że ta, o którą walczy — będzie!

Takim jest żołnierz legionowy, takim jest duch, z którego wyrosła ta jego moc i tęgość tak duża, że wróg sam głowę przed nią schyla.

Żołnierz indywidualność swą w boju zatracą... Tam, od tego tła szarego, od tego legionu mężnych, sposobność wyróżnić się znajdują nieliczni — ci którzy chwilę sposobną szczęśliwie ujeli, których męstwo i odwaga zajaśniały szczególniejszym blaskiem.

I takich, tych wyjątkowych. są u nas setki... Mówią o nich czasem raporty bojowe, mówią częściej jeszcze

propozycje odznaczeń — i mówią opowieści żołnierskie, gawędy o bojach niedawnych, opowiadane prosto w długie pozycyjne wieczory...

Z gawęd tych może kiedyś książka i niejedna wyrośnie — dziś do skarbcza „urzędowych“ informacji sięgając kilkanaście bodaj tych żołnierskich profilów prostych, ku czci i chwale żołnierza karpackiej Brygady dam, by w zapomnieniu nie zginęło to, co więcej może niż tylko pięknym gościem było... Nie będą te charakterystyki wyczerpujące, nie zarysuje się w nich żołnierza postać cała — ale w mało różnym — od urzędowego, na skrawku papieru nakreślonego — zarysu, nakreślę czyn, skrócony rys faktu który sprawił, że na piersi tego, a nie innego żołnierza medal z napisem „za męstwo“ zabłysnął...

To będą tacy, którzy raz czemś wyblęśli — ale u których na ten wyblysłk nagły złożyły się miesiące żołnierki długie, hart ducha i ukochanie bez granic sprawy...

To będą tacy, jak ten legionista prosty, szeregowiec Irysik Michał, co to znalazłszy się 12 czerwca pod Rokitną na linii Moskali — sam przez nich obskoczony i do poddania wzywany nie poddał się i broni nie złożył... Strzelać nie mógł, bo za blisko było. Karabin więc w ręce przerzucił, lufę w garść porwał — i jak nie odwinie, jak młyńca nie zatoczy w koło! Dwóch trupem położył, dwóch ubezwładnił i do niewoli zabrał. Medal za to srebrny drugiej klasy dostał...

Albo taki Surwiłowicz Stanisław, plutonowy. W walce pod Pasieczną, gdy oficera zabrakło, pluton sam nieustraszenie i odważnie na rosyjskie prowadzi okopy... Dokonawszy tego, otrzymuje od kapitana Kozickiego

meldunek do oddziału znajdującego się w rezerwie. I w ogniu, choć w głowę ranny rozkaz spełnia — meldunek doręcza i... pada zemdlony... W szpitalu do zdrowia wraca — i znów na froncie się jawi... Przez miesiąc kilka w służbie, pod Rokitną po raz wtóry ranę, a poraz pierwszy medal srebrny drugiej klasy odbiera...

Z tychsamych liczby sierżant Osowski Julian. Pierwszy raz pod Maksymcem się odznacza, gdy pułkownik Haller na kryte umocnione okopy rosyjskie atak nakazał... Dopuścił wróg w pobliże i dopiero tam znagła wziął ich w ogień karabinowy i armatni. Młody był jeszcze nasz żołnierz i chwiać się zaczął i wycofywać. Wtedyto sierżant Osowski, acz chory, bo z odmrożonemi nogami i parudniową walką znużony, porywa z sobą kilku żołnierzy i z nimi na okop rosyjski wpada, postrach siejąc i zamieszanie... W gwałtownym ogniu pięciu jeńców uprowadza, i sukces zyskuje zupełny — bo w ślad za nim posuwają się nasi, okop siłą biorąc... Osowski zaś, mimo odmrożeń, całą kampanię lutową przetrwał i medal srebrny drugiej klasy dostał.

Albo Farny Tadeusz... przy atakach pod Rarańczą wspomniany i po śmierci medalem srebrnym I klasy odznaczony. To był czyn jeden — ale pamiętać trzeba, że nie był to odruch, lecz naturalny poryw, przygotowany całym bohaterским, żołnierskim żywotem.

Niezapomnianego Kowalskiego Stanisława, sierżanta — z Królestwa rodem — tych słów kilka niech nie pomnikiem będą, i wspomnieniem pozgonnem. Chłopiec 19-letni od szeregowca awansował. Do ataków pierwszy wszędzie był, gdzie głowy nastawić było trzeba, aż przyszła noc 24 stycznia, atak na Rafajłową. Kowalski zrywa się z pościeli — i z bagnetem ku kwaterze bie-

gnie pułkowej. Formuje się tyraliera. Kowalski z innymi ostrzeliwa do szturm idących Moskali. A gdy nadeszli Kowalski czterech bierze do niewoli i za front odprowadza, poczem wraca i napotkawszy pięciu (a siłacz był i fechtmistrz na bagnety nie zrównany) sam jeden rzuca się z bagnetem na nich, niemal błyskawicznie czterech kładąc trupem. Gdy się ku piątemu zwraca, cios bagnetem rosyjskim w gardło niby piorun kładzie kres młodemu a pięknemu życiu. Padł śmiercią bohaterów, a rozkaz Komendy przyznał mu srebrny medal waleczności I kl.

Jaką jest wytrwałość naszego żołnierza niech świadczy choćby czyn legionisty, A d a m s k i e g o Jakóba. Pełniąc wartę w Dołhej nad Dniestrem, w miejscu szczególniejszym eksponowanem, pękającym szrapnelem rosyjskim, zostaje ranny w lewą łopatkę. Mimo bólu i mimo upływu krwi nie schodzi Adamski z posterunku, ale dalej przez całe trzy kwadranse pełni służbę, czekając zmiany, która nareszcie zwolniła omdlewającego z bólu i osłabienia. Został odznaczony medalem srebrnym II kl.

...A w szeregu innych, taki n. p. starszy żołnierz nasz — tyle co w armii gefreiter — Zajac Jan... Gdy 13 maja byliśmy w odwrocie za Prut, on śmiałem rzucając patrolu przeciw nadciągającemu nieprzyjacielowi zabezpiecza drogę powrotną i umożliwia batalionowi trzeciemu przedostanie się przez rzekę. Sam jednak zaskoczony w Sadogórze, znosi atakujący go oddział kozacki, poczem zbiega w gęszcza, a następnie przez miesiąc ukrywa się nie tylko przed nieprzyjacielem, ale i przed formalną moskalofilską nagonką, podtrzymując jeszcze paru innych towarzyszy niedoli na duchu. Po uwolnieniu Sadogóry przez naszą czerwcową ofensywę

wraca do szeregu i bierze udział w dalszych naszych walkach, odznaczony medalem...

A taki Kaczor Kazimierz, starszy żołnierz... Zawsze na froncie, książkę służbową aż do ostatniej strony wypełnioną ma spisem walk, w których brał udział i to nienajpośledniejszy. W odwrocie z 13 maja, gdy cofaliśmy się przez Prut wezbrany, z narażeniem życia kilkunastu ludzi od utonięcia ratuje... Dzień przedtem z patrolem cofającego się oddziału wysłany, dostaje się w ogień nieprzyjacielski. Jedna z kul roztrzaskuje mu karabin, a odłamki ranią go w rękę. Kaczor dopędza kompanię, wymienia popsuty karabin na cały, bierze amunicji ile unieść zdoła i powraca do swej sekcji, chroniącej tyły. Po pewnym czasie ponownie raniony w ramię i tym sposobem ubezwładniony, schodzi ostatecznie z pola. Medal.

To żołnierze z linii, to ci z frontu, ci którzy w dzień są w ogniu... Ale są jeszcze żołnierze i bohaterzy z oddziałów innych...

Ot, choćby tacy jak plutonowy Neubauer Roman i kapral Grońkowski Roman, obaj z oddziału technicznego, z saperów naszych i telefonistów. Ci, czasu bitwy pod Zieloną, 7 lutego przedzierając się na ochotnika na tyły operującej przeciw nam armii rosyjskiej zniszczyli w oznaczonym z góry czasie podwójne połączenie telefoniczne z główną kwaterą rosyjską, znajdującą się w Nadwórnej. Kapral Grońkowski za ten i za inne czyny odznaczony medalem srebrnym II kl. Plutonowy zaś Neubauer bohaterstwo swoje tragiczną przypłacił śmiercią, schwytany przez Moskali niemal w przeddzień ich odwrotu ze Stanisławowa, tam powieszony został...

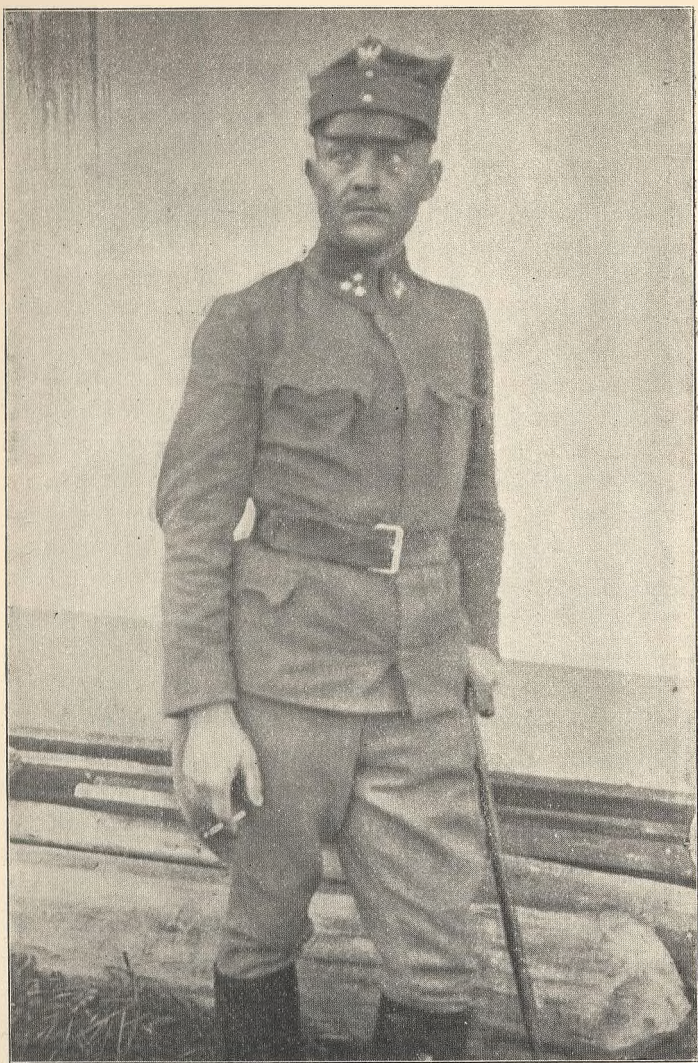
A sanitaryusz nas!

Choćby wymienić sierżanta Oleja Henryka, pełniącego służbę swą od początku po dzień dzisiejszy z wytrwałością, poświęceniem i odwagą, tak jak to było pod Maksymcem, gdzie w trzaskające mrozy przez 7 dni i nocy znajdował się bez przerwy na placu ratunkowym, już to pomagając lekarzowi, już to wychodząc na patrole przed front nieprzyjacielski... poczem zamiast na spoczynek iść, przyłącza się znów do patroli wysłanej dla szukania rannych... Po odwrócie z pod Czerniawki przeprawia się za Prut po rannych. Nie znalazłszy ich grzebie trupy, a wreszcie zbiera i przynosi z sobą 10 karabinów — przez cały czas swej pracy ostrzeliwany przez Rosyan. Medal bronzowy.

Oto przykładów garstka, kilkanaście zaledwie; przykładów, które możnaby mnożyć w nieskończoność — z całej kampanii pułku naszego naliczyć ich setki...

Starczyłoby przejść tylko te wszystkie mogiły, które szlakiem długim od Węgier przez Galicyę i Bukowinę aż po Besarabię zostawiliśmy za sobą i nad każdą z tych mogił krótkie epitafium nakreślić żołnierskie... Starczyłoby krzyżyków tych białych wyblakłe napisy odczytać — i uzupełnić tym krótkim momentem zgonu — mówiącego wyraźniej i wymowniej nad opisy, nad słów wszelką mnogość....

Tych zaś nazwisk kilkanaście — to cząstka tylko... Pomnóżcież je przez tysiące czynów podobnych i przez setki śmierci chlubnych — a wtedy może oczom Waszym ukaże się zjawia-cud, cud tem większy, bo rzeczywistość istotna — chwała i bohaterstwo cichego żołnierza Legionu.



Kapitan Udałowski.

KOMENDANCI I OFICEROWIE.

Wszyscy prawie w pułku i z pułku wyrosli. Wielu wyższych dziś oficerów służbę swą legionową na małych stanowiskach, komendantów plutonów, chorążych i podporuczników, zaczynało. Kompanie czy plutony, po roku, prowadzą dziś — do niedawna w tychżesamych kompaniach i plutonach podoficerowie... Wszak pułku komendantem, podpułkownikiem,¹⁾ niedawny jeszcze, w pułku tym porucznik jest...

Jak napoleoński ów żołnierz łaskę marszałkowską, tak i legionista nasz w tornistrze odznaki oficerskie mógłby nosić... bo Legion to w najpiękniejszym znaczeniu słowa armia ludowa... Tu w służbie karność, za służbą koleżeństwo i przyjaźń serdeczna...

Trzech jest w pułku braci: kapralem jeden, sierżantem drugi, kapitanem, batalionu komendantem trzeci... To przykład charakterystyczny, a podobnych wiele, które sprawiają, że dziwnie braterskie i koleżeńskie panują stosunki...

Oficera, na wysokie stanowisko jego — bo w wojnie naprawdę ono wysokie — męstwo osobiste, zdolności i wiedza wynosi. Gdzie te trzy zalety razem się zjedną — nie stoi nic na przeszkodzie, by żołnierz w oficerskie wszedł grono. Towarzyszem będzie pożądanym...

Dola nasza, dola karpackiej Brygady, nie lekka zaiście była. Przeszła Brygada czasy walk i czasy trudów wielkich... W niedostatku żył nietylko żołnierz, ale i ofi-

¹⁾ Dziś już pułkownikiem.

cer... Lecz czasy te zasługę jedną miały — z wiązały wszystkich w jedno bractwo rycerskie, w jeden zakon wielki, gdy okazało się, że nie tylko męstwo, ale i organizacja wewnętrzna na wojnie duże posiada znaczenie.

Zrozumiał to i pojął nasz korpus oficerski — i solidarnością stał się silny a niezłomny... Złączyła go dola wspólna i to wysokie pojęcie o dostojenstwie żołnierza legionowego, które każe, by Legion zawsze i wszędzie był pierwszy, a jeśli już ostatni, to chyba... w odwrocie.

To pojęcie w troskę się zmienia, w troskę wieczną, w dzień nie opuszczającą ni w nocy — spajającą Brygadę w całość spiżową jakąś i nierozzerwalną... W trosce tej żołnierz jednoczy się z oficerem — wspólna im ona obu jednakowo, tylko u oficera przez odpowiedzialność jego większa a obowiązkowa.

Mężny osobiście, odważny w boju, na kwaterze kolega i przyjaciel — czuwający zawsze nad wielkością i dostojenstwem Legionu; takim jest najczęściej nasz oficer, tacy są komendanci oddziałów i oddziałków, ci wszyscy którzy już rok blisko w polu przeżyli razem — skupieni około swego komendanta pułku, który im wzorem jest i kolegą starszym.

Po nim komendanci batalionów idą, a więc: kapitanowie: Józef Szczepan z drugiego, Józef Zajac z trzeciego batalionu, oraz kapitan Tarkowski Zygmunt.

Jak pułku komendant, tak i z kapitanów naszych każdy w polu już niejednokrotny egzamin złożył, każdy batalion oddawna prowadzi — i wszyscy już nie tylko żołnierzowi, ale i szerszemu ogółowi znani. Wszyscy w tym pułku od początku służą.

Kapitan Tarkowski Zygmunt służbę swoją w Choczni, w batalionie uzupełniającym zaczął — a kiedy ba-

talion na Węgry poszedł, jako porucznik kompanię prowadząc, bez przerwy w grupie zostawał pułkownika Hallera... i bił się. Po Mołotkowie, Porohów i Osmołody kompanią swoją jedną przez miesiące trzy całe bronił i trzymał je zażarcie. Batalion rosyjski miał przeciw sobie i pół baterii, ale trwał i tylko wykruśzali mu się ludzie tak, że wkońcu w siedmdziesiąt żołnierzy przesmyku bronił... głód i niedostatek cierpiąc na równi z legionistami... Bywało, że żołnierze chleb tylko jedli, a dla porucznika kawałek mięsa skądś się znalazł... Ale wtedy on go nie jadł, bo „jakkżę ja będę mięso zajadał, a żołnierze chleb tylko suchy“?

Z Osmołody, w sześćdziesiąt żołnierzy pod Bertjanką się znalazł a za nim przybyła sotnia kozacza, dwie kompanie piechoty i dwa karabiny maszynowe. Żołnierzy w okopach umieścił na górze, a sam w dolinkę schodzi, dwóch kozaków spotyka, patrol jakąś z tej sotni co już w dolinie była... Poddaj się! — wołają. — On z karabinu w nich pali i dwu trupem kładzie, a do kompanii wróciwszy umiejętnem ogniem salwami — trzydziestu pięciu zabija, podczas gdy reszta cofa się pospiesznie. Dostaje wnet potem meldunek, że go piechota rosyjska okraża, poczem zaraz karabin maszynowy zaczyna bić w jego okopy, w same otwory strzelnicowe... Chyłkiem okop opróżnia ustawia się dalej i razi Moskali ogniem, podczas gdy oni biją wciąż jeszcze w okopy... Stracił dwudziestu rannych, zostało mu czterdziestu i z tymi broni wsi długo — a wreszcie opróżniwszy ją pod przewagą — zanieślugo z posiłkami wraca i wieś ponownie obsadza... Ze zmęczenia, z trudu rozechorowuje się. Zapalenie płuc, którego nabawił się pod Bertjanką — przykuło go

do łoża na długo... Dziś, wyzdrowiawszy, po kapitanie Zajacu batalion wziął — i prowadzi go. Idealista to jak o nim mówią, niepoprawny, człowiek dobroci gołębiej — a żołnierz dzielny i dowódca nie tylko skwapliwie słuchany, ale i kochany.

Jakby przez kontrast zgola jakiś wymyślny, sąsiadem jego w okopach, batalionu drugiego komendant, kapitan Szczepan Józef... On ci już „idealistą niepoprawnym“ nie jest ani nie był chyba nigdy. Trzydziestkę życia przeszedł — i w szkole z pewnością był twardej — gdzie nauczył się, że choć wymowa dużo warta, to jednak milczenie jest złotem. Milczy — za mruka mógłby uchodzić... w Legionie oczywiście, gdzie życie młode i bujne kipi się, pieni i jakby przez brzegi wylewa... On pod tym względem jest inny, i to jest jego rys charakterystyczny. Wysoki, smagły — o brwiach krzaczastych na uosobienie wygląda energii; ale bo też i batalion swój żelazną ręką trzyma. Wiedzą o tem w pułku, i dlatego — bywa — zbroi coś oficer zafrontowy, na naukę, na pokutę raczej, do kap. Szczepana w okopy idzie... Nie żeby kapitan zły był — ale że gdzie trzeba w ryzy weźmie. Wie, że jest jakby postrachem nieco, ale ani zbyt surowo, ani zbyt tragicznie roli swej nie bierze, a już „aresztantowi“ takiemu życia całkiem zatruć się nie stara...

Pozatem — oczywiście! — rzecz swoją zna; praktycznie z wojny; teoretycznie z lat dawnych z służby w armii jako ochotnik jednoroczny, potem oficer rezerwowy oraz z pracy sokolej, której się jeszcze we Lwowie poświęcał oddając sprawie cały czas swój wolny, którego — jako urzędnik Banku Rolniczego — nie miał znów tak wiele...

W walkach pułku brał udział, w wszystkich jako adjutant pułkowy a następnie komendant kompanii żywot swój legionowy poczynając. Od Kołomyi batalion prowadził, a po czerwcowej ofenzywie kapitanem został.

Podobnież kapitan Zając, od dwóch miesięcy komendantem mianowany batalionu. Młodziutki, dwudziestu czterech lat niema — usposobieniem raczej do kapitana Tarkowskiego podobny. Pogodny, uśmiechnięty filozof w mundurze. Przed wojną filozofię rzeczywiście na wszechnicy studyował krakowskiej, asystentem był — gdy wojna wybuchła książki porzucił, dociekań poniechał, strzelecki mundur ubrał i kompanię dwunastą poprowadził z Wadowic... W Karpatach cudów waleczności dokazywał — w górskich wyprawach jedyny i dlatego używany do nich częściej niż inni. Dla żołnierzy dobry — słuchają go oni i garną się do swego kapitana, którym już w Kołomyi został, obejmując jednak zastępczo komendę batalionu trzeciego dużo wcześniej, prowizorycznie na razie, aż do definitywnej niedawno nominacyi, która niczego nie zmieniła ani w stosunku do kolegów-oficerów, ani do żołnierzy. Rys to charakteru powtarzający się u naszych oficerów często, że „honores“ zgoła wyjątkowo tylko „mutant mores“... Nie zmieniły ich też u kapitana Zająca, który jak był tak i został „chłopcem dobrym“ i oficerem dzielnym...

A po nich, po tych komendantach batalionów, komendanci kompanii i plutonów. W liczbie ich najstarszy rangą a nie wiekiem, kapitan Adam Kossakowski. Z lat nie tylko między kapitanami, ale i wśród oficerów wogóle jeden z najmłodszych.

Młody — dwadzieścia dwa pewno lat sobie liczy — smukły blondynek, z rumieńcem wykwitającym na chłopięcych policzkach, z wąsikiem ledwo widocznym, a już kapitan, już oficer opromieniony sławą, jeden z najmilszych i najsympatyczniejszych w Legionie... otoczony ogromnym urokiem bitew i brawurowej odwagi, młodzieniec, który ledwo w życie wszedł, a tak niem gardzi, jakby ono wartości nie miało.

Wszedł do Legionu, nie bez militarnego wykształcenia, służbę w Związku strzeleckim już za sobą miał — i jako podporucznik w batalionie majora Fabrycego nieraz komendę batalionu zastępczo obejmował — brawurą, wiedzą dużą wydobywając ludzi i siebie — choć o siebie mu tam najmniej szło — z najgorszych opresyi... Do pola formalnie się pcha. Gdy jego oddział w okopach zostaje, wyprasza sobie bodaj na ochotnika pójście z innymi — i zawsze, choćby płaszczył kuli podarty z wyprawy przyniesie... Bo jego nie chwytają się kule, w co wierzy nie tylko on sam ale i żołnierze, podziwem i miłością otaczający kapitana, jakby symbol legionowej młodości niespożytej i męstwa ponad miarę wszelką.

Wśród kapitanów jeden jeszcze: Udałowski Karol. „Selfmademan“ w każdym calu. Co w życiu zrobił, do czego doszedł, wszystko sobie tylko, własnej pracy, wytrwałości i energii zawdzięcza. Twardą miał młodość i zgoła go nie pieszcząca. W Królestwie był rewolucjonistą. Wojował nie na żarty z posiepakami carskimi, a przytem uczył się, czytał, pracował wiele... Wiedzę wziął sobie sam i wziął mądrze a silnie — tak że kiedy do Galicji z Królestwa się schronił, przy zdolnościach

wrodzonych, wiedzę swoją na kapitał życiowy mógł zamienić. Dziennikarzem został, w skład redakcyi „Gazety Wieczornej“ wstępując. Myśli o walce z caratem nie po-
niechał, a w Związku strzeleckim pracował, gdy zaś wojna wybuchła, jak wszyscy niemal koledzy jego redakcyjni, jak nieodżałowany ś. p. por. Władysław Milko w szeregach legionowych się znaleźli... jako komendant kompanii... Wojna pochłoneła go całego, nią i w niej żyje — o dziennikarstwie zapomniął, unikał zgoła, dziennikarz, co czasu wojny ani jednego nie napisał artykułu...

Nie „para“ się poprostu piórem — i za ujmę by to sobie uważał i za zbytek, bowiem „ważniejsze są do zrobienia rzeczy nawet w okopie niż jakieś tam pisanie“. Takim jest dziennikarz-kapitan Udałowski, z batalionu drugiego w pułku trzecim — zawsze skupiony w sobie, zawsze zamknięty i milczący przeważnie...

Wśród tych oficerów naszych starszych, jeden jeszcze oficer zapisujący się trwale w dziejach pułku, prawa ręka komendanta, adjutant pułkowy porucznik Fijałkowski Bolesław. Jak wszyscy oni, z górą od roku na wojnie... Bratanek byłego komendanta Legionu wschodniego pułkownika Fijałkowskiego, jako aspirant oficerski z armii do Legionu przyszedł — i tu jako adjutant batalionu pierwszego przy kapitanie Waissie służbę zaczął... Zmienił się komendant batalionu, nowy przyszedł — kapitan Minkiewicz — adjutant pozostał, a kiedy major Minkiewicz pułk brał, podporucznik Fijałkowski z nim się przeniósł. Adjutant zeń jak rzadko — wszystkie sprawy pułku zna, nie dla frazesu, ale istotnie w pułku niezbędny. Przytem oficer dzielny. Adjutantura u nas to nie synekury rodzaj — ale obo-

wiązki, tak w polu, czy na pozycyi, czy w marszu, jak i na kwaterze, większe niż każdego innego. Kancelaryja — ta polowa rozrzewniająca w prymitywności swej kancelaryja — to tylko czynności cząstka... Pozatem na nogach cały dzień trzeba być, konno gdzie się da i jak się da — a zresztą pieszo z końca w koniec odcinka. No, i w ogniu jak się uda. To dla niego nic. Pogodnie, spokojnie — a z przejęciem się i zrozumieniem sprawy głębokiem, z wiedzą dużą, bez spoczynku, aż do ostatka pełni ten obowiązek — czuwając gdy śpią jeszcze inni, zrywając się pierwszy na nogi. Fijałkowski pod Rafajłową w ataku nocnym nie tylko adjutantem był, ale i paczki z amunicją sam nosił, a potem gdy kasie pułkowej groziło zagarnięcie, uratował ją. Po czerwcowej ofensywie porucznikiem został. Na kwaterze kolega doskonały, humor pogodny i wesołość szczerą — czynią go towarzyszem pożądanym i miłym...

Wśród oficerów młodszych, w gronie poruczników naszych i podporuczników, indywidualności silnych, komendantów wybitnych — umięających sobie dać radę w każdej sytuacji, mnóstwo.

Oryginalnością typu zwraca na się uwagę porucznik Łysek Jan. Ludu śląskiego dziecko, w twardych warunkach przez życie szedł, a gdy nauczycielem został, pracy nad ludem się poświęcił... Gdy apel legionowy przyszedł i Śląsk drgnął po raz pierwszy od wieków Polsce dając swych żołnierzy, porucznik nasz, jako podporucznik wówczas z kompanią śląską przyszedł i w grupie pułk. Hallera się znalazł... Jakoż bić się nie miał, gdy się bili inni? Tyle tylko, że bił się czasem i lepiej i dzielniej — choć to w Legionie, lepiej niż inni

robią, robić trudno, bo wszyscy starają się robić dobrze — a ponadto z jakąś ślaską zaciętą determinacją jakby guza szukał. A że dobrze szukał — więc i znalazł. Pod Maksymcem w biodro ranny do szpitala jechać musiał, lecz nie wytrzymał długo, bo już do Nadwórnej, do swojej kompanii, którą po podporuczniku Hajduku objął, powraca... Porucznikiem mianowany w zastępstwie chorego kapitana Zaleskiego, od Prutu poza czerwcową ofensywę batalion pierwszy prowadzi — energicznie, a tak po polsku, po piastowsku jakoś, że nie sposób nie polubieć go za ten ślaski ton mowy, za te gospodarskie o dobro ludzi — których przyprowadził, za których zawsze odpowiedzialnym się czuje — zabiegi.

Porucznik Sokołowski Witold — to typ już zgoła inny. Wysoki, szczupły blondyn — żołnierz jak wszyscy oni ci frontowi nasi oficerowie, odważny z osobistej brawury przyczynkiem niemałym... W jednej z pierwszych bitew w jakiej się znalazł — na ośmdziesiąt kroków od nieprzyjaciela, przed frontem własnym biegł w karabinowym ogniu z pałaszem obnażonym do ataku nawołując na bagnety... I tak jak stał z tą szablą błyszczącą do ataku swoich poprowadził...

Zdaje się szczupłym być i słabego zdrowia, ale to pozór tylko... Pod Maksymcem, gdy większość oficerów z powodu ran lub chorób wycofać się musiała, on z kap. Minkiewiczem, porucznikiem Wimmerem i podporucznikiem Starkiem jedyni przetrwali wszystkich i do końca zostali... Czas jakiś był adjutantem w batalionie trzecim, niedługo jednak, bo do kompanii wrócić wołał. Jakoż i wrócił, w Kołomyi kompanię ósmą w batalionie drugim objął... Tam czuje się najlepiej,

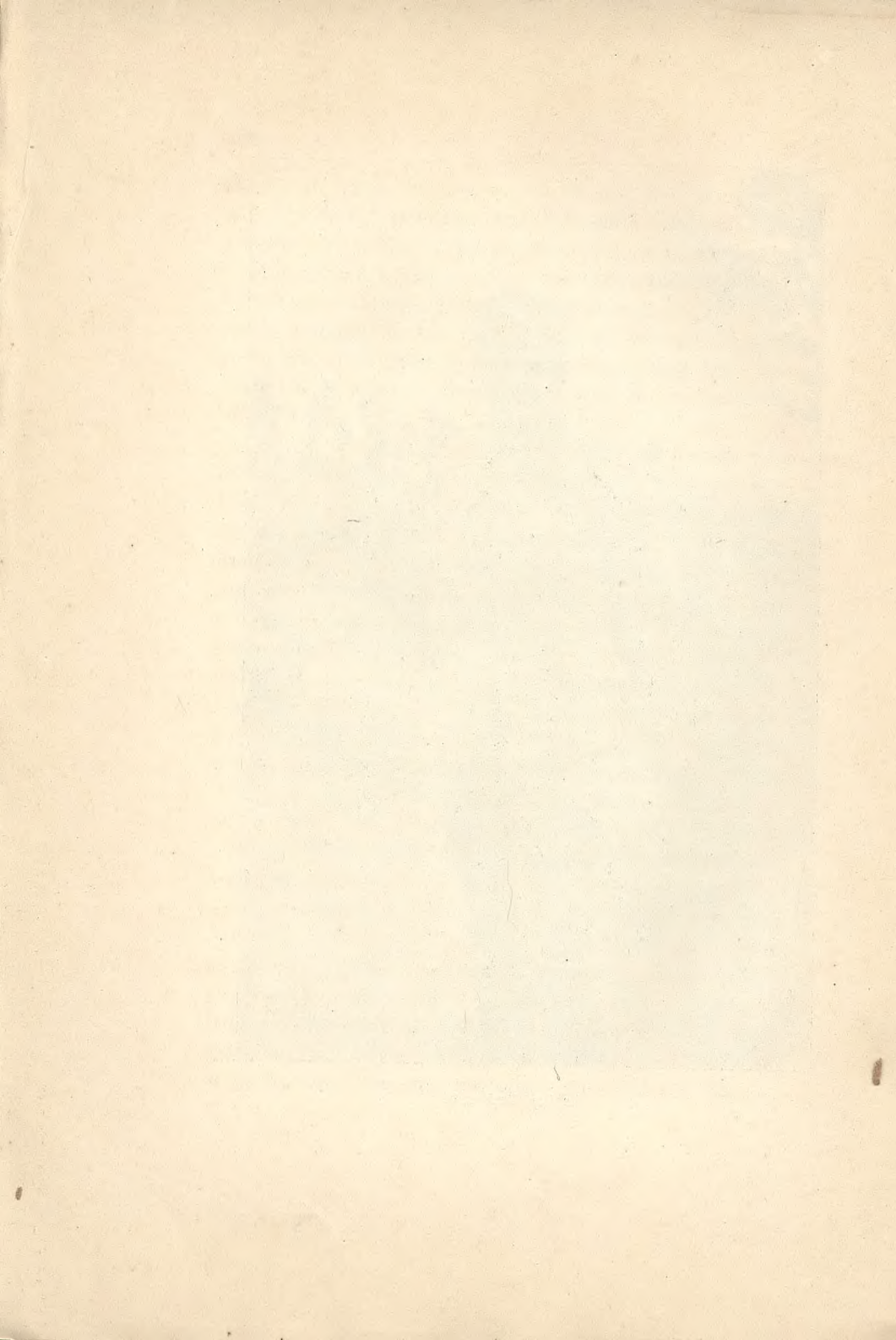
chyba, że wypadnie mu — jak od Rokitnej po Rarańcze — w zastępstwie kapitana Szczepana batalion poprowadzić... Odważny, krew zachowujący w ogniu zimną, wywiązuje się i wówczas bez zarzutu z zadania — nie narażając żołnierzy zbytnio, w każdym razie mniej niż siebie samego. Takie rzeczy żołnierz odczuje zawsze, toteż por. Sokołowski cieszy się sympatyą jego nie-małą jako jeden z najpopularniejszych w batalionie oficerów...

Popularnym również, nie, chyba więcej jeszcze jest podporucznik Godziejewski Eugeniusz. Serce złote, Litwin, a oficer mężny jak mało. Od chorążego służbę zaczął, a komendantem plutonu był w kompanii — dziś kapitana — Tarkowskiego, z którym też razem pod Jasieniem bił się i Osmołodą. Pod Porohami za niego komendę kompanii wziął i odtąd ją już — podporucznikiem zostawszy, prowadzi. Co robi, czego nie dokazuje, opisać trudno... Bardziej kul od niego nie lekceważy sobie nikt, chyba kapitan Kossakowski lub podporucznik Tarkowski... W trójkę razem w legendowe chyba wejdą opowiadania. Krew w ogniu zachowuje zimną, jak IMC Pan Longin nie irytuje się nigdy... Spokojnie, powoli, co mu na sercu leży wyłuszczy a już w bój to wprost z anielską jakąś ciągnie dobrocią, i łupi Moskali aż miło...

Z ostatnich wypraw, udział w wycieczce majora Norwida za Prut w maju dał mu sposobność do nowego popisu. W całej ofensywie czerwcowej niestrudzony; pod Rarańczem 17 czerwca kompanią swą przełamaniu frontu przez Moskali zapobiegł, tracąc przytem 30-tu rannych, sam bez szwanku wychodząc, choć uwijał się w ogniu rzetelnie jak zwykle... O żołnierza dba —



Kapitan Tarkowski.



i słabość ma częstego awansowania zasługujących. Żart oficerski głosi, że „Godziejewski, który chciał mieć do niedawna w kompanii samych sierżantów, teraz zdecydował się na... podchorążych“. A że w każdym żarcie choć połowa prawdy, to widać z tego, jak gorliwym jest podwładnych swoich orędownikiem, czego nikt mu chyba za złe nie weźmie...

Albo oficer taki jak podporucznik Szul Bogusław! Za niedawnych, przedwojennych czasów skautem był, i dużo w nim jeszcze z tego skauta zostało... Skromny, wstydlivy jak panienka — a zarazem odważny... Abstynencye wszelkie w praktyce uprawia — a za to w pieśni neguje im czasem potrosze... Bo Szul to piosenkarz nasz pułkowy... Czas długi piosenki swoje układał w ukryciu i jakby je przemycał. Nie znał nikt ich autora. Aż na wili u pułkownika Hallera piosenkami, kupletami zabłysnął — śmiech i wesołość budząc już nie skautowych, a towarzyskich cnót swoich obfitością... Sławna piosnka o armacie, jego jest układu — a pozatem wiele innych.

Nie w wszystkich nich forma i kunszt artystyczny — ale zato wiele ukochania, wiele dowcipu, czasem żart niezłośliwy i łezka przemijająca znajdzie się dla okrasy...

Gdy sam piosnką się bawi, nie jest bez tego, by i o nim muza zapomniała legionowa, zjadliwie-serdeczne o nim piosneczki tworząc.

Wszedł zaś Szul do pułku już jako chorąży, za Legionu wschodniego. Po mołotkowskiej przeprawie podporucznikiem zostaje i odtąd stale w grupie pułkownika Hallera służbę pełni... Osobiście odważny i bardzo — w noc pamiętną 24 stycznia pod Rafałową je-

den z tych co się najbardziej odznaczyli... Potem nad kordonem był i nad Prutem, i w czerwcowej ofensywie całej, nigdzie nie roniąc ani odrobiny z tych zasług jakie położył i z tego uznania jakie sobie zdobył w owem pod Mołotkowem bojowaniu. Patrzeć tylko, jak rychło z swoją lat niespełna dwudziestką porucznikiem — i po słuszności — zostanie.

Gdy o oficerach naszych mowa, niepodobna podporucznika Sieranta Modesta pominąć milczeniem. To jeden z tych, którzy żelazny kapitał pułku tworzą... Kompanii góralskiej w batalionie komendant — a z góralami swoimi pod komendą — wonezas — porucznika Minkiewicza przyszedł. Tyle tylko, że oficerem jeszcze nie był, a tylko sierżantem sprężystym... Jakim zaś w boju jest okazało się pod Pasieczną. Tam prowadził on jeden z tych dwóch plutonów, z którymi porucznik Minkiewicz tysiącowi kozaków wzmocnionemu artylerją się opierał... A w trudnych warunkach prowadził Sierant pluton ten niemal samodzielnie. Pod Mołotkowem, który był jakby dniem krwawego a strasznego egzaminu dla wielu z oficerów odznaczył się tak, że w jedenaście dni później chorążym zostaje... Czerwiec przynosi mu awans na podporucznika... Przedtem adjutantem batalionowym, a nawet pułkowym bywał wracając jednak zawsze i chętnie do kompanii, gdzie czuje się najlepiej, a którą prowadził już jako chorąży. Krew zimna, oryentacya szybka — i dużo prostego a zato niezawodzącego nigdy rozumu czynią zeń oficera jednego z najlepszych w pułku.

Wspomniany już raz powyżej podporucznik Tarkowski Stefan — podobnie jak podpor. Sierant, od podoficera służbę legionową poczynął. Plutonowym

w czysto bocheńskim był plutonie... i tam sobie powoli awansował... na sierżanta, chorążego, teraz w czerwcu na podporucznika. Co awans, to przed nim bitew kilkanaście — i brawury, ile chcecie. Bo Tarkowski to jeden z tych oficerów jakby obdarzonych wiarą, że się ich kula nie chwyci. Niebieskimi oczami śmieje się życiu, a głosem energicznej komendy urąga śmierci... Okopy, zdaniem jego, w walce pozycyjnej gdy cicho, służyć mogą do tego, by w nich siedzieć... Ale gdy bój zagra, żadna siła nie utrzyma w nich Tarkowskiego, jeśli idzie o zagranie żołnierza, jeśli sądzi, że z wierzchu łatwiej wroga dojrzy, a ogniem pokieruje... W tyralierze, też o „dekowaniu“ się nie pomyśli — a całego frontu swego dogląda i pilnuje... Że przytem wszystkim szczęście ma, że za młody jeszcze dla śmierci — to widać choćby po jego płaszczu, z którego po jednej przeprawie kule jakieś sito sobie wyczyniają. Ile mu już one garderoby poniszczyły! Ale to nie, niech tylko nowa przyjdzie bitwa jaka, Tarkowski taki sam, a zawziętszy jeszcze, gdzie się uda, gdzie tylko można z karabina sobie postrzela... mszcząc się za te kule bzykające koło niego i rażąc chyba Moskali dotkliwie, bo strzelec z niego zawołany.

Między młodszymi oficerami za jednego z najtęższych uchodzi.

Przy nich jeden jeszcze: porucznik Wimmer Józef, jeden z najstarszych w pułku rangą poruczników, choć komendantem oddziału technicznego t. j. saperów naszych jest, przecież również do oficerów liniowych się liczy, tak jak oddział jego, na równi z resztą bojowy trud i ryzyko ponosi... Ryzyko nie najmniejsze, bo nie-

tylko że w ogniu nieraz pracować musi, ale także i z karabinem w bój idzie...

Opowieść o powstaniu oddziału, a zarazem i o wojennych kolejach porucznika niedługa. Skoro mobilizację Związku strzeleckiego z wybuchem wojny ogłoszono, do Krakowa ze Lwowa, gdzie jako technik w pracach strzeleckich udział brał, pospieszył. I kompanii komendantem, podporucznikiem został, by z pułkiem trzecim na Węgry wyruszyć. O pionierach jednak dla nas w czasie podróży na Węgry pomyślano... Tych zorganizował otrzymawszy polecenie, wziął się do pracy razno — i co mu kazano uskutecznić...

Odtąd praca pionierska mu się zaczęła budową drogi z Turbaczil do Rieczki przez przełęcz Pantyru z 14-ma mostami. Galicyjski teren, Rafajłowa, do prac nowych daje pole. Do Zielonej dwa mosty buduje, z których jeden palą Moskałe. W Zielonej nietylko most o rozpiętości około 60 metrów wybudował, ale potem z swymi pionierami na Pniów z por. Minkiewiczem idzie i biorą go bagnetami. Pod Mielnikami to samo, pionierzy z podporucznikiem swym przy poruczniku Minkiewiczu w linii bojowej idą... Łatwość, z którą robotnik w żołnierza i naodwrot się zmienia zdumiewająca... Trzask granatów akompaniuje naprawie żelaznego mostu pod Pasieczną, a cały trud dotychczasowy przynosi mu awans na porucznika... Odtąd zmiennie, to przy pracy to w ogniu są pionierzy nasi a z nimi ich komendant, fortyfikując Rafajłową, w skałe kując osłony i bijąc się gdzie trzeba. O tem jaka to robota była świadczy Rafajłowej cała obrona. W późniejszych walkach jak trzeba było, z łopatą szli lub karabinem. Ku Besarabii w kwietniu po-

szli — a z nad Prutu szli w ofensywie. Na pozycji obecnej pod komendą por. Wimmera okopy nam wybudowali — majstersztyk istny, w osobnym opisanym rozdziale. Lecz to nie wszystko jeszcze, bo nietylko pionierów, ale i oddziału telefonicznego i oddziału reflektorów komendantem jest por. Wimmer — a wszystko co robi, udatnie czyni i doskonale... tak że oddział nasz techniczny dzięki niemu dumą jest i chlubą pułku.

To oficerowie nasi frontowi. Nie wszyscy, niektórzy tylko — i to sylwetki jedynie ich pobieżne, w rzucie migawkowym, tak jak w pewnej chwili widziani profilem zapisali się w pamięci. Kiedyś, gdy pora będzie sposobniejsza, powstaną może szczegółowe, może wyraźniejsze portrety bojowe nietylko ich ale i tej dużej reszty naszych trzeciopułkowych oficerów, z których każdy wyrąbał już sobie prawo jeśli nie sławy to przynajmniej pamięci bohaterskiej...

Ale to kiedyś...Teraz zaś jeszcze kilka słów o szefach służby naszej sanitarnej oraz prowiantury.

Sanitarnej w pułku służby szefem, lekarzem naszym pułkowym jest dr. Edward Loth, wszechniczy lwowskiej docent, antropolog, w kraju, w kołach naukowych znany i za granicami uznany. Warszawianin rodem — po długim z szkołą rosyjską zmaganiu się za granicą nauki kończył, dzięki czemu w Zurychu z pułkownikiem Miłkowskim (T. T. Jeżem) się zetknął — pod jego wpływem i pod wrażeniem nawoływań „Teki“ w roku 1903 — chłopiec 19-letni — zabrał się do organizowania wojskowego oddziału przy „Sokole“ tamtejszym... W 16-cie karabinów ćwiczyło ich

dwudziestu kilku. Dwa lata trwała organizacya ta i zamarała...

We Lwowie już jako docent bierze udział w pracy militarnej „Sokoła“, a gdy wojna wybuchła, jeden z pierwszych idzie do Legionu wschodniego... Przychodzi rozłam i rozbiecie... Dr. Loth, lekarz pułkowy nie rezyduje z innymi, a do pułku trzeciego przechodzi. Wnet lekarzem batalionowym — a w listopadzie pułkowym zostaje... Całą kampanię rafajłowską, wyprawę besarabską, czerwcową ofensywę z pułkiem przebył, na polu organizowania służby sanitarnej, jakoteż i utrzymania w pułku dobrego stanu zdrowotności niemałe pokładając zasługi... W chwilach wolnych... wynalazca — praktycznie udoskonalił nasze nosze polowe kombinując je z taczkami, przystosowując nietylko do przenoszenia ale i do przewożenia rannych.

Za dawnych — w Legionie — „dobrych“ czasów, gdy jeszcze wolno było lekarzom narażać się bez potrzeby, na patrole chętnie chadzał — przyczem raz omal zagarnięty nie został... Dziś gdy to ustało, gdy rozkaz wyszedł stanowczy a zabraniający, służby swojej pułkowej pilnuje — co pułkowi bezwarunkowo na większą wychodzi korzyść...

Że zaś pułk nietylko samem wojowaniem, ale i chlebem żyje, nie sposób w tych zapiskach krótkich nie wspomnieć o jednym z oficerów naszych jeszcze, o żywności tej pułkowym dostarczycielu.

„Tata“ Przepiliński Hieronim — w pamięci przynajmniej naszej na zawsze zostanie. Ze Śląska przyszedł, Śląsk i Ślązaków duszą całą ukochał... On ich tam jeszcze w kraju trzy setki razem z innymi organizował... Lecz że mu zdrowie nie dopisywało, choć w pułku oficer

jeden z wiekiem najstarszych, z prowadzenia ich w polu zrezygnować musiał. Kto inny, obecnie porucznik Łysek nad nimi komendę wziął, „tato“ zaś dla pułku żywności dostawcą, prowiantowym został oficerem. Było z tem zrazu kłopotów sporo, tren niezorganizowany, cała służba prowiantowa niewyszkolona — ale ostatecznie szło jakoś, pomimo iż trudności a przeszkody były wielkie.

Wystarczy wspomnieć, iż z Rafajłowej do najbliższego miasta gdzie coś kupić można było, odległość nie mniej, a może i coś więcej jak 100 klm. wynosiła... Ale i te trudności przewyciężył porucznik Przepiliński — i choć czasem licho bywało — to przecież pułk z głodu nie umarł przynajmniej...

Dziś służba prowiantowa udoskonalona, wszystko składnie i jak z płatka idzie — w czym i jego zasługa niemała... Że w pułku powszechnie lubiany — rozumie się samo przez się, boć przecież inaczey niktby go „tata“ nie wołał...

S A N I T A R Y U S Z K A.

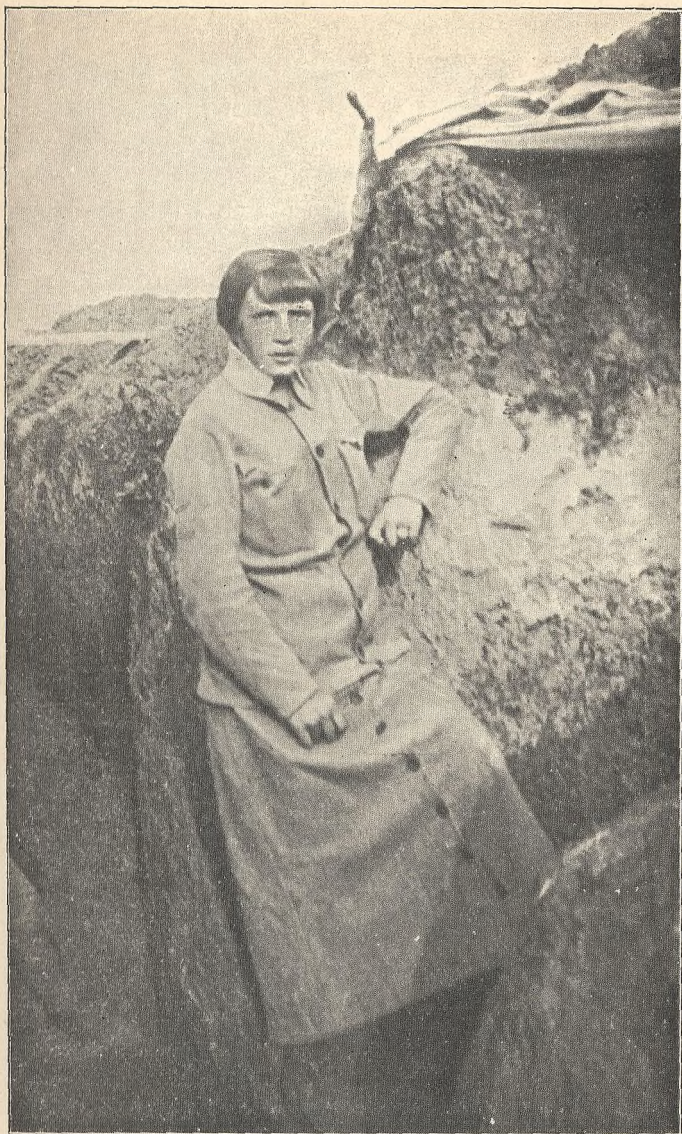
Słyszeliście i czytaliście już wiele zapewne o bohaterskich dziewczętach i mężnych niewiastach wojny dzisiejszej... Widzieliście zapewne w ilustracyach ubrane w mundur wojskowy, ułański czasem, w butach, w „priczach“ z szablą i ostrogami — i z wymykającym się z pod furazerki puklem włosów bohaterki obozowego życia, które temperament, pragnienie przygód, czy miłość ojczyzny pehnęły w odmęt bojów, z których sławę, rozgłos wynieść tak łatwo, a ranę czy śmierć czasem o ileż łatwiej jeszcze...

Ale nie słyszeliście jeszcze o jednej... O małej, skromnej dziewczynie polskiej, która już od roku blisko trud wojenny z nami, z Brygadą karpacką, z pułkiem trzecim dzieli.

O niej chciałbym dziś słów kilka, tak prostych, jak prostą ona sama i — nie dziwcież się, że tak ciepłych, jak gorącem jest jej ukochanie sprawy...

Poznałem ją w wiosenny dzień, gdym do pułku przyszedł. Na pozycyi staliśmy, nad Prutem... Koło szalasu mego przechodziła grupka oficerów w gwarnej rozmowie, z której srebrzysty, dźwięczny wyrywał się chwilami śmiech dziewczęcy... Nie dziwcież się, że zdumiałem się w pierwszej chwili i z szalasu wybiegłem.

Kółko oficerów znajome, przywitania, a potem prezentacya krótka: „Nasza sanitaryuszka Olga G. z kompanii“...



Sanitariuszka II. Brygady.

Łatwa i krótka rozmowa polowa, i rozeszliśmy się... Oni poszli w las, ku okopom, ja wróciłem do szafasu, w pamięci zaś zostało — wrażenie nowe a niezwykle: dziewczynki małej (książka wojskowa nr 3016 daje następujący jej rysopis: wzrost 156 cm; włosy: szatynka; oczy: szaro-siwe, nos proporcjonalny; znaki szczególne: żadne) w szarej bluzie legionisty i takiejże sukience, z opaską czerwonego krzyża na ramieniu w rzemiennym pasku i w „relutońskich“ zgoła, „komiśnych“ buciskach. I wrażenie uścisku rączki małej twardej, nie pieszczonej — oraz dziwnie radosnego rozśmiania się życiu, sobie i niebu jasnemu tej twarzyczki słońcem opalonej i oczu siwych...

W dni kilka ruszyliśmy naprzód i wówczas, po raz drugi spotkałem ją w pochodzie. Z plecakiem szła i jak zawsze wesółą, z żołnierzami gwarzyła i oficerami — choć znużenie i trud dziwnie pomięły i postarzyły twarzyczkę rumianą...

Potem spotkaliśmy się w kilka dni później w Rarańczy na krótkim postoju w marszu na Rokitnę. Zmarzwiona była i szczerze... Z frontu ją usunąć chciano i z Legionu, jako że kobietom pobyt — a jeszcze w stroju kobiecym — na froncie wzbroniony. „Co chłopcy moi tu bezemnie zrobią“ — żaliła się cicho. „Ja już tak przywykłam do frontu i tu potrzebna jestem“. Jakoś to się zrobiło jednak... Lekarz pułkowy jak najlepsze świadectwo dał — i została, a nawet za zachowanie się dzielne w polu pochwała pułkowa przypadła jej w udziale...

Długo nie widziałem jej potem, aż raz gdy na pozycję idę w deszczu obrzydliwym i ślocie, patrzę, stoi

coś małego, okutanego i moknącego statecznie, a z rezygnacją obok studzienki w polu... To sanitaryuszka nasza... Pilnuje studni, by nie zanieczyszczano tej jedynej do picia zdatnej wody... Odtąd długo już jej nie widziałem, ale zato słyszałem niejedno...

O tem naprzykład, jak pod Witelówką z patrolą sanitarną szła. Walą Moskale granatami i szrapnelami aż — trudno powiedzieć: miło — zgoła przykro... Przycupnęła patrol w żytku i leży, a szrapnele czem raz bliżej, czem raz świegotliwiej biją sobie i biją... Niemiło się chłopcom robi — a jeden, szarżą zdaje się wyższy, radzi pod grupkę wierzb niedaleko się schować... Ale sanitaryuszka oponuje, zbiera co ma w sobie wiedzy wojskowej: „Wierzby, cel w sam raz dla nich. Siedźcie tu, kiedy wam dobrze“!

Dobrze to tam wprawdzie całkiem nie było, ale przekonani — zostali. Minuty dwie nie upłynęły, i — bum! bum! szrapnel i granat w same wierzbięta wyrznęły...

— No, nie dobrze radziłam?...

Milczą chłopcy, ale w duchu przyznają chyba, że nieźle. Gdy trochę przycichło w tej stronie, tyralierą, schodkami — z użyciem całego kunsztu wojennego poszła dalej patrol sanitarna — a na czele jej doraźny komendant: sanitaryuszka...

Jak się wogóle w tej ofenzywie sprawiała świadczy fakt, iż ją do odznaczenia podano...

A potem walki pozycyjne przyszły... Do szpitala mogła iść, nie chciała. „Dość się już po szpitalach nasiedziałam“ — mówi. I że dość to prawda. Przecie od samego prawie początku wojny. Prawie, bo przez czas jakiś najazd rosyjski nie dał jej do Legionu się dostać.

Dopiero gdy w Pasiecznej znaleźli się legioniści, mogła połączyć się z nami. I odrazu w szpitalu naszym tamtejszym, mając kurs samarytański skończony, została... Potem z szpitalem do Rafajłowej, stąd zaś do Taraczkōz i do Dombo, skąd gdy „przyjadł się“ jej żywot siostry szpitalnej, po kołomyjskiej Brygady reorganizacyi w marcu, z pułkiem trzecim, z kompanią, w pole poszła...

Teraz w okopach sobie siedzi, a chłopcy, którzy jej zrazu dokuczali trochę — cenić ją nauczyli się i dbają o nią z żołnierskich natur tkliwością szorstkawą...

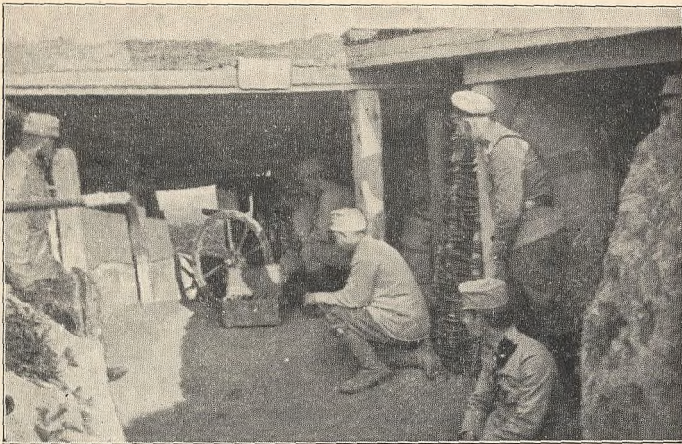
A ona, gdzie trzeba tam idzie... Gdzie szrapnel i ranni, nietylko w kompanii, ale i w batalionie, już biegnie... Gdy ś. p. dr. Talapka śmiertelnie ranny został w temsamem prawie miejscu była i cudem tylko uniknęła śmierci — ratując go następnie jak mogła, choć widziała, że już życie zeń leci, a jej śmierć grozi co chwila, w miejscu niebezpiecznem, a ostrzeliwanem.

Kiedyś zaś, niedawno, siedzi w okopie przed budą swoją i — obrazek charakterystyczny — jakąś robotkę gobelinową dłubie... Opodał przy „willi Chorążance“ pluton robotą ziemną zajęty. Grzebią chłopcy i gwarzą, a śmieją się od czasu do czasu. Naraz szrapnel, a z willi wołanie: „Sanitariusz! sanitariusz“! Biegnie, opatruje rannego — a potem po koc chce wyjść przed budą zostawiony... Ale przez rannego zatrzymana zostaje chwilę, sekund parę... Wystarczył ten czas, by nowy szrapnel nadleciał i koc podziurał na sito... Gdyby nie ranny, byłaby sama dostała cały ten ładunek... Swoją drogą rozeszła się po batalionie wieść, że „sanitariuszka nasza zabita“...

„Szopa“ była — powiada o tem sama i śmieje się serdecznie...

Wogóle „szopą“ jest jej każde niebezpieczeństwo, w jakim się znalazła sama... „Grunť zaś to tylko, że „lubią mnie chłopcy i ja ich lubię“. „Czasem w karty z nimi zagram gdy mam pieniądze... a jeśli w manierce się znajdzie, to ich potraktuję... Cieszą się chłopcy“!

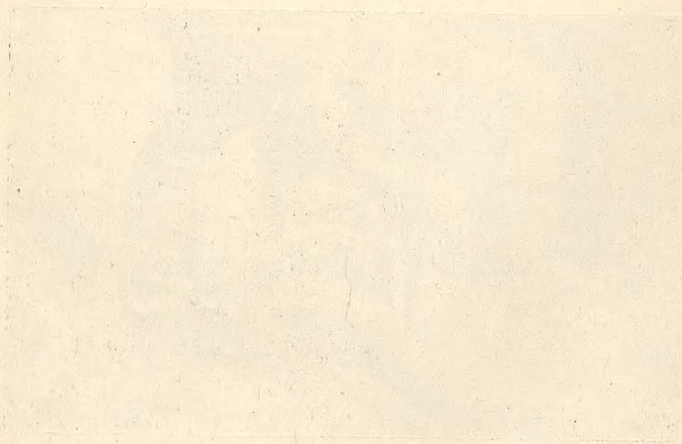
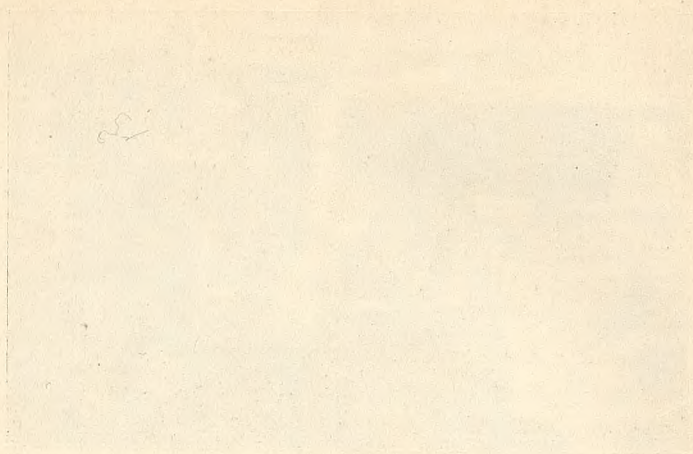
Taka jest oto sanitaryuszka nasza, panna Olga. Oldzia — rozjaśniająca okop uśmiechem i pomoc niosąca w cierpieniu — dziewczę polskie z zacisza szkoły klasztornej — (gdzie prócz wielu rzeczy mądrych, jak powiada i „palić się nauczyłam“) — rzucone w sam środek wojny, między kule, granaty i szrapnele. Taką jest ta mała, polska, bohaterka nasza...



Stanowisko armatki (z prawej strony major Norwid).



Fabrykacya pierścionków z zegarów rosyjskich pocisków.



KUBY KUCHARSKIEGO WOJENNE PRZYGODY.

Choć niepoczesnej postawy, Kuba Kucharski — mówią — żołnierz dobry. Mały, krępy i zawsze z rozmianami oczyma człapie Kucharski do pozycyi...

Człap, człap... Kucharski idzie... Nie znaczy to by Kuba był całkiem niezdarny, on ma tylko taki chód powolny, trochę niezgrabny, z powodu nóg nie ze wszystkim należycie ustawionych...

W Legionie, gdzie drastyczność wyrażen nie zawsze odpowiada pojęciu do danego słowa przywiązane-mu, przyczepiono nogom Kucharskiego „epiteton“ zgoła nie „ornans“: pałakowate, co jako żywo kłamstwem jest i potwarzą. Proste tam one całkiem nie są, aleć daleko im jeszcze do pałakowatych. Zresztą do marszu są dobre — a że Kuba spryciarz jest nielada i tak lepiej mu z niemi w legionowem bytowaniu niż wielu, wielu innym, co z prostszemi nogami, a za to z gorszą na karku głową śpią dziś „w ciemnym grobie“ — albo gdzieś w sybirskie maszerują dale... podczas gdy on dwa razy z rąk się moskiewskich wydarłszy na pozycyi „se“ siedzi i coraz to nowe na Moskała wymyśla sposoby...

Kuba Kucharski jest z zawodu mechanikiem, a właściwie, by jego uczuć zawodowych nie obrazić, nawet

elektromechanikiem — co go tem większą dumą napawa, że aby do tego zawodu dojść, musiał nie pierwszą zapewne, ale bądź co bądź „epokową“ w swem życiu chytrą popełnić... By uczniem u elektrotechnika zostać, potrzeba u nas tyle a tyle klas gimnazjalnych ukończyć. Tymczasem Kubie uczyć się nie chciało i na czterech „normalnych“ edukacyi swojej dokończywszy lata, powalał się nieco, u siostry w Kulikowie posiedział, no i „z papierem“, że gimnazjalnych klas dwoje ukończył poszedł do elektrotechnika, dokąd ciągnęły go chęci i zapal majsterski. Ale Kuba jest lojalny i zgodnie z stanem faktycznym sam ochotnie stwierdza, że „ten papier się nie liczy“. Ano rację ma...

Posiedział tedy Kuba u swego mistrza we Lwowie lat dwa i pół, a gdy wojna wybuchła splunął na fach i zaciągnawszy się w Legiony znalazł się w pułku trzecim, w kompanii dziesiątej — dzieląc już odtąd jej dole i niedole, zmieniając się w rzetelnego żołnierza, sprytem i przemyśłem ułatwiającego sobie jak można żywot wojskowy.

Pierwszego czynu większego, o którym mówi się w kompanii, a który wyrobił Kubie „sławę“ i znaczenie dokonał nasz Kuba pod Nazawizowem.

A było to tak: Niedaleko byli Moskałe, poszedł więc ku nim pluton na patrol, w plutonie zaś był Kuba. Patrol rozdzielił się na części — i jedna z tych cząstek (razem z Kubą) natknęła się na jakiś oddział, z którego dolatywały głosy polskiej rozmowy i komendy.

Tak opowiada Kuba, być może jednak, że się prześłyszał — bo jak się okazało, był to oddział moskiew-

ski, który naszych zuchów ogarnął. Zabrali Kubę do niewoli...

Niema co mówić, źle było — opowiada Kuba. Nie, żeby obchodzili się z nimi najgorzej, wcale nie, zaprowadzili ich do kuchni, tam posadzili przy jakimś ognisku, by się ogrzali... Traktowali ich nieźle, tylko koźacy dokuczali, mówili im „Sokoliki“ i za nosy szarpali. Zawszeć jednak było to w niewoli. Nie mieli czasu zaraz ich odesłać gdzieś dalej, więc zaprowadzili na noc do stajni, by się przespali, a nazajutrz miano ich odkonwojować... Tymczasem warta jakaś niedbała porozłaziła się. Myśli przeto Kuba: „trzeba wyrywać“, dzieli się tą myślą z towarzyszami i ogólne spotyka uznanie. Wyłazi więc ze stajni, gasi ognisko, a skoro nikt się nie odzywa, daje znać reszcie i w piątkę ruszają ku swoim...

— Drogą szliście? — ryzykuję pytanie...

— Gdzie tam — odpowiada Kuba z abominacją. — Ja jak wyrywam, to wyrywam tylko górąmi, nigdy drogą... Wyszliśmy o 9-tej wieczór, a rano — dzień biały był — przyszliśmy do Pasiecznej, gdzie już myśleli, że po nas! Tak się ucieszyli. Wtedy to jeszcze trzeba było u żołnierzy konserwy kupować, a nam z uciechy nadawali tyle, ileśmy tylko chcieli... Najadł się więc Kuba, wypoczął i na dalsze poszedł przeprawy...

W Pasiecznej było zrazu nudno, bo po odwróceniu i my okopaliśmy się i Moskale się okopali... Aż tu raz powiada porucznik Mokłowski: „Idźcie chłopcy i zobaczcie co oni robią“! Poszło trzech, i naturalnie Kuba: idą jacyś — nasi, nie nasi... Moskale. Schodzi jeden od drugiego i idą... Nic, pusto. Naraz widzi

Kuba: idą jacyś: nasi, nie nasi, Moskale... Schodzi więc na dół — moczar był, więc utarzał się w błocie i leży, a oni przechodzą. Jedna linia, druga, trzecia... Przeszły cztery linie tyralierskie, a potem jeszcze dwie sotnie kozackie. Wtedy zaczęła się pukanina, niech Pan Bóg broni!

A że się ściemniło — więc i Kuba zaczął strzelać, gdy zaś już całkiem było ciemno, rzucił „mantel“, tornistrę i górą — („wyrywa tylko górą, nigdy drogą“) — powrócił do swoich...

Był potem Kuba pod Nadworną, w Kołomyi, aż wreszcie poszedł z „marśbaonami“ do Besarabii, gdzie jak powiada, dobrze mu się działo... Ale, że wszystkiego dobrego nie długo, więc i ta świetność skończyła się rychło. Przyszedł odwrót, a w nim Kubie wyznaczono rolę łącznika. Stary, wytrawny już doświadczeniem dziesięciomiesięcznem, wyga — idzie Kuba, niby to łącznikiem jest, a myśli sobie jakby to korzyść wyciągnąć. Przed nim szedł legionista Swahon, ordynans chorążego D., z dużym plecakiem swego pana. Nie uniesie go — дума Kuba — a szkoda. Piękny mundur oficerski, czekolady za 30 koron, wino; poco to wszystko ma przepadnąć? Pilnuje więc Kuba swego Swahonia i idą. Aż tu kozacy na górce wrzeszczą: „Hurra“! Swahon rzuca plecak, rzuca swój płaszcz porządny i — „wyrywa“.

— Ty! wrzeszczy za nim Kuba — ja se to wezmę, żebyś mi potem nie odbierał!

— A bierz se, aż się dostaniesz do niewoli...

Został więc Kuba z plecakiem i wybrał, co mu trzeba było: bluzę oficerską, bieliznę, czekoladę — a potem wyszedł na górkę i myśli: tu będę spoczywał.

Rozłożył „celt“ (namiot) i leży, a rozgląda się po okolicy. Aż tu dołem idzie cywil. Myśli, że to kozak przebrany, dopuszcza go więc blisko, nasadza bagniet i mając go już tuż tuż, na 10 kroków przy sobie, krzyczy: stój!

A ten prosi się: „Panie, ja swój“!

Poszli więc razem dalej i doszli aż do Sadogóry. Przychodzą do chłopca: Daj kwaterę! A chłop nie chce, bo powiada — Moskale blisko. Jakoś ich na strychu ulokował, ale rano, ledwo się trochę przespali przychodzi i prosi: „Panoczku wtikajcie, ja się boju, tu kozaki sut“!

Ale Kuba widzi, że uciekać niema co bo śmierć, a w najlepszym razie niewola pewna, więc do chłopca prosto z mostu: „Nie pójdę, a wy nie nikomu nie mówcie. Ja tu zostanę cały dzień... A jak się mnie co stanie, to mnie i wam śmierć“!

Przykrył ich chłop korytem do zabijania świń, jeś dał — a kiedy noc przyszła zabrali się i poszli. Idą, a tu zdala widzą światelko. Podchodzą bliżej — chałupa... Patrzą przez okno — w środku siedzą dwaj chłopcy i gwarzą... Cywil mówi: „to kozacy, bo mają patron-tasze na koszulach na krzyż. Przebrali się tylko“. Nic nie mówiąc obleciał cywil chałupę, a w Kubie aż serce zadygotało, bo myślał, że go chce zdradzić — ale ten wraca i powiada, że zawiązał drzwi sznurkiem, i że z tymi w środku coś trzeba zrobić. Miał Kuba przy sobie dwa granaty ręczne, odwiązał więc jeden i przez okno rzucił do środka... Błysk, huk, krzyk — Kuba i cywil w nogi! Oglądnęli się dopiero z kilometr ubiegłszy... Patrzą — chałupa w ogniu.

Idąc dalej doszedł Kuba do miasteczka. Włazi do

sklepiku i chce kupić co do zjedzenia. Żydówka mówi:

— Moskale są!

— Dawaj.

— Ale żywo! Uciekajcie...

Wyrywa więc Kuba — „tylko górami wyrywa nigdy drogą“ — i dociera aż do Czerniowiec, gdzie zbiedzonego i strudzonego, z „tramwalu“ obranego za ...sypialnię zabrali sanitaryusze...

W dwa dni potem zjawia się Kuba na pozycyi w Białej — i melduje się w kompanii, gdzie był już zapisany jako zaginiony...

Człap... człap... pomaszerował Kuba do okopu, gdzie już i rum się znalazł i poczęstunek inszy... poczem wypocząwszy opowiedział swoje dzieje — tak jak je tu opisałem — wykrawek z życia przeciętnego re-lutona, mającego jednak głowę na karku i spryt i nigdy nie opuszczającą pewność i nadzieję oraz beztroskę, nie dopuszczającą nawet myśli o jakiejś złej przygodzie i fantazyi krzynej.

Skreśliłem te szare i bez romantyzmu dzieje legionisty Kuby Kucharskiego, dlatego, by dać rys żywota żołnierza zwyczajnego, takiego, jakich tysiące leżą dziś na pozycyach, na karabinie śpiąc bez snów o sławie, a pełniąc prosty i skromny swój obowiązek... bez pretensyi do tytułów, odznaczeń i chwały...

CZĘŚĆ II.

Z DRUGIEJ BRYGADY.

P U Ł K O W N I K Z I E L I Ń S K I.

Ojcem naszym był i opiekunem... Był — a nie jest teraz, bo rozkaz wyższy, bo zwykła kolej losów wojny już go nam zabrała... Zżył się z nami, a my z nim — jak nikt inny może...

Żołnierskich naszych z nim przeżyć dzieje stare. Od Krakowa już z Brygadą naszą na Węgry szedł, pułk zrazu drugi, później grupę, wreszcie Brygadę samą przez krótki czas prowadził... Był czas poznać się nawzajem, i był czas pokochać pułkownika, zwłaszcza że było za co. Ot za to choćby, że taki nasz, taki dzielny, i taki żołnierza wzór bez skazy.

Szedł pułkownik Zieliński rok blisko z nami. Przez góry i śniegi karpackie, przez błota Bukowiny, w ogniu armatnim i karabinowym szedł nieustraszony... Koło niego od kul kładli się żołnierze, wygrywały armaty sarabandę jakąś piekielną — a on dumny, wyprostowany, w ogniu stał i śmierci zdawał się urągać, z spokojem traktując ją i pogodą nieopuszczającą go nigdy... Nie za frontem, a w froncie, tam gdzie najgoręcej było stał zawsze...

Pod Pniowem gdy był, z sztabem na koniach stał w gradzie nie tylko kul karabinowych, ale granatów i szrapneli... Naraz szrapnel eksplodował blisko... Pułkownik ruszył się i ręką pod płaszcz niespokojnie sięgnął... Zbledli wszyscy... Myśl jedna a dręcząca, czyżby ranny? A on z portfela jaki na piersiach nosił

kulkę wyjmując szrapnelową i — „A tuś psiajucho wlażła“! — powiada... I nie, tok bitwy śledzi dalej...

Bywało, że leciały koło niego kule jak rój ós — a on stawał wtedy w polu, mapę wyciągał i do towarzyszącego mu adjutanta mówił: „Teraz zorientujemy się panie, adjutantcie“...

I oryentował się, a potem prowadził ku chwale, ku zwycięstwu.

Często przy samej pierwszej linii tyralierskiej bywał w ogniu, a czynił to, bo tak mu kazało jego przekonanie, jego poczucie obowiązku. Młodego przecie miał i niewyćwiczonego żołnierza i dlatego — jak to później już żegnając się z nami powiedział — „każdy pluton, każdą sekcję niemal trzeba było osobno dogłębnie i prowadzić“. Wodzem był i nauczycielem razem.

Ale choć sam na śmierć z takim spokojem ciągle się narażał, to przecież o żołnierzy dbał, by nie ryzykowali życia młodego. Bywało na pozycji, już w czasach ostatnich, gdy drogą chodzić nie było wolno zbyt wielkich śmiazków sam laską do rowu napędzał, karcąc zlekka mazurskim akcentem: „A ty się tam synku na drogę nie pchaj, bo i twój karabin dla Ojczyzny, dla Polski potrzebny“.

Cała martyrologia Brygady — wszystkie tęsknoty jej i żale i wysiłki i trudy są jednocześnie jego w niej życia i jego trudów wyrazem. Trud, zimno, znój — i głód czasem; tego wszystkiego do syta zaznał, nie oszczędzając nigdy siebie, choćby mu to było i z łatwością przyszło. Nie można powiedzieć, że surowy był dla siebie a od innych wymagający. To byłoby

niesprawiedliwością względem niego. Sam bowiem dla siebie aż przesadnie surowy, od innych ani części tego co sam czynił, nie wymagał.

W ofenzywie, z łaską w rękę — w czasie deszczów w znanym i zdala poznawanym płaszczu brązowym — z mapą i lornetką siedł zawsze tam, gdzie jako dowódca za najstosowniejsze uznał. Skupiony w sobie, milczący — jak pasterz dobry tej powierzonej mu gromadki — na wszystko baczny, najmniejszego szczegółu nigdy nie pominął... bo z tych szczegółów całość się składa...

Z krwią zimną kierownictwo całej akcji w rękach trzymał powagę sytuacji rozumiejąc zawsze, nie straszając jednak nigdy ani siebie ani drugich chwilowemi niebezpieczeństwami...

Gdzie najgorzej było zjawiał się osobiście i — z nieopuszczającym go nigdy humorem — ducha żołnierzom dodawał: „Tylko strzelaj kochanku, a już tam kula twoja zrobi co potrafi“... I strzelał żołnierz, a kule robiły swoje. Na biwaku w chwilowych przerwach walki żołnierski żywot dzielił bez różnicy, w deszczu i słońcu pod niebem spał... czuwał raczej bez przerwy, obóz w pochodach budząc, czasu alarmu pierwszy gotowy, dyspozycje wydając nieraz w gradzie kul i pękających szrapneli spokojnie, równo, jakby na mustrze, na manewrach był...

Twardym prawom wojny poddawał się i rozumiał je — ale drżał i serce mu się krajało o każde życie stracone daremnie... Niby to ostry, niby nieprzystępny — a gdy o ludzkich bólach i nieszczęściu odczuć szło, subtelnie rozumiejący je łagodnie, z kobiecą wrażliwością niemal...

Życie jednego legionisty — według zgola nie czeze-
go, ale z całym jego postępowania trybem zgodnego
wyrazu — więcej mu było warte od zdobytej rosyj-
skiej armaty...

Szarża ułanów pod Rokitną odeń miano „Nowej
Samosierry“ otrzymała. Patrzył na nią — i twarz mu
się mieniła... Tej chwili nie zapomnieć nigdy, jak i tej
drugiej, tego momentu z pogrzebu naszych ułanów,
kiedy to Zieliński, ten żołnierz twardy — bez senty-
mentalności — nad ich grobami pełen zmartwienia stał,
żegnając łzą tych, którzy tak młodzi odeszli...

Legion ukochał, tak gorąco, jak innych niewielu,
ale też i spotkał się z miłością jaka niewielu innym
przypadła w udziale. Wrył się w serca Karpackiej Bry-
gady na zawsze. O nim kiedyś mówić będą żołnierze
nasi dzieciom i wnukom swoim.

Bo Zieliński, pułkownik liniowy do Legionu przy-
dzielony, w Legionie tęsknot swoich i młodzieńczych
porywów znalazł urzeczywistnienie... On, powstańca
syn, on któremu żandarmi rosyjscy ojca szarpali
i z domu wywieźli, on który do szkoły wojskowej
z młodzieńczą myślą i pragnieniem odwetu na carskie
posiepastwo szedł — dziś, po trzydziestu ośmiu latach
służby nagle ujrzał się wobec ziszczenia się marzeń
życia całego i to w kształcie najpiękniejszym... Jako
komendant polskiego pułku, pułku Legionów w pole
poszedł... I dlatego też ten Legion to nie był dlań od-
dział wojska tylko i to wojska, które dopiero kształ-
cić, dopiero formować trzeba było... To była mu Ojezy-
zna i wszystko.... To był sen wymarzony, zjawą ja-
kaś cudna, która ukazała się oczom jego niemal



Pułkownik Zieliński w swej ziemiance z oficerami Jakubowskim, Grabowskim, Kordeckim.



Grupa oficerów z pułkownikiem Zielińskim po defiladzie w dniu 16 sierpnia.

u schyłku życia i w rękach troskliwych a wprawnych kształt na się brała bohaterski...

Legion dlań to był skarb najdroższy, skarb pod pieczę jego oddany — jak to stwierdził list Naczelnego Komitetu Narodowego — skarb nocą i dniem pilnowany, by najmniejszej części jego, najskromniejszej złotówki nie strwonić, nie wydać napróżno.

Tak kochał pułkownik Legion — i tę miłość jego czuł żołnierz zawsze, nietylko wtedy, gdy on „do swoich chłopców“ przemawiał, nietylko, gdy łąza zakręciła się w oczach wodza odprowadzającego na spoczynek wieczny najmężniejszych, a przedwcześnie zgasłych — ale także i wtedy, gdy najtrudniejsze zadanie wykonać rozkazał. Bo — co Zieliński zrobić polecił, to nietylko koniecznem, ale — i możliwem do zrobienia się wydawało...

Za to wszystko, za tę miłość, za ten trud żołnierski, za tę szczerość jego i prostotę, za odwagę i poświęcenie, pułkownik Zygmunt Zieliński był nam legionistą pierwszym i kochanym, był tym, z którego imieniem zrosły się na zawsze wszystkie niemal — w pierwszym roku istnienia dokonane czyny drugiej Legionów Brygady....

O S T A T N I A S Z A R Z A R O T M I S T R Z A W ą s o w i c z a .

Niedziela 13. czerwca na zawsze zostanie w naszej pamięci.

Wszystkie bataliony Brygady od samego ranka w ogniu. Słońce piekło żarem, a armaty grzmiały to salwami to w pojedynkę, już to nasze, już to rosyjskie — częściej te ostatnie broniące pozycyi z góry straconej, jakby targując się tylko o cenę za jaką oddać mają wieś i okopy nad nią leżące, silne, prawie niezdobyte, a przecież z nieubłaganą koniecznością przypaść mające Legionowi, dwom jego pułkom, drugiemu i trzeciemu, idącym oto pod pułkownikiem Zielińskim i majorem Minkiewiczem, z drugiej strony spokojnie i wytrwale.

A w środku, w całym tym rozgwarze, w tym chociaż oszalałym i w tem rozbrzęczeniu się stali i ołowiu wieś Rokitna — cicha i jakby senna, opuszczona, bezludna...

Kawalerya nasza, oba szwadrony, Wąsowicza i Brzezińskiego, od dwóch dni stała w dużym sadzie, prawie lasku owocowym za wsią Rarańczem, za frontem piechoty o dwa do trzy kilometry niespełna, ale jakby już na pograniczu i w tym ogniu drugi dzień już trwających walk, jak zwykle w ostrem pogotowiu oczekiwała rozkazu, który też w niedzielę rano nad-

szedł o ósmej, alarmując i w jednej chwili oba szwadrony stawiając na nogi.

Kazano ułanom wyruszyć z sadu ku Rokitnej i ustawić się tam w dolinie na prawo od drogi. W chwilę, w minut kilka byli już gotowi i z radosnem parszaniem koni wyruszył dywizyon pod komendą porucznika Włodka Romana. Na czele drugiego szwadronu jechał podpor. Topór-Kisielnicki, a trzeci prowadził podpor. Rabiński...

Aż dojechali do pozycyi atakującej piechoty... Tu był jar na prawem skrzydle zupełnie osłonięty i w nim to ustawieni czekali dalszych rozkazów, podczas gdy w tęsamą dolinę zjechawszy w chwilę później austriacka bateria zaczęła z Moskalami rozprawiać wymownie...

Czas schodził zwolna. Piechota powoli lecz stale szła naprzód i naprzód, aż wreszcie na kilka minut przed dwunastą przyjechał do ułanów rotmistrz Wąsowicz. Chory był, ale dowiedziawszy się, iż jego ułani mają iść do boju, nie wytrzymał i przybył... Pobył chwilę, z oficerami porozmawiał i z ułanami, pozycyę, w myśl rozkazu otrzymanego na bliższą sztabu i Rokitnej zmienił, a w chwilę do sztabu Brygady pojechał wezwany, skąd po jakim kwadransie wrócił, wioząc z sobą rozkaz dla nich i dla siebie, rozkaz po którym nie zostaje nic, jak: zginąć lub zwyciężyć!

Rozkaz jak stał zimny i jak śmierć surowy. Wykonać szarżę na nieprzyjacielskie okopy i wziąć je kawaleryą. Te okopy, o których niewiadomo dokładnie, ile w nich rzędów i jaka się kryje w nich siła...

Ale nic to. Padł rozkaz: Na koń! — i szykują się ułani. Chwila, sekunda niemal, a oba szwadrony sta-

nęły w pogotowiu, formując na dalszy rozkaz kolumnę szwadronową, poczem klusem, zboczem górki, zasłonięci od oczu rosyjskich pomknęli ku lewej stronie wsi, ku domkom, od których dzielił ich jar dość stromy i tejsamej co wieś nazwy strumyk Rokitna, płynący dołem i bagnisty...

Ten jar i ten strumyk stały się dla nich przeszkodą. lecz na moment tylko — bo gdy ułani wahają się przez chwilę co czynić: „Niema przeszkód dla polskich ułanów“! — woła Wąsowicz, spina konia, zawisa przez chwilę zdumionym oczom w powietrzu i już na drugim brzegu pędzi...

„Niema przeszkód“! — powtarzają gromko ułani i w ślad za ukochanym rotmistrzem przesadzają strumyk zdradziecki, biorąc przeszkodę tak jakby to nie wojna była, a wyścigowy popis... I popędzili klusem, aż natknęli się na tyralierę naszą, spoglądając z zdumieniem na ułanów czego chcą tu, w tej stronie?...

Lecz oni pędzą dalej a dalej, pod górkę, zboczem w kurzawie lekkiej... Tam, gdy już tyralierę zupełnie minęli, pada komenda nowa: „Dywizyon do frontu“! — i w ócz mgnieniu formuje się dwurząd jadący nad wieś, wciąż klusem, ku widocznym zdala wiatrakom, u których przyczaiły się, jakby rozlazłe u szczytu zbocza okopy rosyjskie. Jadą z dobytymi szablami, dostrzeżeni już przez Rosyan, choć zasłonięci jeszcze od nich częściowo stokiem góry. Tak dojeżdżają do kilku domków szarych, stojących już na skraju sioła.

Tu rozdziela się po raz pierwszy bracie ułańska.

„Trzeci szwadron w rezerwie“! — rozkazuje Wąsowicz — i ostaje się jak w ziemię wryty szwadron trzeci,

podczas gdy drugi przed siebie wciąż wali... Chwilka jeszcze, a u szczytu będzie, u dwóch wiatraków, za którymi rosyjskie okopy.

„Tyraliera“! — grzmi rozkaz, i gdy zgodnie jakby jedną ręką trzymanych sześćdziesiąt szabel pobłyskuje w słońcu, błyskawica przelatuje szeregi — rozsuwa się linia długa, wyciągnięta, prosta...

Chwila jeszcze... Wiatraki bliżej, coraz bliżej, a w tentent koni mięszyć się zaczynają czemraz częściej, czemraz natarczywiej rosyjskich kul poświsty.

Padają strzały coraz gęstsze, z odległości jakich czterystu może kroków zaledwie, lecz choć tak bliskie to nieszkodliwe przecież, bo kule za wysoko idą, przenoszą...

Usłyszał je rotmistrz, wzrokiem odległość zmierzył, w siodle się znagliła okręcił, szablą od lewej do prawej półkole zatoczył — i w szum prutego koni i ludzi biegiem powietrza — gdy już za wiatrakiem byli — wpadł jego głos równy, a spiżowy:

„Do ataku broń“! Marsz — marsz! Polscy ułani“!...

Pojęli go ułani dzielni i od prawego skrzydła zabrzmiało wraz: „Hurra“! z piersi sześćdziesięciu.

Zgodnie, równo, spokojnie pędzi ułańska tyraliera... Mijają chwile krótkie, naraz kurz się zrywa, unosi i kłębi, a oni lecą jak wichry, jak burza, jeno burki się rozwiewają i szable wzniesione lśnią w słońcu, przeglądającym się w wielokrotnym ich błyskawic blasku.

Drży ziemia, ostrogi wbijają się koniom w boki, tentent dzwoni, armaty cichną na chwilę, a tylko oni pędzą i lecą jak orły po łup, po chwałę, po zwycięstwo

lub po... śmierć czającą się z potrójnych rosyjskich okopów...

Marsz — mknie szwadron do ataku, do szarży... I raz jeszcze z prawego skrzydła, gdzie szedł pluton czwarty zrywa się gromkie „Hurra“! — i wnet podejmuje je cała linia.

„Hurra“! — grzmi zgodnie, równo i spokojnie wzdłuż frontu galopującego za rotmistrzem, który się tylko schylił nad karkiem końskim i szablę wyciągnął nad siebie, jakby gotując ją do jakiegoś strasznego, nieodpartego ciosu. Wiatr jeno w uszach świszczy, a z pod kopyt końskich sypią się grudy ziemi, z naprzeciwka zaś lecą kule rosyjskie i żadna się nie imie tych — co to jak olbrzymy rosnący w oczach coraz więksi i coraz świetniejsi.

Rów pierwszy skokiem równoczesnym i zgodnym w jednej linii biorą, a za nim wałą dalej, ale już nie wszyscy.

Bo oto w chwili gdy dojeżdżali do rowu, trafiony kulą w czoło, wzniosłszy ręce do góry spadł z konia bez skargi i jęku ułan z trzeciego plutonu Kubik Bolesław. Po nim, przez rów skacząc wachmistrz Bolesław Wąsowicz, brat rotmistrza, przewraca się z koniem i ranny lekko, dźwignąwszy się wraca do wsi, bo go już szwadron odjechał daleko, bez strat dalszych przebywając przestrzeń między rowem pierwszym a drugim. Dopiero poza rowem drugim pada ranny oficer rachunkowy szwadronu Fąfara, który choć obowiązku nie miał, ochotnikiem na szarżę poszedł ze szwadronem. W pachwinę karabinową kulę dostał i z pola — przeleżawszy tam całą noc, obrabowany przez Moskali — wycofać się musiał. Raniony trzema kulami w nogę —

przed nim nieco, o parę kroków bliżej — kapral Sperber Józef — artysta-malarz — z koniem pada, a koń go przygniata tak iż wstać nie może. W tej opresyi zwraca się do ułana Rotkaela, któremu też koń padł w tej chwili:

„Pomóż mi Rotkael“!

„Wedle rozkazu“! — brzmi służbista odpowiedź i pod ogniem karabinowym pomaga nieustraszony żołnierz wydobyć się z pod konia swemu kapralowi, sam przy tej sposobności ranę odnosząc...

Za nim wali się z konia ranny kapral drugiego plutonu Brincken Tadeusz, i w tejsamej prawie chwili na lewem skrzydle na drodze wachmistrz szwadronu dr. Adamski Tadeusz, krzyżując ręce ruchem nagłym nad głową zsuwa się z konia, ginąc od kuli, która przebiła medalion na piersi i trafiła w aortę...

Ci pozostali, a reszta szwadronu mknie dalej... Błęskają jeno szable w słońcu, sypią się ciosy niechybne, a oni lecą i lecą przez pole, witani strzałów gradem, imających się co chwila tych żołnierzy jak nie z tego świata, opancerzonych w stal ideału, pędzących na stracenie w imię Polski, w imię tej sławy i tych marzeń, które ich wypieściły, a teraz opłotły nagle jak maki czerwone rozkwitające śmierci rycerskiej purpurą.

Czepiają się ich kule gęsto... padają z koni zabici i ranni — a oni walą wprost w okop, z którego wita ich czterech karabinów maszynowych granie i chichot kartaczy i granatów ryki. Chwila jeszcze a i tam przewala się i zwyciężają... Część bramą, część nad okop przewala się w oczach zdumionego niepojętem zuchwalstwem wroga. Zawracają konie — moment — i nagle kopyta

ich przebłyскую żelazem nad głowami rosyjskich żołnierzy...

„Brosaj orużyje“! — woła na prawem skrzydle okopu wachmistrz Nowakowski.

„Brosaj orużyje“! — powtarza za nim kapral Bokalski na lewem.

„Zdajem sia! zdajem sia“! — rozlega się przerażone wołanie z okopu, w którym ogień milknie na chwilę, lecz nie milknie niestety z okopu flankowego i nie cichną kartacze i granaty. Ujmują więc Moskale ponownie za broń porzuconą...

„Wot geroj“! — woła oficer rosyjski i pali z pistoletu wprost w Bokalskiego, który leci z konia na ziemię, a w tejsamej chwili, upojony złudą chwilową zwycięstwa, które się już tak cudnie doń uśmiechnęło, widząc okop poddający się, pada rotmistrz Wąsowicz z piersią na wylot przeszytą. Pada tam gdzie stał, gdzie do poddania się wzywał i gdzie już zdawało się, że bierze w posiadanie okop rosyjski. Wzięli go podobno Rosyanie i na bok między rów drugi a okop odprowadzili, ale im w rękach skonał — dając jeszcze jakieś znaki swoim....

Na prawem skrzydle ginie od kuli w usta por. Włodek, a podporucznikowi Kisielewskiemu Moskał wyskakujący z okopu rani konia bagnetem. Napadnięty, osaczony, nie widząc już wyjścia — chyba żeby się poddał — broni się rewolwerem do ostatka, trupy i rannych kładąc, sam przedziurawiony dosłownie kulami, których siedm przeszło przez ciało, a ósma w mózgu utkwila — śmiertelna.

Straty straszne, niepowetowane, lecz mimo to szwa-

dron mknie dalej, szarża nie ustaje. Tu plutonowemu Świdzińskiemu Jerzemu koń ginie, lecz on cało ucho-
dzi podobnie jak Grechowicz Stanisław i Oskierka Je-
rzy kaprale i ułan Tylicki Stanisław. Zostali wszyscy
i wycofali się, podczas gdy ułan Łuszczewski, któremu
ubito konia, w chwili gdy chce się schronić za pagó-
rek pięciu kulami trafiony, z tych jedną w ucho. Od
tej ginie, podczas gdy brat w tym samym szwadronie
służący mknie dalej.

Ułani, Polański i Szymański po stracie koni ucho-
dzą nieścigani, a tylko Potok Eugeniusz, krakowianin,
słuchacz praw, ranny, gdy spadł z konia kulami mo-
skiewskimi dobity, ducha wyzionął tuż pod okopem,
z którego w tej chwili rozegrały się karabiny maszy-
nowe i zatrzaśniały karabinki japońskie, oraz zahaczały
granaty artylerji rosyjskiej ogniem swym rażącej na-
szych i — swoich.

Skłębził się i spletał nasz atak szalony, zmieszala
się linia prosta i błyszcząca, tuman kurzu wzbił się jak
wir w powietrze — opadły szable wzniesione, minął
szał zwycięstwa...

Wyrywa się z gromadki kilku jeźdźców i pędzi ku
wsi gwałtownie. Tam koń podnosi kopyta przednie
w górę i jednym ruchem strasznym zwala się z jeźdź-
cem na ziemię, tam rumak straciwszy pana mknie jak
oszałały, aż wreszcie garść ich, kilkunastu, coś nad
dwie dziesiątki w szalonym wysiłku biegnie wzdłuż
okopów za wieś, gdzie piechota nasza i wybawienie.

A karabiny trzaskają bez przerwy... W środku oko-
pu, na równej drodze zwałił się jeszcze w serce tra-
fiony ułan Majda Michał z pierwszego plutonu. Jak na
koniu siedział, z szablą podniesioną, ręką ściskając

cugle, runął twarzą ku niebu i tak go nazajutrz znaleziono... Tu zginęło naszych najwięcej. Padł Rakowski Jerzy i Zwatschke Antoni i Michał Tworowski i Starczewski Tadeusz — zważy się w Legionie Rawskim Wincentym — szrapnelem zabity. Na prawo za Rawskim spada z konia ciężko ranny wachmistrz rachunkowy Nowakowski, który jak podpor. Fafara także na ochotnika na wyprawę poszedł. Wzięli go Rosyanie w okop i choć opatrzyli, w niedługi czas ducha wyzionął.

Ranny w rękę ułan trzeciego plutonu Sierhiejewicz ujść już nie zdołał i poszedł w niewolę. Taksamo wachmistrz Jagrym, kapral Chwalibóg i ułani: Prokop Kazimierz, Gorbaczewski i Łabędzki. Żadnego z nich całym i zdrowym nie udało się wziąć Moskalom.

Jakubowicz ułan z plutonu czwartego, gdy po stracie konia piechotą się salwuje pada pięciu kulami ranniony. Biorą go Moskale w niewolę, lecz nazajutrz zostawiają w ucieczce jego, Gorbaczewskiego i dwóch innych towarzyszy.

Po drodze do wsi giną ostatni: kapral Karasiński Karol i ułan Szysz Mikołaj ze Stryja, a Stembart Józef kapral w bok ranny trzyma się przecież na koniu i mimo kul nad nim przelatujących kryje się za chałupę i wreszcie wraca do swoich.

Reszta wzdłuż okopów wracająca, wpada pod artylerję i wreszcie dostaje się w ogień obu linii tyralierskich, rosyjskiej i naszej...

...Armaty grają... Huk, świst, trzask — nad pierzchającymi wykwitnął biały dymek szrapnela... Znów dymek i znów szrapnel pęka... Pędzą ku wsi jeźdźcy bez koni, zrywają się, biegną konie same, a za nimi

wciąż trzeszcza karabiny i pękają szrapnele... Siedm ich pękło nad nimi — poczem ryknęły granaty nasze na rosyjskich pozycjach i znikł ostatni jeździec na zboczu...

Atak skończony — trwał minut piętnaście. Tyle czasu było potrzeba, by w czasach dzisiejszych — wznowić tradycje Samosierry, by dokonać czynu, o którym potem rozkaz Komendy Brygady powiedział:

„Ten atak będzie w historyi Legionów uwieczniony jako najwspanialszy czyn kawaleryi, a każdy kto ten atak przeżył, z uzasadnioną dumą może uderzyć się w piersi i zawołać: Niech kto tego dokaże“!

POGRZEB UŁANÓW WĄSOWICZA.

Po szarży oni jedni zostali na pobojuwisku, oni trupy krwawe, piętnastu polskich ułanów w rosyjskim aż do nocy jeszcze okopie....

Do nocy tylko, bo gdy noc nadeszła, pod osłoną jej pierzchli Moskale, zostawiając pobojuwisko puste, a na niem tylko naszych zabitych — których znaleźliśmy wkraczając rankiem do wsi opuszczonej... Pierwszy z adjutantem na czele patroli wjechał major Minkiewicz — i honory wojskowe poległym oddał... Potem oddział po oddziale szły wzdłuż okopów rosyjskich pułki trzeci i drugi salutując i żegnając łzą w oczach błyskającą... leżących na ziemi, w okopach...

Więc najpierw rotmistrza Wąsowicza, którego między drugim a trzecim znaleziono okopem... Cały czarny, skrwawiony, twarz do niepoznania zmieniona... Dalej porucznik Włodek, twarzą ku ziemi — zginął od kuli na miejscu i jeno twarz mu zastygła w jakimś spokojnym wyrazie, w blasku, z uśmiechem pogodnie żegnającym życie odchodzące z szumem pędu i poświstem wichrów siekących twarz w biegu.

I porucznik Topór bez męki skonał. Twarz mu jeno zczerniała z krwi i mundur zeszpetniał... Z rewolwerem w zwartej dłoni, jak padł gdy się bronił zawzięcie, pozostał nieżywy, otwarte oczy utkwivszy w słońcu i w tej grozie śmierci co go zastała nieustraszonym

aż po ostatnią chwilę Polski rycerzem. Wachmistrz dr. Adamski, komendant plutonu, od szrapnela był zginął — purpurą krwi kwiecąc zielen trawy... dającej mu spoczynek przedwczesny...

Tak padli wszyscy — i próżnoby w licach ich szukać trwogi, jakichś błysków strachu... Pogodni i zimni, albo z blaskiem uśmiechu — odeszli od żywych mężni, nieustraszeni, odważni — aż po śmierć samą, która przypadła do nich w upalny dzień lata, tuląc do swego zimnego łona i kładąc na skronie aureolę chwały...

Takimi ich znaleźliśmy w poniedziałek po szarzy, w okopach rosyjskich — i takich zabrali z pola towarzysze broni, by pogrześć na wiejskim cmentarzu, na skrawku nierosyjskiej ziemi, skądby od Polski szły szumy i wiatrów rozgwały szemrzących kiedyś cicho o tych, którzy od Wisły brzegów aż za Prutu fale, za Ojczyznę krew przelewali i polegli, nim ziścił się cud dziejowy, zjawa rozpierająca piersi męstwem nad siły, nad podziw wszelaki.

Jest w Rarańczu, w nadstepowym siole pogranicznym stary cmentarz wioskowy. Na środku krzyż nad nim rozpostarł ramiona ogromne, a wokół ułożyły się mogiłki ciche ludzi, którzy żyli, cierpieli niejedno, ale których co roku, co miesiąca kładło w te mogiłki życie smutne... Nie szumiały im nad głowami sztandary, nie rwały się ich serca na loty orle, bo byli to ludzie szarzy, jak szare było ich życie... Po śmierci ziemia ich przygarnęła, a drzewa nad nimi szumią tylko i płaczą zwyczajnie.

Na tym to cmentarzu spoczęli na zawsze ułani Wą-

sowicza, spoczął sam rotmistrz po życiu zbrojnym i znojnem, spoczął w chwale i w blaskach, które nigdy nie zgasną, nie zginą.

Rankiem wczesnym u stóp nowo osadzonego krzyża białego wykopano grobów piętnaście. Pod rząd wojskowy, w ordynku, jeden obok drugiego — a przed nimi jedną obok drugiej ustawiono trumny białe...

Pierwsza z brzegu, to trumna rotmistrza. Pokryto ją kapą czerwoną z orłem białym, a na niej kask ułański, z którego ptak srebrny zrywa się do lotu...

Krwawi się czerwienią szmat sukna do słońca, lśni dumnie ptak biały, przebłyскуje heblowaną bielą trumna prosta, dumna iż tuli w sobie skarb największy, serce żołnierskie proste, miłujące wiele, które było zawsze, aż oto nagle bić przestało — dla Ojczyzny.

A na niej kwiaty mienią się białością śniegów i krwi przeczystą purpurą...

Obok zaś trumien czternaście oficerów i żołnierzy, trumien białych obsypanych kwieciem drżącym listkami niby serca żywe na tych trumnach, kryjących serca zamilkłe na zawsze...

Opodał zaś trumien u stóp krzyża stanął ołtarz polowy, nieozdobny a przed nim i przed trumnami kompania sztabowa z komendy korpusu przysłana i dwa plutony naszych ułanów... W środku zaś między nimi starszyzna, delegacye oficerskie pułków drugiego i trzeciego, nasi kawalerzyccy i sztabowi oficerowie austriacy. A za krzyżem, z drugiej strony, prosty, szary tłum wioskowy i ci wszyscy, którzy przyszli oddać cześć bohaterom, na ostatni ich odprowadzić spoczynek.

Zaczęła się cicha, żałobna msza polowa. Przy ołta-

rze kapelan nasz ksiądz Panaś. Słowa modlitwy odnawia, a głos mu drży z wzruszenia...

Przy trumnach uklękli najbliżsi... Z rodziny ktoś lub przyjaciele. U zwłok rotmistrza ukląkł brat jego, wachmistrz w tym samym szwadronie... Przy każdej ktoś klęczy, ktoś kto druhem był, przyjacielem serdecznym, aż przy jednej na końcu dwie głowy się chylą w szlochaniu gorącym... Głowa siwa, osrebrzona schyłkiem dnia rycerskiego i płowa, młoda, w której słońce złote roztapia swe blaski... To ojciec i brat ś. p. Łuszczewskiego syna żegnają i brata. W trzech z Królestwa z rotmistrem jesienią ubiegłą przyszli — dwóch ich jeszcze zostało...

Po mszy egzekwie, ponury i błagalny śpiew. Kłonią się głowy, kolana zginają i modlitwa płynie ku niebu, z którego płomienne słońce blaskiem srebrzy trumien płamy białe... Więdną kwiaty w żarze i liście lecą, a wraz z nimi zrywa się śpiew:

Boże Ojcze, Twoje dzieci
Płaczą, żebrząc lepszej doli...

chór śpiewa, a serca mu wtórzą ciche i wzruszone, aż wreszcie kończy się, dogasa i milknie — a z żołnierskiej pełnej tehu piersi rwie się pieśń prosta, nieuczona, stara:

Śpij kolego, twarde łoże,
Zobaczym się jutro może...

Dzwonią słowa, a żal i ból głos hamują wpadając w rytm dzwicznej piosenki, zniżając ton, dostrajając go do ciszy i majestatu cmentarza, i oto uderza strofa druga:

Śpij kolego w ciemnym grobie,
Niech się przyśni Polska Tobie...

I lecą myśli ku Polsce, lecą ku tej umiłowanej, której tym oto żegnanym już ujrzeć nie dano, chyba w śnie wiecznym kołyszącym ich tu, na tej ziemi krwią ich serdeczną zlanej, na tej ziemi, która graniczną była zawsze i krwią polską od wieków obficie polewaną rubieżą...

...Chwila jeszcze, rwą się ostatnie akordy pieśni i dogasają w powietrzu, a od wezgłowia trumien podnosi się miarowy głos kapelana, który mówi:

„Za dusze zmarłych piętnastu kolegów — których krew przelaną została za honor oręża polskiego — oby nie napróżno i oby z krwi tej Polska wstała — zmówcie Ojcie nasz... Zdrowaś Maryo...”

I chylą się znów głowy i gną się znów ku ziemi dumne kolana żołnierskie — a z serc wszystkich modlitwa płynie błagalna ku niebu wśród ciszy, jaka rozpostarła się nad tym ogrodem śmierci, cichem schronieniem dusz cichych...

Kończą się modły, a z grona ułanów, w płaszczu czarnym, narzuconym, z ręką na temblaku, cały... jakby w białosc gaz spowity, blady śmiertelnie, jak zwid, jak zjawą jaka występuje wachmistrz Sokołowski...

Przedwczoraj jeszcze z nimi razem w szarży był... i ranny został... Dziś żegnać ich przyszedł, — kolegów imieniem. Nad trumnami stanął — ponury, posępny, jak smutek sam i żalność poskromienia nie mająca...

Ręką na szereg trumien wskazał i w męski ton — nie żalów skargi, ale — dumy potężnej i groźnej uderzył:



Pogrzeb legionisty w Besarabii.



II. Brygada słucha mszy polowej



„Oto towarzysze nasi... Oto ci, co pojechali, choć wiedzieli, że jadą na śmierć pewną... Pojechali, bo trzeba było pokazać, że żołnierz polski każdy rozkaz wypełnić potrafi. I pojechali dlatego także, bo grała im w żyłach krew wielkich dziadów z pod Chocimia, Kirchholmu, z pod Samosierry i Ostrołęki“.

„A choć żal nam do serc i łyzy napływają do oczu, nie czas płakać i żałować... Przyjaciół naszych my nie żałujemy, bo bohaterską polegli śmiercią“.

„Jeśli zaś co nas w tej chwili przygnębia to ta myśl tylko, że na ich czele padli i dziś tu leżą wodzowie nasi, ci którzy nas tak długo i do tyłu zwycięstw wiedli, ci którzy nas przez bitwy pierwsze, przez trudy zimowe, przez wiosenne zwycięstwa, przez letnie upały aż dotąd prowadzili“.

„Krwia swoją podpisali i pieczętowali najpiękniejszy akt miłości Ojczyzny... Ale niedaremno! Niech wszyscy, wszyscy wrogowie Polski wiedzą, do jakich czynów i dziś Polak jest zdolny“.

„Ufamy, wierzymy, iż krew ich nadarmo przełaną nie była i że za cenę bólu naszego, za cenę łez matek, żon i sióstr uzyskamy słuszne nasze prawa i postulaty narodowe, które przyznane nam będą“...

...Będą — powtórzyło echo i cisza cmentarz zaległa i z grona oficerów nowy wystąpił mówca żałobny porucznik Kordecki... Przesrebrza się włos głowę, lat męskich już przeszło południe, a głos drży gdy mówić zaczyna:

„Oto odpowiedź na matki wołanie! Oto odpowiedź na wołanie matki-Ojczyzny o pomoc! Oto synowie, co

niewoli pęta z jej rąk zrzucić cheieli, co życie swe oddali dla Polski! Oto bohaterowie, których Pallas w bój wiodła o wolność naszą! Godne potomki tych z pod Samosierry, z pod Wawru i z pod Ostrołęki, padli w ataku dla chwały polskiego narodu. Spokojni, ciś śpią teraz snem wiecznym i dziś ich żegnać potrzeba... Więc żegnam Was bracia! Żegnam Was dzielni towarzysze broni, Polski imieniem, żegnam Was imieniem polskiej kawaleryi, imieniem jazdy Legionu! Żegnam Was... lecz zda się, jeszcze życie między nami, bo żyje pamięć Wasza, bo żyje duch Wasz między nami i duch ten będzie nam hetmanił“...

„Dumną bądź Polsko, że masz takie dzieci! Dumni bądźcie ojcowie i matki z takich dzieci! Dumnym bądź żołnierz polski, żeś takich miał towarzyszków broni“!

„Nie płacz Ojczyzno choć dzieci Twe giną — niechaj krew płynie i łzy niechaj płyną, — niechaj się ziemi druzgocą krawędzie — Bóg jest nad nami, więc i Polska będzie“!

Tak mówił porucznik, a gdy skończył znów cisza nastąpiła i spokój... Ściągnęły się w bólu marsowe twarze żołnierskie... Starzy nawet oficerowie, co niejedną już bój widzieli, niejedną stratę osobistą w zawierusze wojennej ponieśli, łez już nie hamują... Płaczą żołnierze i tłum wiejski szlochem gwałtownym wybucha.

Salutują oddziały i naraz w milczeniu powoli unoszą się trumny jedna po drugiej na ramionach kolegów dzwignięte... Kołyszą się zlekka jakby je fala potężna a łagodna niosła i zwolna, kolejno spływają ostrożnie w otwartą głąb ziemi.

Ksiądz jeszcze modły żałobne odprawia i ziemi sypie grudkę, poczem zwolna, z pochyloną głową, płacząc

podchodzi pułkownik Zieliński i trumnę za trumną mijając, rzuca też na każdą grudkę dudniącą zcicha. Serdeczne ostatnie pożegnanie kochanego i kochającego pułkownika... A za nim czyni to samo sztab, czynią to samo oficerowie i żołnierze. Sypie się ziemia, sypią się grudy i grudki, przycicha dudnienie na wiekach trumien i rozlega się jeno miarowy szelest sypanej łopatą ziemi.

Zwolna wyłania się piętnaście mogił świeżych, na które kwiaty padają i pożegnalne łzy żołnierskie, łzy ostatnie.

W chwilę pustoszeje cmentarz, a od pola idące poszumy jakby gwarzyły już o tych mieszkańcach nowych, co tu przyszli w takim dostojństwie i purpurze.

...Potem poszumy pójdą w dal i Ojczyźnie wieści poniosą o tych żołnierzach bez trwogi co tu spoczęli na wieki... I będą wichry o nich gwarzyć, a step im wonie słał będzie. U krzyżów się kwiaty rozrosną i drzewa, kiedyś będą szumieć o tych, co tu cisi na ziemi na obcej spoczęli walcząc aż do sił ostatka i honoru Polski broniąc — w godne oddanego ręce.

D W I E D E K O R A C Y E

Szarża rokitniańska niesłychane wywarła wrażenie. Było w tej jeździe śmiertelnej, w tym ataku wykonanym z rozkazu wprost na śmierć samą, coś — co przykuwało do siebie umysły, co zapomnieć nie pozwoliło o tych pięknych bohaterstwach naszych ułanach śmierci... Stało się coś, co nie zwykło się powtarzać po raz drugi, coś czego nawet tak wielka wojna dwa razy nie przynosi... To było wrażenie ogólne, podzielane i przez komendę naszej Brygady, która zaraz po szarży w dniu tym samym jeszcze, wszystkich jej uczestników podała do odznaczeń najwyższych... Jakoż w dni kilka później nadeszły już medale — i w siedzibie Brygady odbyło się dekorowanie zasłużonych...

Cudne było rano czerwcowe; zdala armaty grały, gdzieś daleko na horyzoncie z zwyczajnej porannej przejażdżki aeroplan wracał — gdy na obszernym placu przed komendą Brygady ustawił się oddział sztabowy... Potem dwa plutony węgierskich przymaszerowały huzarów i ustawiły się na skrzydle, gdy na zakręcie drogi od kwater wiodącej ukazały się oba szwadrony ułanów naszych, pod wodzą porucznika Kordeckiego, który teraz po ś. p. Wąsowiczu komendę wziął dywizyonu... Z chrzęstem, z brzękiem, strojni i zbrojni naprzeciw huzarów stanęli...

Najstarszy rangą por. Kordecki raport odebrał — poczem w środek czworoboku wstąpili ci, którzy deko-

rowani być mieli. Cały szwadron drugi! Cały t. j. dwudziestu i kilku zarazem; tylu ich dziś przyjść mogło, a i to niejeden z głową obandażowaną jeszcze, lub z ręką na temblaku...

W chwilę sztab się ukazał Brygady, z pułkownikami Küttnerem i Zielińskim...

Komenda! Pręży się żołnierz, zwracają się głowy — cisza przelatuje nad czworobokiem, z boku którego grupka oficerów salutuje komendanta... Por. Kordecki raport składa poczem przemawia brygadyer...

Po polsku żal wyraża, że do nas naszym językiem, tak jakby chciał, jeszcze mówić nie może, poczem po niemiecku wyraża hołd tym, którzy polegli, uznanie wszystkim uczestnikom szarży, bo „jest to czyn jakiemu podobnego niezna historia wojny, jest to cięty atak kawaleryi bez przykładu, z którego każdy, kto w nim udział brał dumnym być może“.

Mowę tę jeden z oficerów przetłomaczył, poczem przystąpiwszy do szeregu jął pułkownik Küttner przypinać medale... co trzeciemu niestety zaledwie z liczby odznaczonych... Reszta... albo na polu chwały legła i na cmentarzu niedalekim znalazła już spokój i schronienie, albo w szpitalach czekała z ran wyzdrowienia i na front powrotu...

...Akt dekorowania skończony... Ucisnął pułkownik rękę każdemu, medal ostatni przypiął i słów kilka jeszcze przemówił.

Zasalutowały oddziały, poruszyły się miarowo — i w chwilę pole już puste, wszyscy do kwater odeszli — tylko tam dalej, tam o kilka kilometrów ku wschodowi codzienna toczyła się walka, a na cmentarzu pobliskim na świeżych grobach ułańskich kwiaty zasadzone

chwiały się w wietrze lekko i wiatr po gałęziach szumiał cicho.

* * *

Za Łużany, Witelówkę, Zadobrówkę, za Rokitnę i Rarańcze wreszcie — za całą zwycięską i chwałę otoczoną, w krwi i znoju bogato skąpaną ofensywę, za wzięte do niewoli setki jeńców, za bój nieustanny od siódmego do siedmnastego czerwca, za odpór gwałtownych a o przełamanie frontu kuszących się ataków, przyznano pułkowi trzeciemu 56 odznaczeń w medalach i kilka dyplomów pochwalnych...

Polowa, skromna uroczystość wręczenia tych dekoracji, przypięcia medali na piersi zasłużonych odbyła się 2-go lipca na pozycyi — tam, gdzie wyniosłość terenu daje poniekąd pewną osłonę od przybiegających pocisków, tam, gdzie kończą się rowy strzeleckie, a zaczyna droga nowa, droga, którą wybudowała wojna i codzienny krok żołnierza.

Uroczystość naznaczono na godzinę piątą popołudniu, a już na kilka minut przed jej nadejściem zaroił się rów wiodący do jądra pozycyi, zaroiła się droga od nadchodzących w ordynku z bronią i z ładownicami oddziałków — odznaczonych.

Przychodzą i ustawiają się wzdłuż drogi — podczas gdy równocześnie jawią się sztaby pułkowe i grupy oficerów.

Nadchodzi więc pierwszy, nigdy nieznużony gdy o „jego chłopców“ idzie, pułkownik Zieliński z adjutantem Grotowskim, zjawia się komendant odznaczanego pułku, — sam bodaj najzasłużeńszy uczestnik tych walk za które dano odznaczenia — major — wów-

czas, dziś podpułkownik już — Minkiewicz, *) przychodzi z dalekiego swego odcinka podpułkownik Januszajtis. *)

Zaroila się i cichym gwarem zapełniła droga...

Przeznaczonych do dekoracyi formuje w oddział adjutant pułkowy. Czyta nazwiska odznaczonych, a oni stają jeden przy drugim, chorąży i szeregowiec. Zrównanych i zbratanych ideą równa teraz zasługa. Czasem tylko po przeczytaniu nazwiska cisza... Dobrze jeszcze, gdy rzeknie ktoś: ranny... bo często, częściej mówi milczenie, że ubył znów z tego grona legionowego jeden, że pierwszej „dostał krzyż drewniany“ nim zdołano mu przypiąć na pierś odznakę męźnych.

I stają tak jeden obok drugiego, a tylko czasem nad głowami świsnie kula, lub w pobliżu gdzieś szrapnel wybuchnie jak gdyby tak być powinno skoro w polu o kilka minut drogi od frontowych okopów dekoruje się za waleczność.

A potem przechodzi wzdłuż szeregu pułkownik Zieliński i każdemu rękę ściska. Twardy, krótki żołnierski uścisk dłoni, ale w nim mieści się wszystko co mają sobie do powiedzenia wódz posiwiwały i żołnierz młody pod okiem jego wyrosły. Podziękowanie jest w tem zwarciu się dwóch dłoni i pochwała — i męstwa ślubowanie do ostatka...

Nareszcie nadjeżdża sam pułkownik Küttner.

— Baczność! W prawo patrz!

Chrząszczą karabiny, pręży się żołnierz, salutują oficerowie, a wzdłuż tej istotnie honorowej kompanii przechodzi komendant — poczem z upoważnienia jego

*) Obaj obecnie są pułkownikami.

zabiera głos pułkownik Zieliński, by — jak zawsze — krótko, a serdecznie przemówić:

„Dostaniecie dziś odznaczenia, na które zapracowaliście trudem, krwią waszą, wybijając się jako najlepsi z grona dzielnych... Te odznaczenia na zawsze zostaną wam świadectwem męstwa waszego i wysoko dzierżonego honoru. Tembardziej zostaną, że zdobiecie nimi i Legion cały i Polski naszej imię...

...A że dostajecie je z woli wielkodusznego monarchy, więc wzniesiecież za mną moi chłopcy okrzyk: Cesarz Franciszek Józef I. niech żyje“!

Zagrzmiało trzykrotne „Niech żyje“!... Zdała gdzieś jakby na wiwat jakaś armata zagrzmiała, do szeregu odznaczonych zbliżyli się pułkownicy Küttner i Zieliński, major Minkiewicz i podpułkownik Januszajtis, a za nimi ich adjutanci, podając im na biało-czerwonych wstążkach medale, które oni kolejno przypinali z serdecznem słowem życzenia...

W chwilę później znikł oddziałek udekorowany w okopie — żegnany blaskami słońca przeglądającego się w lśniących symbolach chwały, witany przedwieczornem graniem dział rosyjskich i karabinów, ku którym na świeży trud szedł i po nową chwałę...



Pułkownik Zieliński przemawia na pożegnalnym obiedzie.



Msza polowa.

BATERYA GOSIEWSKIEGO.

(KRONIKA NA PODSTAWIE NOTATEK).

Kawaleria i piechota nasza stale miewają swoich dziejopisów, całe bitwy i ataki na ich idą rachunek i ich sława w opisach rośnie... Artylerii, trzeciemu rodzajowi naszej broni równie chyba jak tamte doskonałemu, mniej szczęśliwie jakoś pod tym względem dotychczas się wiodło, choć — w dziejach Legionu niejedną będzie miała kartę chlubną.

Gwoli częściowego zaradzenia niedostatkowi temu, z opowiadań oficera artylerii powstaje kronika niniejsza; raptularzyk prawie codzienny zdarzeń w jednej baterii, dzielącej walki i trudy drugiej naszej Brygady.

Jest to bateria podporucznika Gosiewskiego alias „Ekwadorki“ lub, jak się czasem popularnie a żartobliwie mawiać zwykło „pieski“, albo kontrastu do ich małości szukając „nasze mörsery“. Jużcie daleko im do mörserów, tym maluczkim — 37-milimetrowym zaledwie armatkom drugiej baterii, — ale że celne są i skutecznie walą granatami, a sprawniej jeszcze, gdy się okazya zdarzy „plują“ kartaczami, to pewne...

I robią to wszystko z okopu, z pozycyi piechoty. Nic im z „dekunków“ gdzieś za górą za lasem... Pracować muszą na równi z karabinem, gdyż artylerzysta baterii naszej wspólnie z piechociarzem dzieli trud cały i całe ryzyko wojny.

Choć — jak mówią, ale to nie całkiem prawda, bo już dwóch z nich poległo — kule go nie chwytają, „z ekwadorka ino se wali“ i kpi wyraźnie z tego wszystkiego, co mu pod sam nos strzelają Moskale...

Ale nie zawsze tak było, nie zawsze „ekwadorki“ były „ekwadorkami“, i nie zawsze przewodził baterii Gosiewski. Było to z początku trochę inaczej.

A było zaś tak:

Ledwo zaczęto formować Legiony, pomyślano zaraz i o artylerii, którą zrazu pod Krakowem w Borku Fałęckim, a później w Przegorzałach formowali Jełowicki z Brzozą. Dawno to było, na początku samym. Nie mówiło się jeszcze wtedy o rangach jakowychś, ale pracowało się rzetelnie i z czego zrobiło cztery baterie z armatkami, oraz piątą w ludziach wprawdzie kompletną, ale za to bez armatek, o których żołnierska niefrasobliwa pieśń mówiła:

„A nasza bateria w Przegorzałach stoi,
Pisze do Moskale, że się go nie boi
I pisze do niego czarnym atramentem,
Że się go nie boi z całym regimentem“.

Śpiewano piosnki, podżartowywano, a w wielkim tym warsztacie legionowo-wojskowym jakim był wówczas Kraków z całą bliższą i dalszą okolicą, tak jak robił się wogóle żołnierz polski, taksamo robił się pułk naszej artylerii.

Komendę nad nim, oraz drugim dywizyonem z dwóch baterii złożonym objął kapitan Brzoza, podczas gdy dywizyon pierwszy, a wraz z nim i baterię naszą otrzymał — wówczas porucznik, później zaś — kapitan Jełowicki.

Komendantem zaś tej naszej baterii — z numerem służbowym drugim — został podporucznik Kostecki i ten pierwszego października 1914, wyprowadził ją na Węgry do Kiralyhaza, gdzie pozostała przez dwa tygodnie aż do dnia piętnastego tegoż miesiąca. Tu, w Kiralyhazie dodano baterii w górskie działa wyposażonej, konie i wozy. Działa te bowiem, a raczej armatki wcale malusieńkie — niemniej od dzisiejszych większe — miały być mianowicie ciągnięte za wozami. Widok tak rozculająco-pocieszny, że nie dziw, iż humorystycznie nastroił legionowego piosenkarza, porucznika Szula, który na cześć ich, nową, a długi czas popularną, ułożył piosenkę:

„Jak ciele uwiązane

Starym powrozem,

Skacze, by opętana

Z tyłu za wozem.

Co to za kawał grata?

To jest — nasza armata!

Za nią kanonier zcicha,

Zbierając ładnie,

Jeżeli jaka szprycha —

Z koła wypadnie,

Potem składa i lata,

Bo to — nasza armata.

Lecz, że cudów na świecie

Nie braknie wcale,

Zaciągnęli ją przecie

Na... Fenterale,

Myśląc, że figla spleta

Moskaluszkom armata.

Chcieli nasi nad ranem
 Napaść Moskali;
 Nagle... żegnaj się z planem,
 Bo jak grzmot wali
 Buntadra na waryata —
 Przypadkowo — armata!

Tak śpiewali, pokpiwając zcicha, a równocześnie z dużą miłością na armatki patrząc żołnierze, podczas gdy bateria 15-go października z Kiralymözo (Königsfeld) wyjechawszy do boju już całkiem gotowa, 21-go tegoż miesiąca pod znany „Holzschlaghaus“ w Rafajłowej zajeżdża, a 23-go znajduje się już nawet i w ogniu, ale sama — dla braku celu — nie strzela...

Dnia 27-go października pod Mielnikami komendę baterii obejmuje chorąży Gliniecki i w tym dniu bateria ma po raz pierwszy sposobność strzelania, biorąc równocześnie chrzest ogniowy, granat w sam jej środek celnie — na szczęście nieszkodliwie — wymierzone.

W dwa dni później 29-go października jest bateria w bitwie pod Mołotkowem... Gorąco było wtedy naszym, a wraz z nimi i baterii zmuszonej kilkakrotnie zmieniać pozycję, a wreszcie jak i inne oddziały cofnąć się do Zielonej, gdzie stała aż do 5-go listopada pod górą, w pozycji obronnej, mając obstrzał na całą dolinę pod Pasieczną...

Dnia 8-go listopada jest bateria znów w ogniu na Pasieczną, strzela doskonale, ale proch dymny — choć rozwiewany płaszcami osłony — zdradza ją, tak, że odkryta przez Moskali po dwakroć musi zmieniać pozycję...

Działo, ze względu na swą „dymność“ nie małą, okazuje się nie do użycia, bo zanadto naraża żołnierzy. Więc też w miesiąc później, 8-go grudnia, odjeżdża bateria na Węgry, do Krasni Szora, gdzie się ma formować na nowo.

Chory już od listopada komendant baterii chorąży Gliniecki wyjeżdża na urlop, a do baterii przydzieleni zostają chorążowie Maciejowski i Gosiewski z rozkazem wyjechania do Wiednia po nowe działka. Jakoż otrzymują je 20-go grudnia w Feliksdorfie, gdzie na strzelnicy odbywają się ćwiczenia w ostrem strzelaniu, poczem 7-go stycznia wyjeżdżają z niemi do Nagy Szölles na Węgrzech. Tu dopełnia się braki w koniach, organizuje ostatecznie baterię i 13-go stycznia następuje wyjazd wraz z kapitanem Jełowickim pod Kirlibabę, gdzie wraz z grupą Legionów pułkownika Zielińskiego, wśród szalonych trudności zajmują 19-go pozycję...

Sami, dla braku celów, strzelają wcale mało, ale zato dostają się pod silny ogień artylerii rosyjskiej przynoszący im pierwszą szkodę, dziurę... w kożuchu jednego z artylerzystów.

Dnia 21-go lutego staje bateria w Śniatynie i stąd z Legionem idzie do Horodenki, Gwoźdźca i Ottynii.

Dnia 24-go bierze udział w bitwie pod Bratysowem, a 25-go idzie do Niżniowa, gdzie wypadło stać dni kilka...

By więc czas jakoś pożytecznie spędzić, chadzają sobie z armatkami aż po Horyhlady i wystrzeliwują Moskali granatami, czasem sami, czasem zaś z karabinem maszynowym chorążego Siczka, co

zwało się już „polowaniem z nagonką“, przyczem rolę nagonki grała artylerya.

Urządzano zaś tę rzecz w sposób taki. Na wieży przy moście kolejowym ustawiał się karabin maszynowy, poczem stojące dołem „ekwadorki“ zaczynały bić w chałupy granatami... Wypłoszeni tymi strzałami Moskale — przeważnie kozacy — wybiegali z chałup i zaczynali uciekać widni jak na dłoni. Wtedy, dalejże w nich karabin maszynowy, co oczywiście musiało mieć zawsze zgoła opłakane skutki.

Trwała ta zabawa czas dłuższy zanim spostrzegli ostatecznie Moskale, jak się to wszystko robi. Wówczas przepłoszyli i oni naszych, straciwszy jednak poprzednio — jak później jeńcy opowiadali — kilkudziesięciu ludzi.

Tak i podobnie zabawiano się codziennie, aż do 4-go marca, kiedy przez Klubowiec wymaszerowaliśmy dalej, by już 5-go stoczyć bitwę pod Jezierzanami.

Zaczęła ją ostrzeliwaniem lasku bateria Gosiewskiego. Dostreśli ją Moskale i zabrać chcieli. Na próżno jednak. Jak niespodziewanie bitwę zaczęła, tak i chyżo, bez strat najmniejszych się wycofała, by już na drugi dzień w bitwie pod Korolówką spisać się znów dzielnie jak zwykle. Dnia zaś 7-go marca z doskonałej pozycji na Łysej Górze wystrzeliwa „sobie“ jak najdoskonalej kozaków pod Bortnikami..., a już w dzień później na... patrol idzie.

Poszła z majorem Januszajtisem, który cały batalion na wywiad prowadził. Z baterii poszły zaś dwie armaty i obsługa. Wzięli jeszcze dziesięciu z piechoty jako osłonę i gdy doszli pod same placówki rosyjskie, dopieroż armatki nasze granie rozpoczęły!

Rezultat: wieś momentalnie a gruntownie z Moskali opróżniona, co patrol pieszy miał sposobność stwierdzić.

Nazajutrz ponawia bateria to samo przedsięwzięcie, z rezultatem jednak o tyle doskonalszym, że nie tylko przepędza ale i rozbija kolumnę piechoty oraz i kozaków.

Dnia 21-go marca zajmuje bateria pozycję w Tarnawicy Polnej, w okopach odległych od Moskali o jakieś pięćset do sześciuset kroków. Rozdzieliwszy się na dwa plutony odległe od siebie o parę kilometrów tkwią tu aż do 12-go kwietnia nasze „pieski“ i „kaskają“ od czasu do czasu zjadliwie...

Stąd, złączywszy się, wyjeżdża bateria do Czerniawki, gdzie tymczasem, po reorganizacji pułków, znalazła się już druga Brygada.

Tu pół baterii staje zrazu w Gromestie, a drugie pół w Bałamutówce, lecz już 27-go kwietnia łączą się na Kordonie Rozdorożnym i są codziennie w ogniu aż do 12-go maja.

Następuje odwrót nasz za Prut w dniach 12-go i 13-go maja...

Odtąd, aż do 7-go czerwca bateria nad Prutem, przy pułku trzecim stoi, postrzeliwując czasem zlekka, aby wreszcie wraz z całą Brygadą, przy nowej ofensywie, ruszyć w bój, linią tyralierską, ramię w ramię z piechotą Legionu...

Łużany, Witelówka, Zadobrówka, Rokitna — oto walk tych etapy... W bitwie pod Rarańczem, 17-go czerwca — gdzie wzięto do niewoli 1020 jeńców — przy każdym niemal ataku udział artylerii bywał nieoceniony tak jak jest nim zawsze, boć „ekwadorki“

nasze to tyralierskie, lekkie, ruchliwe i w piechotnym boju choć małe, lecz straszne armatki.

A dziś? Dziś to samo. Leżymy sobie na pozycyi i zrzadka strzelamy, a „mörsery“ także puk! puk! biją od czasu do czasu...

Nie lubią ich Moskale i nie dziw — bo jak jeńcy mówią — duże straty im zadają te małe, a przecież w tyralierskiej walce tak straszne i kąśliwe granaty i kartacze...

SZESNASTY SIERPNIA 1915 R.

Rok minął...

Dziś właśnie — rok temu — ziścił się sen cudny... armia polska, pierwsza od pół wieku z górą... Manifest zjednoczonych stronnictw, zbratanie niechętnych, entuzjizm powszechny...

I poszli wówczas w Legionowe szeregi wszyscy, pieścący sen ten w piersi od dziecka. Zaczął się wyraj niesłychany — ciągnęli do Krakowa wszyscy którzy mogli... Szły Związki strzeleckie od Sącza i Sambora, od Przemyśla i Podhala, szły drużyny wadowickie i borysławskie, spieszył Sokół od Tarnowa i Rzeszowa, i Bartoszewcy spieszyli w pojedynek... Przyjeżdżali, meldowali się, w Oleandrach się kwatrowali — i stąd szli dalej na ćwiczenia, na naukę rekruta — aż powoli w Brygadę urosli, w drugą Legionów Brygadę.

A potem bić się poszli... I odtąd to rok cały z karabinem w garści, z tornistrem na plecach

„Jakoby pielgrzym wpatrzon w słońca złoto,
choć ze znużenia słania się i pada
idzie swym szlakiem z wieczystą tęsknotą
druga Brygada“ *).

Idzie i walczy — spełnia „przysięg rotę“ — i gdy rok mija... gdy święto w kraju, święto to w polu ją

*) Józef Englicht: „Duma o drugiej Brygadzie Legionów polskich.

zastaje z palcem na cynglu, czujną wiecznie i wiecznie gotową — a w kraju z tymi jednoczoną co wierzą, co wiary nie stracili ducha!

I z tymi razem święto narodowe święci, z nimi się łączy — w obchodzie.

Obchód narodowy w polu!... Jakież to inne, jakież mocne i zgoła odmienne od tylu przeżytych rocznic, od tylu świąt i uroczystości, jakie obchodziliśmy tam w kraju, temu rok i więcej... gdy miasta się w chorągwie stroiły a na ulice pochody szły krasne, piękne może, lecz czasem z „oficyalności“ swej aż nieco bezduszne... Tu wszystko było inaczej, prościej, a tężej jakoś zato i goręcej.

Pod obce rzuceni niebo, dzień w dzień z nieprzyjacielem oko w oko, z bronią o broń niemal zwartą, z tęsknotą co żalem pierś rozpiera a żywi nadzieją jutra — obchodziliśmy rocznicę sierpniową, my tu pod Rarańczem, na skrajnem skrzydle, na wschodnim skrawku Bukowiny eksponowana karpacka Brygada. Obchodziliśmy ją jak żołnierze prosto, surowo, tem piękniej.

Najpierw był rozkaz krótki komendanta Brygady pułkownika Zielińskiego:

Rozkaz Komendy II. Brygady Legionów Polskich.

„Dnia 16 b. m. o godzinie 10. rano w kaplicy rzymsko-katolickiej w Rarańcu na cześć utworzenia Legionów przez zjednoczone stronnictwa polskie odbędzie się uroczyste nabożeństwo.

„W uroczystości tej biorą udział wszyscy oficerowie i chorążowie sztabu Brygady, po 3 oficerów 2 i 3 pułku piechoty wyznaczonych przez Komendę pułku, po jednym oficerze z każdej baterii, 1 oficer

z półkompanii saperów, wszyscy oficerowie i chorążowie kawaleryi.

„Obydwa szwadrony, oraz żołnierze ze sztabu Brygady wolni od służby sformowani w dwa oddziały biorą udział w nabożeństwie.

Dnia 12. sierpnia 1915 r.

Zieliński, pułkownik“.

Niezależnie zaś już od planu i rozkazu przyszła rewia wojskowa, przegląd pół-batalionu, w dniu tym, niemal w rocznicę początku walk naszych przybyłego tu do nas z kraju, z pod Piotrkowa, z Kamieńska, na wzmożenie kadr naszych, na nowe trudy bojowe.

To świętu splendoru dodało i jakby jakąś wróżbą pomyślną się stało.

Obchód odbył się rano... Dzień uroczysty, po kilkudniowych deszczach wyjątkowo pogodny zaczął się — jak zwykle — ogniem armatnim grzmiącym dziś niby salwy honorowe oddawane świętu naszemu... Grzmiały i huczały na wiwat niby, armaty, a w odgłos ich, w rozgwarze dziennym mieszało się co chwila niepewne karabinów postukiwanie.

To było na pozycyi, gdzie szary żywot strzeleckiego rowu ani święta nie zna ani wypocznienia.

We wsi zaś tymczasem zaczęła wypełniać się zwolna kapliczka ciasna, drewniana, skromna — jak skromna i uboga jest garstka tutejszej polskiej ludności. Przybył więc naprzód sztab Brygady, z komendantem pułkownikiem Zielińskim na czele... przybyły deputacye obu pułków, drugiego i trzeciego po trzech oficerów z podpułkownikiem Januszajtisem, przyszły deputacye przydzielonych nam oddziałów — garść austriackich oficerów — a wreszcie strojno i zbrojno

z chrzęstem i brzękiem wmaszerowały oba szwadrony kawalerii — dywizyon cały — z rotmistrzem Brzezińskim na czele — a za nimi sztabowy mały oddziałek, piechoty. Gdy przyszedli i ustawili się w kościółku wypełnionym do reszty polską ludnością wioski stanął u ołtarza kapelan ks. Antosz — i mszę świętą, cichą, lecz nastrojem dziwnie uroczystą odprawił.

Po mszy zaś kazanie, jedno z tych prostych a mocnych kazań polowych, żołnierskich — których zarówno w zaciszu świątyni, jak i przy bliskiej a huczącej od strzałów pozycyi słucha się z dłonią na szabli i z myślą biegnącą przed tron Najwyższego...

Mówił więc kapelan o onej niewoli żydów babilońskiej, o czasach owych kiedy to „Hieruzalem, miasto Izraela święte Nabuchodonozorowe zburzyły hordy“ a naród wybrany po siedmdziesięcioletniej niewolniczej ekspiacyi doczekał się wyzwolenia“...

...Taksamo „dziś my, legionowi żołnierze po całorocznych przebytych znojach, hardo patrzymy w przyszłość. Dziś, gdy po naszych świątyniach i na publicznych zebraniach jedno rozbrzmiewa życzenie: „W imię Boże, Legiony — naprzód“!, dziś i my także, tutaj na besarabskie granice rzuceni bojów zawieruchą, modlitwą i czynem łączym się z narodem, że „pro Deo et patria“

aż do ostatniej kropli z żył

Będziemy bronić ducha,

Aż się obróci w proch i pył

Moskiewska zawierucha.

Twierdzą nam będzie każdy próg —

Tak nam dopomóż Bóg!

Skończył ksiądz słowa kazania i od ołtarza odszedł — lecz długo jeszcze biła mocno pieśń ponawianej przysięgi o niski strop kościołka...

A gdy i ona zamilkła i zcichła, gdy ostatnie przebrzmiało jej echo — zwróciły się oddziały i na pobliski pomaszerowały cmentarz... do tych co odeszli, którym nie danem było dożyć tej rocznicy, lecz życie młode Ojczyźnie w ofierze na bukowińskich przypa-dło złożyć polach....

Zatrzymał się sztab przed grobami — a wzdłuż nich przedefilowały szwadrony i piechota... hołd składając tym co polegli... ułanom Wąsowicza z rokitniańskiej szarży i żołnierzom z okopów Rarańcza, od których mogił krzyk miłości płomiennej idzie do Ojczyzny, a cichy odzew w serca towarzyszków broni...

I znów pieśń popłynęła — nie żałobna, a wojenna, pieśń jak oręż dzwoniąca i nadziei pełna, pieśń o Tej która „jeszcze nie zginęła“ i piosenka ułana buńdzienne z tą niezapomnianą pogrzebow rycerskich zwrotką:

Śpij kolego w ciemnym grobie
Niech się Polska przyśni Tobie!

A tymczasem opodał, o kroków kilkadziesiąt, w twardym marszu wchodził na wielkie błonie wioskowe nowy, do walki gotów, wsłuchujący się pilnie w nadlatujące od wzgórz na horyzoncie armat granie — oddział Legionu. To nasi goście piotrkowscy i broni towarzysze od dziś dnia. Z niedalekiej Sadowgóry przemaszerowawszy z pieśnią na ustach, teraz zgrabnie jako półbatalion w masie stanęli — w takt marszu na dźwięk komendy formując się sprawnie...

Dzieci to lwowskie... z tych, co gdy zaledwie pierzchła przemoc rosyjska w cywilnych jeszcze ubraniach, ale już z bronią na ramieniu do „miasta Legionów“ do Piotrkowa pospieszili... Dziś zaś, w miesiąc parę — przyszli już do nas umundurowani, wyekwipowani. żołnierz w żołnierza, z pragnieniem dorównania tym, którzy w roku walk starym, ostrzelanym zdążyli stać się żołnierzem...

Stanęli na błoni u bronią u nogi i czekają — cierpliwi, spokojni — jak mur! Czekają aż przyjdzie do nich wódz Brygady i pod swoją ich weźmie komendę...

A od cmentarza ukazują się tymczasem oddziały. Na przywitanie gości idą. Za nimi pułkownik Zieliński i sztab Brygady... Chwilka — a przed frontem ich stanie. Rzucają raz jeszcze wzrokiem oficerowie na swoje oddziały, komenda pada, broń chrzęści, pręży się żołnierz i czeka...

Ba-acz-ność! Cisza i w nieruchu skamieniał batalion...

W prawo-o patrz! Zwracają się głowy, i twarze zastygłe, spokojne.

Komendant transportu składa raport... Krótko, sucho, treściwie... Mówić skończył — wita się z nim podaniem ręki pułkownik, żołnierzy bystro przez chwilę niedługą przegląda — i wreszcie wśród nich stanawszy wita ich przemową krótką, której każde słowo jak komenda, a treść jak rozkaz: Sztandarów Brygady godnymi się stać! Sławę jej nieść! Żołnierzem polskim być!

Skończył swe słowa pułkownik, kapelan krótko przemówił, absolucyi „in articulo mortis“ udzielił — i w chwil niewiele uroczystość przyjęcia, a zarazem

najpiękniejszy akt naszego sierpniowego obchodu — skończony. Zdala zaś od pozycyi przygrywały jej armaty rosyjskie i nasze..., z pieśni swej mocarnej tworząc rytm, w takcie którego półbatalion rozdzielony ruszył przez wieś drogą, na widne zdala pozycye, by brać jeszcze w dniu tym samym chrzest ognia.

I wziął go — staremu żołnierzowi dotrzymując placu. Nazajutrz na cmentarzu Rarańcza mogiłkę skromną usypano, mogiłkę, w której na spoczynek wieczny legł pierwszy legionista z nowego lwowskiego oddziału...

A oficerowie Brygady w dniu tym obchodu wysłali Naczelnemu Komitetowi Narodowemu pismo następujące:

„W rocznicę zjednoczenia stronnictw polskich, a zarazem zespolenia organizacyi militarynych, odrodzenia wojskowości polskiej i utworzenia Legionów, oficerowie II Brygady, zgromadzeni celem uczczenia tej ważnej chwili w dziejach, ślą Naczelnemu Komitetowi Narodowemu wyrazy głębokiej czci i podzięk za wskrzeszenie idei Legionów, której wiernie na dalekiej ziemi służyliśmy i przy której nadal niezłomnie stać będziemy“.

Tak, na pozycyi, zdala od kraju obchodziliśmy sierpniową rocznicę, po żołniersku, prosto, zgodni w jednym, że zadaniem naszym obowiązek spełnić — do ostatka...

POŻEGNANIE PUŁKOWNIKA.

Szły od dłuższego czasu między oficerami i żołnierzami naszymi domysły, że pułkownik Zieliński, który wyszedł był z Brygadą pod jesień minionego roku z Krakowa, w niedługim czasie nas opuści...

Rozżalały się tą wieścią serca żołnierskie, bo przecież smutno pomyśleć było, iż po tylu, tylu innych i nasz „stary“ od nas odejdzie. Ale nikt bardzo opowiadaniom wiary nie dawał. Nie może być — mawiano — by Zieliński nas opuszczał i pozostawiał samych, od kraju dalekich, na tem skrajnem armii skrzydle, gdzie tylko step, jary, drut kołczasty i do Polski wytęskniona droga...

A jednak możliwem to było... W kilka dni zaledwie po narodzinach wieści smutnej, akurat w sierpniową rocznicę, z ust samego pułkownika padło jej potwierdzenie nieodwołalne, stanowcze: „Iść muszę — mówił — nie tu po mnie, gdzieindziej potrzebniejszy jestem“... Tak rzekł i cisza się zrobiła milczenia wymownego, nazajutrz zaś wiadomość smutna po okopach gruchnęła, żołnierz żołnierzowi ją podawał — i żał szedł, bo „któż po pułkowniku ojcem nam tu będzie“?

A pułkownik tymczasem obowiązki brygadiera pełnił, aż do oddania służby powracającemu w dniach najbliższych pułkownikowi Küttnerowi. W przeddzień raz jeszcze na pozycję, w te okopy nasze, w których tygodnie między żołnierzami spędził poszedł, do tych



Major Norwid, kapitan Zaleski w okopach w Rarańcu.

żołnierzy z którymi miesiące całe trud i znoje znosił, z którymi w pierwszym szeregu na wroga szedł, między kule i szrapnele.

I zebrali się w kwaterach komendantów pułków, u podpułkownika Januszajtisa i u majora Norwida — zastępującego nieobecnego narazie majora Minkiewicza — oficerowie z pozycyi całej, by oto raz jeszcze zobaczyć się i pożegnać z wodzem ukochanym...

A on ich kolejno w objęcia brał i całował ich, orlęta młode, pod wzrokiem jego bystrym wuczone w loty górne i w sztukę, jak na wroga nagle spaść, jak się bronić, jak gromić, a jak łup brać i sławę wojenną... Tak żegnał pułkownik tę drużynę swoją wybraną a wierną — po nich zaś prędko — bo lży mu mówić nie dały — żołnierzy tych co wyszli w okopy, by „choć raz jeszcze pułkownika swojego zobaczyć“.

W dniu tymsamym wieczorem pożegnali pułkownika na kwaterze swej, w starem dworzyszczu polskiem, noszącym jeszcze ślady najazdu rosyjskiego, oficerowie dywizyonu kawaleryi naszej — a nazajutrz w dworze tymsamym odbyło się pożegnanie piechoty — śniadanie wojenne a pożegnalne, gdzie nie przyjęcie i nie zastawa, a serca szczere są wszystkim, gdzie nie z oratorskiego kunsztu a z miłości głębokiej płyną słowa kochania pełne i żalu w dzień rozłąki.

Na pożegnaniu tem ujrzeli się wszyscy, którym służba na to pozwalała, których niezbędny obowiązek nie trzymał w okopie w znoju codziennym. Z pułków przybyły przeto deputacye tylko.

Przybył więc podpułkownik Januszajtis pierwszy — pożegnać tego, który mu ojcem chrzestnym był rycerskiego żywota i od początku miłością go otaczał.

Potem przybywali kolejno, po dwóch, po trzech, inni — wypełniając gwarem i szczękiem oręża a ostróg po-brzękiwaniem sale i ogromną sień staroszlacheckiego dworu, zdającego się wsłuchiwać w zdumieniu cichem w ten szczęk orężny i rozgwar rycerski, jakiego od wieków nie słyszał już hyba.

Przyszeli więc szef sztabu kapitan Towarek, rozkazem niedawno do nas przydzielony, a wsłuchujący się wieczorami w rozmów oficerskich odgłosy sprawiające, iż swojo mu wśród nas i dobrze było, bo młodość pod Krakowem spędził.

Przyszeli dalej kapitan Zaleski, batalionu pierwszego w pułku trzecim komendant, jako majora Norwida zastępca.

Przyszli inni... Każdy prawie z imieniem zapisanem już głoskami złotemi, każdy niemal młody, a każdy dzielny. Więc porucznik Dziekanowski, o wyglądzie starego wiarusa wojennego i zagończyk, z tych, co to im żartem „znagła wpaść na karki, rąbać szablą, grzmieć“... Niema już janczarek, niestety!

A za nim podporucznik Tarkowski, umiłowany przez żołnierzy za brawurę, z jaką wśród kul chadza i chorąży Papeć, grający z równem zamiłowaniem na karabinie maszynowym, jak i na harmonii w okopie, w długie jesienne wieczory. Z nimi podporucznik Thomson i adjutant podporucznik Krzyski i naszej w siedzibie Brygady żandarmeryi polowej szef chorąży Iwanowski... Przyszeli chorąży dr. Walter, w udatnej góralskiej mowie witający pułkownika, któremu aż oczy się śmieją do tatrzańskiej gwary i przyszli w opiętych zgrabnych mundurach, z brzękiem i szczękiem oficerowie kawalerii, z niskim, krzepkim a barczystym, jak

z ciosu wykutym dywizyonerem swym rotmistrzem Brzezińskim...

Z nim Kordecki, porucznik o skroniach przyprószonych siwizną, srebrzącą się przez włos ciemny, ale z sercem młodem i gorącym — a za nimi podporucznicy Borkowski i Rolecki oraz chorążych paru... „Mistrz“ Janowski, artysta-malarz a legionowy chorąży w kąciku fotel jakiś uchwycił i usiadł na nim jakby szkicuując w pamięci obraz barwny, na którego przód wysunęli się legionowi lekarze, wśród nich pułkowy lekarz „wujko“ dr. Majewski, którego nikt jeszcze chyba naprawdę złym nie widział i dr. Loth, zurychskiej sokolowojskowej drużyny jeszcze w 1902 roku organizator, oraz młodszy rangą, dr. Bujalski z kawalerii dywizyonu i dr. Pawłas, Brygady sanitarnej fotograf jakby zawodowy, z lekarzem pułkowym drem Stefanowskim, który wszystkim dosłownie nad głowy wyrósł...

Przyszli oficerowie i urzędnicy armii porucznik artylerii Glaser, pionierów porucznik Pokorny, szef sanitarny dr. Lerincz, intendant Roszkota i poczty naszej polowej kierownik oficynał Bier.

A z naszych jeszcze „tata“ Przepiliński, który był w swoim czasie z rzetelną śląską kompanijką przyszedł, ale że mu zdrowie nie dopisywało pomiędzy „prowiantery“ iść musiał i od wojny początku jako porucznik im szefuje. Dalej podporucznik Giżycki, oficer prowiantowy w batalionie trzecim pułku trzeciego, przeżyliwujący jakby to z powrotem do linii się wybrać. Przybył chorąży Remin, który ongiś San regulował, pod Mołotkowem karabin dźwigał, a teraz w pułku rachunkowym jest oficerem i podporucznik dr. Szalit, który tu z batalionu kapitana Galicy jeszcze ze Śląska przy-

szedł — i wielu, wielu innych jeszcze, którzy wszyscy niemal podzieliwszy z pułkownikiem trud wojny całorocznej przyszedł dziś podzielić i ten „bankiet“ ostatni pożegnalny przy stołach zastawionych w podkowę, nad której miejscem honorowem, skromnym kunsztem nakreślony orzeł polski otoczony zielenią i cyfry pułkownikowskie wyblęśły...

Tam usiadł pułkownik Zieliński, podpułkownika Januszajtisa i kapitana Zaleskiego przy sobie mając. Wokół zasiedli inni — i rozpoczął się „bankiet“, ten bankiet polowy o którym niewiadomo nigdy czy następny, choćby nazajutrz odbyty już grono to samo skupić zdoła...

Ale nie znaczy to, by bankiety nasze tak rzadkie, miały być dlatego smutne. Przeciwnie — żołnierz tylko chyba jeden wie, co to jest radość życia — i dlatego nie popsuje jej ani sobie, ani żegnane-mu jakimś gestem smutku, choćby ból serce rwał i wytrysnąć chciał wszystkimi porami duszy...

Więc i ten, zacząwszy się żartobliwą mową podpułkownika Januszajtisa przetrwał pogodnie do końca, wybuchami pieśni urozmaicony, owiany serdeczną dla żegnanego życzliwością, wśród mów wielu — boć to polski przecież był bankiet i w polskim obozie.

Najpiękniej oczywiście a z serca, przemówił sam pułkownik w czasy przenosząc się minione, dziś dla nas już historyczne, które sam przeżył — i których... w zwierciadle dziejowem odbicia się dożył... Jakby zaszumiał cicho bór i jakby obozy odżyły powstańcze, gdy w ciszy głębokiej zaczął mówić wódz nasz o tem, jak to w roku sześćdziesiątym trzecim ojca jego, powstańca zabrali rosyjscy żandarmi.

„Pragnieniem mojem — mówił pułkownik — była odąd walka z caratem, ta walka za którą tak tęskniło każde serce polskie... I czekałem na tę walkę lata całe... Przesłużyłem lat trzydzieści ośm w armii austriackiej i oto wtedy, gdy kres mej służby przyszedł, ale dla mnie już za późno niestety, bój ten wybuchnął... Poszedłem jednak mimo to do Legionów i tu z wami, w rok niespełna żyłem się tak, jakbym nie tych miesięcy parę, ale życie całe w waszem gronie przepędził... Dziś odchodzę... w chwili tej was starszych zaklinając: wodzami bądźcie!... Wtedy, gdy ja tu przyszedłem, nie z brawury a z konieczności trzeba było być zawsze w pierwszym rzędzie, każdy pluton, każdą niemal sekcję ustawiać, prowadzić. Dziś się już to wszystko zmieniło... Dziś legionista każdy wie co mu czynić wypada. Dziś wystarczą tam dowódcy plutonów... Wy zaś najstarsi nad całością czuwajcie i tej całości strzeżcie, bo to skarb w ręce wasze złożony“...

Kilka jeszcze słów pożegnalnych, kilka rad dobrych — i zakończył przemówienie swe pułkownik, po którym porucznik Mężyński naszkicował krótko a jednie ową gamę uczuć, jaką przeszedł Legion w stosunku do pułkownika od początkowej obawy przed zbyt srogim — jak się zdawało — i niedostępnym wodzem, aż do uwielbienia, ukochania i czci jaką go otoczono jako ojca Brygady.

A potem przemawiali jeszcze inni: podporucznik Szalit, kapelan ks. Antosz — i chorąży dr. Walter po góralsku, jakby „reluton“ z góralskiej kompanii żegnający gazdę-pułkownika:

„Kohany — prawil — pułkowniku! A kie ku in-

nemu gazdostwu odchodzis, i jo Józek Gąsienica odezwie się, ku Tobie Ojcie nas kohany! — Posłuchaj pytom Cie Gazdo nas siumny:

Sedem z kompanijom swojom ku gorom, ku Kirli-babie. Mróz okrutny. Idziemy. I Kirli-babek przesłał i za Moskolami ku nasy ziemi, ku Galicyji sedek. Idem dzień, dwa — nogi bolom, — gowa... ze Jezu! I juzek się myślał „marod“ meldować... Ale jakoz to. Gazda idzie; idzie nas stary pułkownik, idzie kohany choć mróz pod nogami pisci. On idzie... a jobyk nie seł, s nim kohanym gazdą? I Bukowinek całom przesłał s Tobą Pułkowniku i tu się przed Tobą posłusnie stawiom, by Ci z serca samygo rzeknąć, że tak jako jo Cię kohom i sitkie hłopy od tatrzańskich hal kohajom Cię.

A kie ku innemu gazdostwu odhodzis — nase staropolskie Scęść Boze niech idzie s Tobom syrokiem hal taterskich ehem“!

Tako rzekł — szklankami się na cześć pułkownika trącili — i na tem bankiet skończono.

Wieczorem zaś odbyło się jeszcze pożegnanie u komendanta Brygady pułkownika Küttnera, a nazajutrz 25-go sierpnia w południe, pluton honorowy piechoty przed bramą komendy pożegnał pułkownika wsiadającego do powozu, by udać się na nowe stanowisko do Piotrkowa. Za nim zaś kawalkatą poewąlowała grupka oficerów kawaleryi i piechoty, by do najbliższej wioski odprowadzić, uwożącego z pozycyi skarb — jaki mógł najdroższy — miłość całej Brygady żegnającej w nim nie tylko wodza, ale i ojca... Bo istotnie ojcem był nam pułkownik Zieliński.

WIEŚ Z A P O Z Y C Y A.

Za pozycyą leży wieś. O dwa kilometry od linii bojowej... We wsi rozgościły się nasze kuchnie polowe i treny, a od wsi ku północy biegnie droga, którą codziennie na wzgórek wlecze się wozów szereg długi. Rano, w południe, wieczorem.

Wieś Rarańcze jak wszystkie tu, rozsiadła się na stoku wzgórza zielenią drzew ciemną z przebłyskującą białością chat odbijając od jaśniejszej runi pól... Przecina ją jedna prostopadła do długości ulica, a wszczegółakami od obejścia do obejścia biegną uliczek dzieśiatki. Te się jednak nie liczą. Dla nas najważniejszą jest ulica środkowa, przy której po obu stronach rozłożyły się wozy i kuchnie wszelkiego autoramentu, zgrabne trzykociołkowe „kanony gulaszowe“ i kotły jak janczarska przeraźliwa jakaś kapela w swej jeździe dzwoniące.

Tu dzień cały trwa ruch. Na placu koło drogi odbywają się „fasunki“, kolumny wozów zajeżdżają długie, z pakami, paczkami, beczkami od najmniejszych do olbrzymich rozmiarów i chleba bochenków wioząc tysiące. Tu przy drodze strawa się warzy, a potem drogą jeździ na pozycyę.

Gdy wozy wyjeżdżać zaczynają, ruch jest we wsi i dzwonienie... Zaczyna się to od cerkiewki drewnianej, gdzie się ten żywot kuchenno-gospodarczy koncentruje i ciągnie się sznurem ku pozycyi, gdzie tabliczka

małeńka oznacza, że dotąd, a nie dalej kuchniom jechać wolno.

Lecz czasem... kuchnie jadą dalej, ryzykując szrapnel jeden lub dwa i odwrót pospieszny.

We wsi natomiast nie im nie grozi. Choć niedawno inaczej było... Raz próbowali Moskale w dojeżdżające kuchnie szrapnelami — ale pokazało się, że za daleko dla nich. Potem była czas jakiś niedługi cisza, aż rankiem dnia pewnego padły z aeroplanu bomby. Wszystkiego — na kuchnie — raz jeden, i bez szkody, ale wtedy odrazu z pod cerkiewki w obejścia pochowały się jadalodajnie nasze, wozy się przebijacznie w wierzbine umiały i chyba już najsprawniejszy lotnik niczego nie dojrzał.

A lotnicy latają tak często... Zrazu był tylko jeden aeroplan i to rosyjski. Przylatywał do nas od wschodu i leciał zazwyczaj wysoko... W brzęczeniu, w szumie ukazywał się jakby ważka czteroskrzydłowa, brudno-szara i leciał nad pozycję witany salwami, wśród których wzbijał się jeszcze wyżej.... Gdy mu zaś dość już tej strzelaniny było skręcał nad wieś... próbując lotów mniej górnych, mniej chmurnych. Ale i stąd płoszyły go nowe strzały, wracające często z powrotem — choć nieszkodliwie — w sady i obejścia...

I tak płynął nad nami ten rosyjski ptak od tygodni, co wieczór ten sam, bez przeszkody... Aż raz z naprzeciówka ukazał się ptak drugi, szybszy i zwinniejszy. I zaczął się pościg, w którym oba zniknęły nam z oczu, a odtąd i rzadziej i nie tak już punktualnie krąży nad pozycją i nad wsią aeroplan rosyjski...

Zato częściej i bliżej — jakby skrzydłami chciał muskać ziemię, biorąc ją w swoją opiekę — widzimy la-



Nad Prutem: kuchnie polowe.



Nad Prutem: karabin maszynowy w lesie.

tawca austriackiego jak leci nad pozycję rosyjską... Złocisty, błyszczący w słońcu. A wtedy tam znów, z ich strony salwy grają. I przed i za i obok dumnego ptaka wykwitają niby kwiaty białe na błękitnej nieba łączące dymki szrapnelowe, które wiatr potem niesie i jak puch rozwiewa.

A nazajutrz znów do nas królewski ptak latawiec powraca i znów nad wsią niskie, a zaraz za nią coraz wyższe kręgi zatacza.

We wsi zaś tymczasem bez przerwy, od tygodni, od miesięcy życie takiesamo... Tyle tylko, że ponieważ tu komenda Brygady — to czasami odwiedziny się zdarzą wysokie... i skromna uroczystość polowa... albo i w kapliczce polskiej msza żałobna, gdy na cmentarzu jedna lub więcej mogił przybędzie...

Bo tam za wsią, na pozycyi nie ustaje praca.

Tam kule wciąż świszczą i szumią granaty. Tam szrapnel pęknie i zdarzą się ranni... A wtedy ku wsi jadą zwolna wozy. W dni zaś kilka wyrasta mogiłka żołnierza... Sporo ich już, a żółtością gliny, jak kwiaty jaskrawe na starym wykwitają cmentarzu...

To kiedyś po nas pamiątka będzie — ten cmentarz za wsią drzewami zarosły i szumiący z cicha, w krwi bohaterskiej dostojność strojny, na którym rok temu pierwsze wojenne wyrosły mogiły. Dziewięciu Austriaków i Rosyan jedenastu zgodnie obok siebie spoczęło... Potem poszła wojna dalej — i zgieł przycichnął wojenny, aż w rok zerwała się burza nad wioską na nowo. Pierzchł najeźdźca — a za nim armaty grały nasze i piechota szła, przez wieś zaś ułanów naszych przeleciały dwa szwadrony.

Dwa dni ich tu nie było — we wsi mówiono, że

młodzi byli i piękni... Śpiewały dziewczęta pieśni, o tych co poszli w sławie rycerskiej gdzieś hen na kraj świata i nigdy nie wróca. A oni wrócili tymczasem. Nie strojni już i nie zbrojni — nie konno lecz w trumnach powrócili białych.

I grobów wykopano dla nich na cmentarzu piętnaście, dla nich, dla ułanów Wąsowicza z samym rotmistrzem na czele...

Nad grobami krzyżyki potem wyrosły małe i krzyż jeden wielki z orłem polskim w pola amarantach herbownych, napisem czarnym:

LEGIONISTOM POLEGŁYM W RARAŃCZU
KOLEDZY

i z drugim błagalnym:

OJCZYŻNE, WOLNOŚĆ RACZ NAM WRÓCIĆ PANIE!

z datą u spodu:

1915.

A potem już groby rosły i przybywały mogiłki — w dzień niemal każdy — po dwie bywało czasem i po cztery naraz, jako że tam w polu, że tam w okopach za wsią bił się żołnierz i padał z trudu codziennego, choć „na froncie był spokój“ a w kraju o walkach naszych cisza i niewiadomo, że tu krew polska tak hojnie zlewa ziemię...

Krzyże brzozowe rosły i rosły mogiły w kwiaty strojne żołnierską posadzone dłonią, lub w wiersz dumny i twardy jak ten na grobie ś. p. Talapki, lekarza-chorążego, który na pozycyi rycerską śmiercią legł:

„Bogata dajem wam spuściznę:
Dla Polski — ludów cześć!

Toż pamiętajcie tę ojezyznę
Wysokiem skrzydłem nieść“!

Takim jest cmentarz nasz we wsi obcej, przed cmentarzem zaś jest pole nieduże...

Tu w dni niedzielne ołtarz polowy staje i msza się odprawia święta przed krzyżem z drzewa białego prostym, jakim chyba ten był, na którym się ongiś przed wiekami zbawienie dokonało świata...

Dziś gdy wieki minęły i gdy świat się znów przez krew i mękę — nie Boga, lecz synów człowieczych, przez miliony zabitych, przez milionów cierpienia na żywot nowy odradza, przed takimże krzyżem tasama zawsze od wieków powtarza się ofiara...

I tu na polu Rarańcza krzyż staje... Dębów go liście i sośniny gałęzie owijają splotem — i mgła poranna wilgocią otula, a gdy wiatr świece gasi, światło niebios, słońce złote przez chmury się przedziera...

Stają przed krzyżem oddziały... kawaleryi szwadron, piechoty kompania, oficerów garstka, a z boku wieśniaczy lud prosty, polski lud tej wioski... Lecą czapki z głów i głowy się kłonią, a wargi tylko w szepcie drgają serdecznym i cichym, gdy żołnierz z swym Bogiem rozmawia... I gną się kolana, a salwy grzmia od pozycyi... niezbadanym wyrokom bożym i nowym dziejom ludzkości nowe torując koleje.

A tymczasem wieś żyje głośno, szumi, huczy i piosnka w niej dzwoni... a mandolina zeicha wieczorami brzęczy, z opłotków zaś śmiech leci i chichoty dziewczęce,... bo wieś teraz młoda, bardzo młoda... I życie w niej bujniejsze niż zwykle — i dłuższe, i noc

się później zaczyna schodząc w echach strzałów lecących tu od pozycyi — świadczących, iż tam... przed rzeką... czuwa straż, czuwa żołnierz polski, podczas gdy tu tyły naszej armii choć małej to zawsze zwycięskiej, tyły Legionu... w którym czy na froncie, czy za frontem żyje się całkiem inaczej niż wszędzie... bujniej, piękniej i młodziej.

K I N O W P O L U.

Jest we wsi za pozycją stodołka niewielka... słomą kryta, w podwórku na wzgórzu, mała, biedna szopa na ruskiem obejściu wieśniaczem. Widziała już wojnę i niejednego w tej wojnie zażyła. Kozacy w niej naprzód nocowali i splądrowali do cna, a potem... bawili się szeroko, aż z zabawy tej płacze po wsi szły i zawodzenia, wreszcie zaś odchodząc splugawili obrzydłe... by ślad po nich został i pamięć sobacza.

Potem my przyszlismy i długo stodołka pustką stała, aż raz żołnierze krzątać się zaczęli... Wyporządzili szopę do cna, ze szkoły pustką stojącej ławy wniesli i ustawili, wejść obok wierzei urządzili dwoje na dużej ramie płótno białe na cały prawie rozmiar ściany rozciągnęli, a naprzeciw niego coś jak pudło, jak klatkę dużą papą obitą przyczepili z zewnątrz, do otworu w ścianie wybitego....

I było gotowe — kino, sala kinoteatru polowego...

Do „klatki“ wprowadzono aparat dla projekeyi filmów z silną lampą acetylenową... i mogły się zacząć przedstawienia.

Jakoż zaczęły się. Poszedł z Brygady do pułków rozkaz, by na każde przedstawienie po stu przychodziło żołnierzy z pozycyi i odtąd suną z okopów co drugi dzień rano do wsi oddziałki na chwilę rozrywki — na moment przypomnienia, że oto poza wojną jest jeszcze i będzie życie inne...

Otwierają się wrota szopy na których już napisy są: „Wejście“ i „Wyjście“ podobnie jak na dachu olbrzymi, wapnem wymalowany napis „Kino“ — i wchodzi oddział do wnętrza...

Chwila jeszcze, a zacznie się przedstawienie, lecz choć przedstawienia niema, zabawa już się zaczęła... Żarty się sypią i rozmowy polowe, nie dworne. Coż chcecie? Gdzie tu dwornym być żołnierzowi... W błocie się tytla codziennie prawie, robactwo go gryzie a i śmierć mocna nierzadko zagładnie mu w oczy... Toć i on „mocny“ się zrobił, w słowach także...

Pogwarza se tedy głośno a żartobliwie i czeka, aż ściemni się sala — i płótno żyć zacznie miastowe przypominając uliczki i życie, albo ów przepych komedyi „z sfer najwyższych“, którego choć nie widział i widział nie będzie — to w lot do niego komentarz doraźny...

„Gra“ film — a „sala“ gwarzy i patrzy z dużą abominacją dla cywilności wszelkiej, z realnym zato podziwem dla wszelakiej piękności niewieściej... Film „gra“ i gra harmonijka przyniesiona z okopów... Czasem cichnie wszystko, bo oto naraz zaskarżyły się cicho melodyą walca zapomnianego, słyszanego gdzieś przed wiekiem — rok to było temu i coś jeszcze dziewczyno, gdyś z tobą w takt walca tego płynął... — skrzypce pod artystycznym dotknięciem skrzypka-relutona...

Walc płynie i obraz z filmu po ekranie sływa, eisza jest i zapomnienie... w które nagle od pozycyi wystrzałem całą realność bytowania żołnierskiego wpada.

Już po „nastroju“, ale film „gra“ i „gra“ bez koń-

ca... Kręci się korbka w budzie, obraz się zmienia po obrazie i żarty się sypią, a w nich gra się nieświadomie żołnierska „comoedia del arte“, na prozę pojęć prostych, wojną uproszczonych jeszcze bardziej przetapiająca „poezyę“ przepychu i wspaniałości burżuazyjnobogatego czy też książęcego, albo zgoła „serenissimusowskiego“ w życiu pasożytnictwa...

Potem tragedia, filmowa tragedia straszna zajęcie budzi... sądy o czarnym wywołując charakterze a współczucie dla niewinności uciśnionej... Boć jakże inaczej być ma, skoro ta niewinność taka piękna, taka uroczą i tak kuszącą... Rozezula się żołnierz i rycerski go popęd unosi — na krótko, bo oto filmu repertuar się zmienia i wiedza promieniami acetyleny w mózgi wciskać się poczyną, komentowana również zgoła różnie, z skalą pochlebności zależną od zamięłowań w życiu skłaniających się jak wiadomo zawsze ku leższemu pojmowaniu zagadnień „bytu i niebytu“, o których ostatecznie i jasne rozwiązanie na wojnie nieskończenie łatwiej niż w pracowni uczonego... Wystarczy przejść się na niektórą placówkę z parę razy...

Jeszcze kilka pokręceń korby, jeszcze parę taktów odzywającej się z kącika gdzieś, z samych szeregów widzów — bo u nas widz z własnej ochoty zmienia się w uczestnika — orkiestry kina pod własną batutą „sobie a nie komu“ wygrywającej melodye czy „kawalki“ — i przedstawienie skończone... P. T. Publiczność wysypuje się szybko z kina, bo oto u drzwi już nowa kompania czeka na wejście do rajy obiecanego...

Ktoś coś gwarzy, ktoś mędrkuje, ale kres temu wszystkiemu wnet komenda kładzie... Karabiny z kół na ramiona wędrują, a najszanowniejszy z P. T.

Gości znów w żołnierza się zmienia i zwolna, ciężkim krokiem przez wieś na pozycję, w okopy swe zmierza.

— — — — —

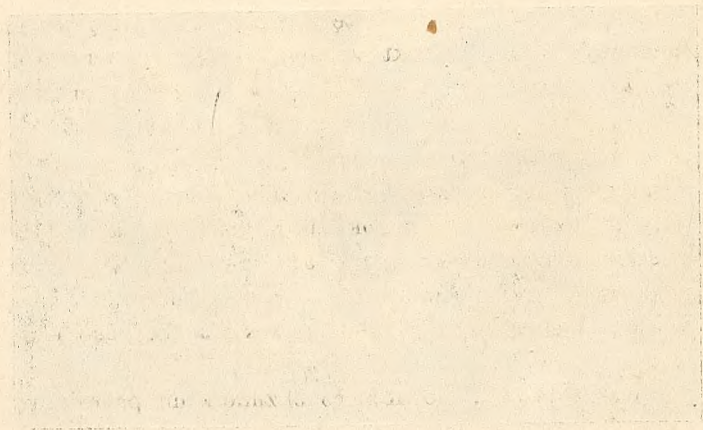
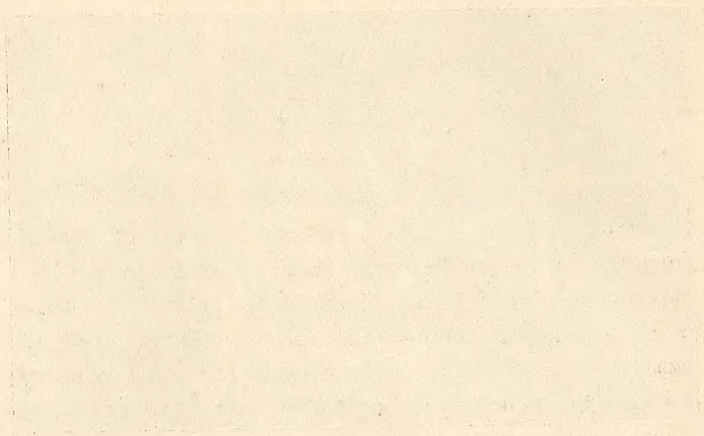
Takie jest kino nasze, kino II Brygady, o dwa kilometry za frontem położone, bajka zdawałaby się o „wilku żelaznym“, podziw dziś już całego korpusu — i rzeczywistość najistotniejsza, kpiąca sobie w żywe oczy z całego patosu wojny.



Rezerwy w ziemiankach.



Oczyszczanie bielizny z owadów.



PIEŚNI KARPACKIEJ BRYGADY.

Ponad pozycją zapada zmierzch... Złoci się jeszcze purpurą słońce zachodzące, cienie ścielą się po lesie bukowym, ptaki milkną i świst kul przycichł na chwilę, a armaty jakby nareszcie zupełnie się wygadały... Ciszsza robi się zupełna, spada zwolna chłód nocy letniej i rosa-orzeźwicielka. Zbliża się ku nam nieznacznie noc, cicha, pogodna, letnia noc...

I w takiej chwili zrywa się nagle od podłoża boru — gdzie stoją oddziały w rezerwie — gromka, niespodziana pieśń. Obok ziemianki ustawia się prosty, nieuczony chór. Jak stali, tak się zeszli — nawpół czasem ubrani, niosąc z sobą tylko bogaty przepych młodzieńczych, potężnych nieraz głosów i tę junacką, beztroską jakąś, zadzierzystą fantazyę, która chłopców naszych na wozie czy pod wozem, w ataku czy w obronie, w marszu czy na postojach, słowem nigdy i nigdzie nie opuszcza.

A z fantazyi płynie pieśń i dlatego też ona nigdy u nas nie milknie, dzwoni dzień cały to tu, to tam, nie tylko w rezerwie ale i w okopie najbardziej na pociski wystawionym... Czasem zamiar śpiewaka siły jego przerasta — podzwania więc piosnka i fałszywie nieco ale też często dzwoni w niej dźwięk szlachetnego kruszcza...

Pieśń dzwoni... ale dopiero o zmierzchu prawdziwe jej gody i często narodziny nowej, która od kompanii do kompanii krąży, bataliony, pułki oblatuje, czasem

na miesiące milknie, by znów kiedyś odżyć z łaski śpiewaka...

Bo pieśni nasze jak rodzą się z łaski Bożej — jak każda pieśń się rodzi — tak znów z łaski śpiewaków lub z niełaski ich giną. Ten już los pieśni, w narodzinach niepewny, a potem tryumfalny lub zapomnieniem skończony...

Był długi czas w Polsce, gdy pieśń żyć przestała... Zabiły ją operetki i kabarety, których okrucy — rzadko „perły rzucane“... biblijnie — zbierała ulica, tworząc waryanty, ale nie tworząc piosnki rodzimej... Boy i inni tworzyli, ale nie spopularyzowali piosenki hodowanej kunsztownie, dla kół szerokiej niezrozumianej, a czasem nawet i obrażającej ich uczucia...

Dopiero wojna piosenkę zbudziła na nowo do życia... a Legion szczególniejszą otoczył pieczę miłością. Do skarbcza starych sięgnął, wybrał przypadające mu do smaku, inne — niedawno jeszcze tak popularne, że nigdzie się bez nich obejść nie mogło — milczeniem poprostu pominął — i ten początek zrobiwszy dalej sam tworzyć począł...

Bo nie stworzą niestety piosnki naszej literaci, a nawet poeci. Żadna z ich piosnek — których z początku tyle powstawało, że łatwo by garścią nazwisk ich twórców rzucić — utrzymać się w sercach i umysłach nie zdołała. Piosnka musi wyjść z dołu — takie już prawo jej powstania... Autor jej musi być nieraz i pierwszym jej śpiewakiem, rym z melodyą związać, słuchacza porwać, zadziwić, ucieszyć, zachwycić, taksamo jak owi przedhomerowi śpiewacy greccy.

Tak powstają pieśni i piosnki Legionu... Nie ci, którzy pieśni swe na łamach pism i tygodników umiesz-

czali, nie ci, których imiona literacko dźwięk mają doskonały piosnkę naszą stworzyli, ale stworzył ją całkiem kto inny...

Wyrósł oto z Brygady legionista nieznany jeszcze do wczoraj, Mączka — z łaski Bożej poeta i dziś już piosenkarstwem obcy — wyrósł Szul, śpiewak par excellence legionowo-ludowy z oficerskimi szlifami — wyrosły dziesiątki innych po kompaniach i oto z ust ich popłynęła piosenka, zaśpiewana gdzieś nocą przy ognisku, lub w marszu takt utrzymać usiłująca.

Zaśpiewana raz, przeczeka, przycichnie, starszym siostrzycom grzecznie miejsce robi — aż ktoś, komu w jakąś strunę serdeczniejszą uderzyła, coś drogiego przypomniała albo zaśmiała się w duszy pogodnie znowu się o nią upomni...

Ano — zaśpiewajmy raz jeszcze!

I zrywa się piosnka powtórnie, gdy zaś do serc trafi, gdy ma w sobie „to coś“ co bierze i kochać zniewala, nie umilknie już długo, lecz ciągłym śpiewem szlifowana, coraz szersze zatacza kręgi.

Bo piosnki naszej — dziś przynajmniej — nikt na rozum nie bierze... Mędrek niejedną nazwałby „głupią“, a inną „mądrą i głęboką“ i zdziwiłby się pewnie nie mało, gdyby się przekonał, że głęboka w uściech doby nie przeżyła skonawszy w zapiskach zbieraczy, podczas gdy siostra jej skromna, rozpościera się pysznie, pawiąc się i lecąc nad góry, nad rzeki — śpiewa...

Ach, o czem śpiewa?

O czem śpiewają piosnki nasze? — Jak ptaki bez troskie, o wszystkim. O wszystkim co żołnierza bawi i rozśmiesza i o wszystkim co go boli. O tych codziennych kłopotach jego i zabawach drobnych na po-

stoję — i o najwznioślejszych pragnieniach i ideałach... o tem za co się bije i o tym cudzie, którego przez trud swój i krew serdeczną pożąda...

Czasem pieśń prosta niby, nieuczona, w formie dziwnie prymitywna, szybuje aż na najzawrotniejszych natchnienia wyżynach, podczas gdy druga w formie przekunsztowna, z dziwną swawolnością i beztroską mówienia z finezyą rzeczy zgoła sprośnych — opowiada sprawy, od których — gwarą potoczną mówiąc — uszy wiedną, a psy za nami włóczące rumienić się zaczynają.

Bo gdy Legion czasem — ale tylko czasem — w takie podłe wieczory, gdy od kraju coraz głupsze wieści idą — podśpiewywać zacznie, zasłońcież różowe uszka piękne panie! I wybaczenie żołnierzom... Nie zapomnieliśmy jeszcze dotychczas naszych „dobrych manier“, „ułożenia“, i tylu tylu pięknych rzeczy, które nam dała „kultura“ — ale też żyjemy czasem tak, że... swawolności piosenki i dziwić się trudno...

...Bo my żołnierze tak jak psy —

Bezdomni włóczędzy...

Trapi nas Moskal gryzą wszy....

Wciąż na okopie, w znoju, w błocie, a w pocie i trudzie, w piosnce szukamy emocyi — zdrowej, wolnej od całego kunsztu i wyrafinowanej pikanteryi tego, czem rok oto temu część z nas karmiła się w teatrze i operetce, a co część druga w ulicznym podejmowała i przyswajała sobie wydaniu.

Teraz strawa nasza prosta — z kotła — i takąż sama pieśń, prosta, rubaszna, zwąca po imieniu

rzecz! Ot wszystko. Ale to tylko cząstka pieśni i — najmniejsza.

Bo są inne — o wprost wyrafinowanej, nieskalanej, przepięknej wprost czystości kryształu... Są takie, które kiedyś będą śpiewały nasze dzieci i takie, które wzbogacą nasz skarbiec duchowy.

Są pieśni o anielskiej wprost czystości, zrodzone z ekstazy ducha, w chwili najwyższego napięcia sił, gdy tysiące i tysiące młodzieży naszej, gdy kwiat narodu wśród mrozów, trudu, głodu czasem, w ogniu straszliwym kładł się w poprzek, wrogowi bramę ciał swoich żywych kładąc zaporą: dotąd, a nie dalej — a i stąd precz!

Są pieśni, które powstały w jedynym zakątku wschodniej Galicyi wolnym od najazdu rosyjskiego, w tej jedynej na wojnie obecnej twierdzy, która nie padła choć za obronę miała nie wieże pancerne, nie działa ciężkie a wszystkiego trzy bataliony karpackiej Brygady pułku trzeciego... Zakątkiem tym i tą twierdzą była Rafajłowa, jedyna w tej części kraju — na której najeźdźca stopy swej nigdy nie postawił... Powie o tem kiedyś historyja a dziś mówią pieśni.

Są zresztą między nimi — między tymi piosnkami naszymi — różne i takie w których dzwoni zapal święty i pewność aż butna i proste żołnierskie, z których bije taki żal, gorycz taka i taka męka, że pieśni te stały się na razie aż — niecenzuralne!

Kiedyś, w przyszłości może niedalekiej, gdy spadnie z nich ta niecenzuralności pieczęć, gdy historia odsłoni niezapomniane czyny środowiska, w którym te pieśni powstały, staną się one zarazem i dokumentem i relikwią i pamiątką świętą po tych, któ-

rzy w trzy tysiące ludzi dokonali dzieła, o jakie bezskutecznie kusiła się potężna twierdza... Jedyne zakątek ziemi wolnej w Galicyi wschodniej polską krwią i piersią żołnierską utrzymała do końca — „karpacka Brygada“.

Takie są, o takich czynach i takim życiu, o wyrosłych w takiej atmosferze pragnieniach, pieśni jedynie mi znanej, karpackiej Brygady, rzuconej od roku w obce strony, między ludzi obcych i pod obce niebo — nieraz w kraju jakby zapomnianej zupełnie, niedocenianej zawsze i przeto smutnej czasem, bardzo smutnej...

Ale wtedy od zwątpienia, od żalów i rozpaczę pieśń nas chroni — pieśń nasza, w której i Ojczyzna i dom i radości nasze i smutki znajdują swój prosty, szczerzy wyraz... Bo piosnka nasza niezna obłudy, lecz prosto mówi jak żyje i czuje... Nie krępuje się nieczem, ni rangą ni zasługą, której cześć odda, ale słabośćkę wykryje i powie ją tak prosto, tak bez żądła, że zgniewać się na nią trudno...

Taką jest pieśń nasza ukochana, w tysiącnych leżąca wariantach i na tysiączne śpiewana nuty, nie znająca zwykle własności kompozytorskiej, lecz przecież czasem sobie i muzyczne nowe tworząca formy. Pieśń, która koła i przetrwać dała najgorsze chwile, pieśń-kochanka nie opuszczająca nigdy, nie zawodząca w chwile najgorsze...

Kiedys, ktoś ją zbierze i spisze, wydzielą perły natechnienia nieznanych bezimiennych poetów, a resztę odsortuje i nazwie... lichotą.

Lecz my, których one wszystkie zarówno cieszyły i na równi budziły w nas dreszcze — oficerowie i żoł-

... nierz, bo wszyscyśmy je czy to w okopie, czy pod namiotem, na kwaterze czy w „menaży“ śpiewali — my wszystkie je zawsze jednak będziemy kochać, te doli naszej siostrzyce nieznuzenie wierne, lecące w zmierzch wieczorny na góry i doliny, nad las i rzekę szumiącą — lub na step wyschnięty, aż ku pozycyi wroga, by twarz mu błądłością okryć i mówić, że czuwamy: my, Karpacka Brygada!



S P I S R Z E C Z Y:

PRZEDMOWA	STR. 7
---------------------	-----------

C Z Ę Ś Ć I. P U Ł K T R Z E C I.

PODPUŁKOWNIK MINKIEWICZ	13
NAD PRUTEM	20
REDUTA NR. 7	25
Z CZERWCOWYCH WALK I BOJÓW	33
OKOPY	76
BANKIET W OGNIU	19
POLE GRANATÓW I SZRAPNELI	99
O ŻOŁNIERZU I ŻOŁNIERZACH	107
KOMENDANCI I OFICEROWIE	127
SANITARYUSZKA	146
KUBY KUCHARSKIEGO WOJENNE PRZYGODY	155

C Z Ę Ś Ć II. Z D R U G I E J B R Y G A D Y.

PUŁKOWNIK ZIELIŃSKI	163
OSTATNIA SZARŻA UŁANÓW WĄSO- WICZA	170
POGRZEB UŁANÓW WĄSOWICZA	180
DWIE DEKORACYE	190
BATERIA GOSIEWSKIEGO	197
16 SIERPNIA 1915	205
POŻEGNANIE PUŁKOWNIKA	212
WIEŚ ZA POZYCYĄ	221
KINO W POLU	229
PIEŚNI KARPACKIEJ BRYGADY	235

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000593432



II 382575